

anna german

# WRÓĆ DO SORRENTO?...



z przedmową  
Tomasza Raczka  
i jego rozmową  
z Mariuszem Walterem

Instytut Wydawniczy Latarnik

**WARSZAWA 2012**

## Spis treści

Dedykacja

Zdumiewająca historia Białego Anioła

**DRODZY CZYTELNICY!**

Włoska prasa o Annie German – rok 1966

Była jak bokser, którego nic nie obali

Anna German Kronika życia i pracy artystycznej

*Wydawca dziękuje rosyjskim admiratorom Anny German, a zwłaszcza Iwanowi Iliczowowi, a także Marioli Pryzwan za pomoc we wzbogaceniu książki o cenne materiały.*



## Zdumiewająca historia Białego Anioła

„Wróc do Sorrento?...” – na początku lat 70. ta skromna autobiografia Anny German, piosenkarki wracającej po tragicznym wypadku do publicznego życia, koncertów i nagrywania płyt, okazała się absolutnym bestsellerem. W księgarniach można ją było dostać tylko spod lady, gdy miało się zaprzyjaźnionych sprzedawców. Pożyczony egzemplarz, który wpadł mi wtedy w ręce, był niemal całkowicie zaczytaną (czyli rozpadającą się w wyniku zbyt częstego i gwałtownego odwracania kartek) broszurką. Dostałem ją tylko na chwilę, bo w kolejce czekało kilkanaście następnych osób spragnionych lektury. Być może dlatego do dzisiaj ocalało bardzo niewiele okazów tamtego wydania. Jednak pragnienie poznania wspomnień legendarnej gwiazdy pozostało. Nadal chcemy się dowiedzieć, jak doszło do tego, że spośród wielu polskich wykonawców, którzy wyjeżdżali w świat, by zrobić międzynarodową karierę, tylko jej jednej udało się to osiągnąć, choć nigdy o tym nie marzyła.

Anna German osiągnęła coś więcej: znalazła drogę do serc słuchaczy w Polsce, Rosji czy Włoszech i... została w nich bez obawy o przeminięcie. Poświęcono jej wiele prywatnych stron WWW, jej płyty wznawia się bez przerwy, jej imieniem nazywa się ulice, a nawet planety.

25 sierpnia 2012 roku minęło 30 lat od śmierci „Białego Anioła polskiej piosenki”, lecz jej nagrania nie stały się ani odrobinę archaiczne.

Ta najbardziej polska piosenkarka o niemieckim nazwisku urodziła się w Uzbekistanie (wtedy, w 1936 roku, była to republika Związku Radzieckiego) w rodzinie holenderskich emigrantów. Jej ojciec, zamordowany przez władze stalinowskie dwa lata po narodzinach córki, był synem ewangelickiego pastora z Łodzi, z zawodu księgowym, a z zamiłowania dyrygentem chóru. Natomiast matka, Irma Martens, wywodziła się w prostej linii od holenderskiego hrabiego, Johana Friesena, który przybył z Fryzji do Rosji w połowie XIX wieku, by upowszechnić tam nowoczesne metody upraw rolnych. Jak skomplikowane było jej pochodzenie, tak powikłane i niezwykle okazało się życie Anny German.

Po wojnie znalazła się wśród repatriantów, których osiedlono w Szczecinie. To był dom trzech kobiet: babcia, matka i córka. Chciały zacząć nowe życie i postanowiły, że będą Polkami. Anna okazała się w tym szczególnie konsekwentna. Gdy studiowała geologię na Uniwersytecie Wrocławskim, nawet się nie spodziewała, że zostanie piosenkarką. Zadebiutowała we wrocławskim Teatrze Kalambur, traktując te występy jako dorywcze zajęcie w czasie wakacji zamiast praktyk studenckich. Ale była za dobra, by inni pozwolili jej przestać śpiewać.

Gdy w 1964 roku, podczas II Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, zaśpiewała *Tańczące Eurydyki*, było jasne, że narodziła się gwiazda. A potem był ciąg nagród, koncertów, płyt. Równy entuzjazm dla jej talentu z miejsca okazali Rosjanie i Włosi. We Włoszech podpisała nawet kontrakt płytowy i wystąpiła w San Remo. W 1966 roku we włoskiej prasie rozległ się chór zachwytów: „Wczoraj Anna German przyjechała do Mediolanu i okazało się, że ma nie tylko piękny głos, wcześniej już znany niektórym specjalistom, ale i urodę: wysoka, o jasnych, falujących włosach i rozmarzonym spojrzeniu. Krótko mówiąc: wspaniała dziewczyna” („La Notte”).

„Jej głos to z jednej strony szczodry dar natury, z drugiej – rezultat inteligencji, która pozwala jej z niego wszechstronnie korzystać” („L’Unità”).

„Znajomość pięciu języków (włoskiego, polskiego, rosyjskiego, angielskiego i niemieckiego) pozwala jej dokonywać na estradzie prawdziwych sztuczek” („Il Gazzettino di Venezia”).

German wyjechała do Włoch, aby robić światową karierę. O tym wiedział wtedy każdy Polak. Trasa koncertowa, występy telewizyjne, festiwal w San Remo (to wtedy narzeczony Dalidy, Luigi Tenco, z rozpaczy, że jego piosenka „Ciao, amore, ciao” nie przeszła do finału, popełnił samobójstwo). Wszędzie robiła olśniewające wrażenie. Niewysocy włoscy konferansjerzy mieli z nią kłopot, bo przerastała ich o głowę (wzrost współczesnej modelki: 184 cm). Jeden z nich zapytał ją nawet bezczelnie: „Ile metrów pani sobie mierzy?”. Odpaliła mu natychmiast, po włosku: „To nieistotne; ważne, że jestem wyższa od pana”. Publiczność zawyla z podziwu.

Szcześnie trwało kilka miesięcy. 28 sierpnia 1967 roku, wracając z koncertu, została ciężko

ranna w wypadku samochodowym na Autostradzie Słońca koło Bolonii. Przez siedem dni pozostawała w śpiączce. Obudziła się, ale miała urazy kręgosłupa; nie było wiadomo, czy kiedykolwiek będzie jeszcze chodzić i śpiewać. Po dwóch latach trudnej, bolesnej rekonwalescencji wróciła jednak na estradę. Stała przed mikrofonem prosta jak nigdy i zaśpiewała swój superprzebój, który napisała w czasie choroby – *Człowieczy los*. Nigdy nie zapomnę filmu dokumentalnego Mariusza Waltera pt. *Powrót Eurydyki*, który pokazywał te chwile.

German znowu śpiewała, nagrywała, podróżowała po całym świecie. Najgoręcej witano ją w Związku Radzieckim. Tam też wydała wiele płyt, do dzisiaj prawie zupełnie nieznanych na polskim rynku. Jedną z jej rosyjskich piosenek, *Nadzieję*, uznano za hymn kosmonautów. To dlatego nadali oni imię Anny German odkrytej przez siebie asteroidzie.

Śmierć, której wymknęła się po wypadku na autostradzie, dopadła ją kilkanaście lat później. Nie udało jej się obronić przed rakiem. Umarła cicho, komponując w ostatnich dniach muzykę do modlitwy *Ojciec nasz*, w samym środku stanu wojennego. Miała tylko 46 lat. Nikt wtedy nie miał głowy do takich spraw. Prawie nie zauważono jej odejścia.

A jednak sława Anny German nie mija. W sklepach z płytami reedycje jej nagrań ciągle sprzedają się świetnie. Internetowi klienci mogą zostawiać swoje komentarze na temat kupionych pozycji. Pod płytami German znalazłem między innymi takie wpisy: „Nie ma w polskim języku słów, które byłyby w stanie określić wielkość talentu Anny German. Nie ma słów, które mogłyby opisać bezmiar piękna, którym Wielka Artystka obdarowuje słuchaczy. Ten bezkresny ocean ponadczasowości Anny German zapisany jest jej głosem, który będzie podziwiany i uwielbiany do końca świata. Nikt nigdy nie będzie w stanie jej zastąpić. Anna German nie śpiewa piosenek. Ona śpiewa arcydzieła – Jędrzej Kozak”.

„To, co mnie urzekło w Wielkiej Annie, to ogromna moc uczucia spokoju, ciepła i nieogarniętej miłości, nie tylko w treści piosenek, lecz przede wszystkim w barwie głosu tej niepowtarzalnej kobiety – Witold Mackiewicz”.

A swoją drogą to ciekawe: jej imieniem nazywa się nowe wyhodowane odmiany kwiatów (clematis), ulice i gwiazdy, ale nagrane za granicą płyty Anny German (we Włoszech i w Rosji), świadczące o tym, że jako jedynej udało jej się zrobić prawdziwie międzynarodową karierę, bardzo rzadko można znaleźć w polskich sklepach.

*Tomasz Raczek*



Anna German w czasie pracy nad książką (1969)

## DRODZY CZYTELNICY!

W okresie pięciu nieskończenie długich miesięcy leżenia w skorupie gipsowej, jak też w czasie wielu następnym, kiedy przebywałam w łóżku już bez gipsu, przysięgałam sobie często, że nigdy nie wrócę do Włoch, nawet wspomnieniem.

Moje postanowienie zrodziło się jeszcze tam, we Włoszech, kiedy po raz pierwszy odzyskałam przytomność na dobre. Teoretycznie odzyskałam ją wprawdzie siódmego dnia po wypadku, ale rzeczywistość docierała do mnie tylko „na raty”. Więc w chwilach, kiedy zdawałam sobie sprawę z tego, co mnie spotkało i gdzie się znajduję, pocieszałam się właśnie tym wypowiedzianym pod nosem: „już nigdy tu nie wrócę”, przy czym – zależnie od mego stanu psychicznego, uwarunkowanego bólem mniej lub bardziej ostrym – następowało jeszcze kilka epitetów pod adresem Półwyspu Apenińskiego i zdobywcy motoryzacyjnych jego mieszkańców.

Muszę tu zrobić małą dygresję.

Nie przepadałam nigdy za tak zwanym mocnym słowem. Jest to zapewne wina mego wychowania. Babcia jest temu winna, że nie umiem (ba, nie lubię, co najgorsze) pić alkoholu, palić papierosów, kurzyć fajki, no i nie lubię „kwiecistej mowy”.

Uważam to za brak wyobraźni. Nie znaczy to jednak, że jestem przeciwniczką tych cech bądź co bądź ludzkich. Zamierzam nawet przyznać, że może to być kojące, a niekiedy niezbędne w pewnych okolicznościach.

Mam na myśli „mocne słowo”. Ku bezgranicznemu zdziwieniu mojej mamy i narzeczonego (a nawet mnie samej) w najgorszych chwilach mówiłam wszystkie mocniejsze słowa, które znalazłam ze słyszenia czy też z literatury. Tak po prostu, bez większego logicznego związku, z rzędu. A jeżeli po wyrecytowaniu monologu nie odczuwałam wyraźnej ulgi – z braku wykształcenia w tej dziedzinie – powtarzałam wszystko da capo al fine.

Niechęc do rozśpiewanej Italii prześladowała mnie tak długo, aż w końcu udało mi się przekonać mamę, że trzeba mnie odtransportować do Polski. Tak jak stoję. Przepraszam – leżę. W gipsie po same uszy, zdaną całkowicie na łaskę otoczenia. No i udało się, o czym napiszę dalej.

Teraz chcę wyjaśnić, dlaczego jednak piszę, wracam wspomnieniami do tamtych dni.

W czasie mojego pobytu w trzech szpitalach włoskich, jak i później w Polsce, otrzymywałam i nadal otrzymuję dużo listów od ludzi obcych, a przecież tak serdecznie reagujących na moje nieszczęście. Nie jestem w stanie odpisać na wszystkie listy, mimo że bardzo bym chciała.

Poza tym od czasu do czasu dowiaduję się o niesłychanych historiach, które krążą na mój temat. Nie dziwi mnie nawet, bo wiem, że spowodowane są brakiem informacji i szczerą życzliwością. Dlatego też pomyślałam sobie, że winna jestem moim słuchaczom powrót do Włoch, we wspomnieniach.

Postanowiłam opisać wszystko, co pamiętam, jak najdokładniej i najprawdziwiej. Tym bardziej że mało jest chyba ludzi w Polsce, którzy nie mieliby swego zdania na temat piosenki i spraw z nią związanych.

A może przeczytają moje wspomnienia i ci, którzy nie obdarzyli mnie swoim zaangażowaniem, a potraktują moją relację jako zwyczajny reportaż z podróży.

Głównym powodem skłaniającym mnie do napisania listu otwartego do moich słuchaczy jest przede wszystkim wdzięczność dla tych, którzy byli i są ze mną myślami w tym trudnym dla mnie okresie.

Czynię to tym łatwiej, że jestem daleko od Włoch, jestem w domu, wśród bliskich i przyjaciół.

Mimo że moja umowa trwa do końca 1969 roku – nikt nie może żądać ode mnie powrotu do pracy, do śpiewania we Włoszech. Już chociażby z tego powodu, że śpiewać jeszcze nie mogę i mam przed sobą długi okres rehabilitacji. A zatem mój statek zakotwiczony jest w rodzimym porcie, gdzie mnie nie dosięgną obce sztormy. Stąd moja odwaga! Mimo to proszę o wyrozumiałość. Wprawdzie miałam w szkole z polskiego 5, ale od tamtych czasów mój kontakt z piórem ograniczał się do listów pisanych z Włoch w tonacji raczej rozpaczliwej. A więc nawet poczucie humoru zostało we mnie zagipsowane. Ale za to wszystkie moje zwierzenia będą prawdziwe jak w listach do mamy,

*niezabarwione chęcią popisania się, bez akcentów reklamowych. Do celów reklamowych  
wystarczył mi w zupełności sam wypadek.*

*Anna German*

*Warszawa, czerwiec 1969 roku*





Fotografia Anny z połowy lat sześćdziesiątych

Październik roku 1966 był wyjątkowo ciepły i pogodny. Siedziałam w swoim pokoju w hotelu „Warszawa”, kreśląc w notesie plan zajęć na dzień następny. Było tego okropnie dużo.

Z powodu braku mieszkania w Warszawie (którego nie mam zresztą do dziś) starałam się zawsze załatwiać jak najprędzej palące sprawy warszawskie, aby tym samym skrócić swój pobyt w hotelach do minimum. Ze względów finansowych oczywiście. Poważną część mojego wynagrodzenia za występy pochłaniały warszawskie kasy hotelowe.

Moje medytacje nad problemem, czy zdążę w ciągu godziny dojechać z radia na Sadybę i z powrotem, przerwał dzwonek telefonu. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam męski głos, który poinformował mnie, że dzwoni z Mediolanu, że będzie w Warszawie za kilka dni, i spytał, czy nie zechciałabym podpisać umowy na okres trzech lat z wytwórnią CDI.

W trakcie tych informacji moja myśl gorączkowo szukała wśród znajomych w Warszawie sprawcy tego żartu. No, pomyślałam w końcu, nikt inny tylko kolega Bolek Gromnicki przyjechał widocznie do Warszawy i zabawia się jak zwykle kosztem bliźnich przy pomocy swego niepojętego dla nas, zwykłych śmiertelników, talentu. Pamiętam, jak w czasie niedawnej podróży 30-osobowej ekipy do USA i Kanady kolega Gromnicki już na „Batorym” robił taki właśnie użytek z telefonów, przy czym nie było „mocnych”. Sama padłam nieraz ofiarą jego umiejętności. Nadmienić należy, że języki obce wcale nie były mu obce. Boleś Gromnicki zna absolutnie wszystkie języki świata, jeśli zachodzi taka konieczność.

Trzymałam się więc twardo, śmiejąc się i zapewniając, po polsku oczywiście, że tym razem mnie nie nabierze. Ale już po chwili uderzył mnie całkowity brak zrozumienia po drugiej stronie kabla. Nic dziwnego, albowiem był to prawdziwy Włoch i ani słowa po polsku nie rozumiał. (Przepraszam kolegę Gromnickiego za niesłuszne podejrzenia).

Po kilku dniach wyładował rzeczywiście pan Pietro Cariaggi – prawdziwy Włoch, choć łysiejący blondyn, właściciel wytwórni płytowej Company Discografica Italiana (CDI), w której proponował mi pracę.

Podczas naszej oficjalnej rozmowy przy udziale zastępcy dyrektora Pagartu, pana Władysława Jakubowskiego, pan Cariaggi starał się przedstawić w najładniejszych kolorach wszystkie możliwości, jakie na mnie czekają właśnie we Włoszech, właśnie w jego wytwórni. Nie zrezygnował nawet z mocnych chwytów reklamowych, zapewniając mnie, że w jego wytwórni nagrywają takie sławy, jak Mario del Monaco.

Później się okazało, że takie sławy są jakby narodową własnością i nie dotyczy ich prawo wyłączności w żadnej wytwórni płytowej. Mogą nagrywać wszędzie, nawet w tak mało znaczącej wytwórni jak CDI. Wytwórnia ta robi to oczywiście dla własnej reklamy, płacąc dostatecznie słono. Ale ja o tym nie wiedziałam i pomyślałam: „No, no, Mario del Monaco – to już musi być bardzo duża, licząca się na włoskim rynku płytowym wytwórnia”.

Ale nie to zadecydowało o podpisaniu umowy. Miałam zawsze słabość do piosenek włoskich ze względu na ładne melodie, łatwość śpiewania w języku włoskim. Zanim zadzwonił pan Cariaggi, od kilkunastu dni ociągałam się z podpisaniem umowy z zachodnioniemiecką wytwórnią płytową Esplanade.

Ostatecznie wybrałam Mediolan.

Może jeszcze wspomnę, jak doszło do tego telefonu z Mediolanu. Otóż redaktor jednej z naszych rozgłośni radiowych jest w stałym kontakcie z wytwórniami włoskimi, które przysyłają mu nowości płytowe z Włoch. W drodze rewanżu pan redaktor wysyła polskie płyty. Między innymi znalazł się mój pierwszy longplay nagrany w Polskich Nagraniach. Płyta spodobała się, a moja kandydatura przeszła jednogłośnie, jak się później dowiedziałam. Pietro Cariaggi jest jedynym właścicielem CDI bez współników. Zatrudnia około dwudziestu osób, w tym swego brata i ojca.

Pietro zawdzięcza swą pozycję niewątpliwie cechom charakteru wybitnie męskim, jak: twardość, rzutkość, zdecydowanie, bezwzględność ze skłonnościami do dyktatury. Nic dziwnego, albowiem ciężkie jest życie biznesmena w ciągłej walce rywali o byt, o rynek, o kobiety, o... wszystko! Ale Pietro bywa czasem wspaniałomyślny i bardzo lubi dostrzegać uznanie w oczach podwładnych. W tym celu więc pozwala wypowiadać się i portierowi, i sprzątaczkom na tematy

muzyczne. A nawet liczy się z ich opinią.

Nawiasem mówiąc, dobrze wie, że nie ryzykuje, gdyż ci prości ludzie oceniają bardzo obiektywnie i trafnie. Tak też było tego dnia, kiedy nadeszła moja płyta. Do ogólnego „tak” przyłączyła się także najważniejsza osoba w tym zamkniętym świecie: drobna, urocza, pełna dobroci starsza pani – matka rodu, pani Wanda Cariaggi.



Anna w domu mody w Mediolanie (1966)

Zaczęły się moje przygotowania do pierwszego wyjazdu do Mediolanu. Czasu było raczej mało, więc tylko jeszcze jedna własnoręcznie uszyta sukienka, kilka egzemplarzy nut, nowy słownik włosko-polski z gramatyką i... nadszedł dzień odlotu.

Ostatni pożegnalny uśmiech zza szklanych drzwi na Okęciu...

W późnych godzinach wieczornych wylądowaliśmy w Mediolanie. Oczekiwano mnie na lotnisku. Po powitaniu Pietro przedstawił mi młodego człowieka imieniem Ranucio Bastoni, który miał być od tej chwili moim osobistym impresario. „Ranucio – oznajmił Pietro – jest dziennikarzem. Będzie ci towarzyszył przez cały dzień we wszystkich spotkaniach, będzie cię odwoził, przywoził i dbał o wszystko, co związane jest z twoim publicity we Włoszech”. To brzmiało dość uspokajająco. Trochę mnie rozczarował u dziennikarza brak znajomości jakiegokolwiek języka obcego, ale „przynajmniej nie będę się pętać sama” – pomyślałam.

Pojechaliśmy do hotelu. Nie zdążyłam jednak nawet rozejrzeć się w moim pokoju ani umyć się po podróży. Okazało się bowiem, że już następnego dnia miało się odbyć ważne spotkanie z dziennikarzami na słynnej Terazza Martini, do którego trzeba mnie było odpowiednio przygotować.

Zaczęły się wędrowki po domach mody (tych, które jeszcze były otwarte). Z niepokojem spostrzegłam wkrótce, że chodzi im o suknię cocktailową, która sięgałaby mi do połowy uda. W Polsce w tym okresie co odważniejsze dziewczyny już dawno nosiły takie właśnie sukienki, ale ja ciągle jeszcze uznawałam długość odrobinkę powyżej kolana. Nie dlatego, że mi się wynalazek Mary Quant nie podobał. Przeciwnie – podobał mi się bardzo, ale ja, która byłam ustawicznie gnębiona nadmierną ironią bliźnich (na temat mego wzrostu), czyż mogłam pozwolić sobie na taki strój, który by ścigał uwagę przechodniów jak magnes i zwielokrotniał moje cierpienie?!

Nie, taką masochistką to ja nie będę, nawet dla sztuki – pomyślałam i zaproponowałam nieśmiało, że mogłabym przecież pójść we własnej „małej czarnej”. Uznano to jednak za dobry żart i przyniesiono mi kolejną stertę sukienek. (Później moja „mała czarna” została w pełni zrehabilitowana).

Żeby nie było niejasności i niedomówień – może wyjawię moje wymiary. Moja współrzędna y wynosi 184 centymetry, a reszta pozostaje w zupełnie zadowalającej proporcji do tego, Włoszki natomiast są na ogół niewysokie. Gdyby się to wszystko odbywało w Szwecji, Anglii, Ameryce czy Holandii, do 23.00 byłabym coś znalazła dla siebie, ale to były Włochy i wszystkie cierpienia dla mnie z tym związane potęgowały się z każdą upływającą godziną. Wreszcie po północy – ledwo trzymając się na nogach ze zmęczenia – zdobyłam się na mały szantaż: „ta albo idę w mojej prywatnej”. Ponieważ i oni byli zmęczeni, zgodzili się na suknię z dżerseju w kolorze koralowym, rajstopy tego samego koloru i srebrne francuskie pantofle. Francuskie, bo ja noszę 40 numer pantofli, a wśród włoskich nie ma takiego, to znaczy jest, ale w rzeczywistości odpowiada on najwyżej naszej dziewiątce (39). Na to miałam narzucić płaszczyk ze sztucznego futra w kolorze różowym. Tylko narzucić – nie z powodu sprzyjających warunków atmosferycznych, lecz dlatego, że ubrać się w ten płaszczyk po prostu nie mogłam. Plecy były za wąskie, a rękawy za krótkie. Włosy kazano mi rozpuścić, a ponieważ nie mam prostych z natury – długo je prostowałam u fryzjera. Ale i tak czułam się jak Ofelia w scenie obłędu. Wsiadając następnego dnia w kompletnym „rynsztunku” do samochodu, pomyślałam z goryczą: „i po co to wszystko, dla kogo?!”.

Rzekomo dla mnie – ale dużo bym wtedy dała za to, by móc pójść na to spotkanie w mojej prywatnej sukience, z włosami uczesаныmi w warkocz opadający na plecy, aktualnie zresztą bardzo modny. Nie – ta dziewczyna w różowościach, uśmiechająca się, pozująca do zdjęć, udzielająca autografów to nie byłam ja.

Już po godzinie czułam się jak bokser na ringu tuż przed znokautowaniem. A tu do końca rundy jeszcze nieskończenie daleko. Trzeba było ciągle odparowywać nowe ciosy przeciwnika, tzn. udzielać wywiadów dla różnych gazet i czasopism w paru językach, nie dopuszczać do powstania spięć na tle politycznym, odpowiadać na pytania głupie i prowokujące – dowcipem. To moja niezawodna broń, do której uciekałam się często, gdyż szczerść i prawda były, niejednokrotnie świadomie, zupełnie opacznie przyjmowane, wywołując odwrotny skutek. Pozytywem tej imprezy

było poznanie wielu interesujących ludzi – muzyków, kompozytorów, aktorów. Był tam również obecny przedstawiciel naszego konsulatu w Mediolanie.

Przez cały czas trwania tego spotkania z nienagannie działających głośników – umieszczonych tak sprytnie, że zupełnie niewidocznych – płynęły dyskretnie dźwięki moich piosenek z polskiej płyty. To było dla mnie ostrzeżenie, którego wtedy jeszcze nie rozumiałam. Skończyć się miały niebawem czasy, kiedy mogłam sobie śpiewać. Teraz nie śpiewanie miało być najważniejsze, a nawet wkrótce znalazło się na marginesie. Teraz miałam mówić, mówić... przede wszystkim mówić i pozować do zdjęć, tego bowiem wymaga tak zwane wejście na rynek. A ponieważ jestem raczej pogodna niż mściwa, w miarę możliwości wyrozumiała – nie zemściłam się strajkiem za te różowości, nie tupnęłam srebrnym pantofelkiem, wołając „veto”, a nawet przyjąłam ze zrozumieniem plany średniowiecznego wyzysku człowieka przez człowieka na wszystkie dni następne, aż do powrotu do domu. Mało tego, udzieliłam sobie w duchu nagany za staroświeckość i nienadążanie za duchem czasu. Celowo użyłam poprzednio określenia „średniowieczny wyzysk”, gdyż szczerym podaniem faktów pragnę osłabić zachwyty (tu i ówdzie przeradzający się w zazdrość) niewtajemniczonych bliźnich nad sytuacją piosenkarki polskiej za granicą.

Pagart udziela zezwolenia każdemu artyście wyjeżdżającemu na występ za granicę na zaopatrzenie się w kilka dolarów, które mają mu umożliwić:

1. skorzystanie z telefonu w wypadku nieprzybycia nikogo z organizatorów na lotnisko (czy dworzec),
2. zafundowanie sobie napoju chłodzącego w celu uspokojenia systemu nerwowego. Jest to bowiem sytuacja, w której największe poczucie humoru zawodzi. Na taksówkę ww. kilka dolarów już nie wystarcza, gdyż lotniska znajdują się zazwyczaj daleko od centrum miasta, a skorzystanie z państwowych środków lokomocji w obcym mieście obcego kraju, do tego z bagażem, jest – przynajmniej dla mnie jako kobiety – nader skomplikowane.

Ponieważ za wyżywienie hotelowe, jak i za sam hotel, płacił pan Cariaggi, a wożona byłam przez straż osobistą – Ranucia, wydawać by się mogło, że niczego mi nie brakowało. Ale człowiek jest to takie przewrotne stworzenie, które chciałoby czasem wyjść na ulicę za róg i kupić gazetę. Można jej nawet nie czytać, byleby poczuć przez chwilę swoją wolność i niezależność. Tego przywileju byłam, niestety, pozbawiona.

Największym upokorzeniem jednak była chwila celowego ociągania się kelnera w drzwiach po przyniesieniu posiłku. Przecież nie mogłam nawet powiedzieć: „przepraszam, nie mam ani grosza”, bo reprezentowałam interesy firmy CDI, byłam gwiazdą zagraniczną, której zdjęcia ukazywały się w prasie, a piosenki brzmiały w radiu. Przekonywałam się coraz bardziej, że lekceważący uśmiech kelnera to jedno ze zdecydowanie największych nieszczęść w życiu człowieka.

Ale nie każdy kelner obdarzał mnie takim uśmiechem. W małym barku hotelowym, mieszczącym się na parterze, pracował między innymi czarnooki, mały, krępy Sycylijczyk – Giuseppe. Uniwersytetów to on chyba nie kończył, ale za to właśnie znał się na ludziach i psychologiem był wyborynym. Toteż i moją sytuację przejrzał w lot i dlatego w jego obecności nigdy nie czułam się źle. Opowiedział mi kiedyś swą krótką typową historię życia człowieka z Południa. Pochodził z bardzo licznej rodziny wieśniaczej. „Pewnego dnia – opowiadał – głód zmusił mnie do trudnej decyzji. Powiedziałem matce, że idę poszukać pracy. Nie mogłem nawet powiedzieć, dokąd idę. Rozplakałem się przy pożegnaniu. Miałem dopiero 13 lat. Nie muszę wyjaśniać, że chwyciłem się każdej pracy, jaka mi się nadarzała. Za zarobione grosze utrzymywałem się w obcym mieście i oczywiście pamiętałem zawsze o matce, toteż okres służby wojskowej, którą właśnie niedawno odbyłem, wspominam po tym wszystkim jak najpiękniejsze wakacje. Niedawno udało mi się znaleźć pracę w hotelu w charakterze barmana”.

Jak już wspomniałam, był to typowy życiorys południowca. Przede wszystkim młodzież zmuszona jest do porzucania rodzinnych stron i wędrówek do miast „za chlebem”, a ponieważ jedynym ich bogactwem są młode, silne ręce – nie mają zbyt wielkiego wyboru, jeśli chodzi o rodzaj pracy w mniej lub więcej uprzemysłowionych miastach. Przecież na naukę nigdy nie było ani czasu, ani możliwości. Z różnych regionów południowych pochodziły również pokojówki,

sprzątaczką w moim hotelu.

Byłam we Włoszech pół roku, z przerwami na krótki odpoczynek w Polsce, ale nawet tak krótki okres pozwolił mi na zorientowanie się w czysto wewnętrznych sprawach Włoch. Włosi z Północy odnoszą się do swoich braci z Południa jeśli nie pogardliwie (nie wiem, czy wolno mi użyć tak mocnego określenia na podstawie moich obserwacji), to w każdym razie mało życzliwie, często dość ironicznie. Uważają się za absolutnie lepszych. Konferansjerzy i komicy w programach rozrywkowych, chcąc wzbudzić na widowni śmiech – posługują się na przykład dialektem neapolitańskim. To wystarczy, by zupełnie mierny kawał wywołał ogólną wesołość. Albo inny dowód podziału na Północ i Południe. Na znany festiwal piosenki w Neapolu nie przyjeżdża żadna z szanujących się gwiazd Północy, a kiedy w Mediolanie po festiwalu w Neapolu chciałam włączyć do swojego repertuaru kilka piosenek w dialekcie neapolitańskim – skwitowano moją propozycję wzruszeniem ramion. Wiem, taka „dyskryminacja geograficzna” w mniejszym lub większym stopniu istnieje w każdym państwie. Nie słyszałam jeszcze o absolutnym braterstwie i jedności w obrębie jednego państwa w normalnych warunkach pokojowych. Natomiast znany jest fakt, że w obliczu niebezpieczeństwa z zewnątrz – nieważne stają się drobne waśnie i różnice regionalne.

Nie zamierzam wygłaszać krytyki panujących stosunków we Włoszech ani tym bardziej ostro ich potępiać. Po prostu nie mam do tego prawa ani podstaw. Nie znam na tyle historii Włoch, by znaleźć w dziejach minionych przyczyny usprawiedliwiające obecną sytuację, ale jedno mogę stwierdzić bez wahania, a nawet przysiąc, gdyby ktoś tego wymagał – moja sympatia jest po stronie braci barmana Giuseppe. Nawet nie dlatego, że zawsze taką reakcją wywołują u nas wszyscy skrzywdzeni niesłusznie, niesprawiedliwie. Po prostu ci ludzie podobają mi się. Oni są naprawdę z y c z l i w i innym. Obojętne, czy z Północy, czy z Południa. Nie poraziła ich jeszcze najstraszniejsza choroba naszych czasów – znieczulica, obojętność na losy człowieka żyjącego czy umierającego obok. Wszystkich cechuje ogromne, głębokie i szczere umiłowanie ojczystego skrawka ziemi. Kto raz usłyszał południowca śpiewającego o swojej ojczystej wsi w czasie pracy tu w mieście – pędzącego na obładowanym rowerze, zamiatającego ulicę czy myjącego okna – ten mi uwierzy.

Włochów na ogół cechują bardzo silne więzy rodzinne. Zwłaszcza miłość synów do matek stała się już przysłowiowa. Ale często ta miłość do matek jest trochę na pokaz, w celach autoreklamy – „popatrzcie, jaki ze mnie dobry syn”. Zresztą każdy Włoch ma w sobie żyłkę aktorską i próżno by z tym walczyć, ale barman Giuseppe nie miał chyba przed kim grać, gdy wysyłał matce swoje marne grosze. To samo dotyczy spraw związanych z religią. Wierzą gorliwie i głęboko. Taki był właśnie Giuseppe.

Kiedy po raz drugi przyjechałam do Mediolanu, przywiozłam mu z Polski drewnianą cepeliowską szopkę. Zbliżało się Boże Narodzenie i taka pamiątka wydawała mi się odpowiednia. Ucieszył się. Postawił szopkę na półce swego barku i długo podziwiał ręczną pracę góralskiego artysty. Stała tam aż do mego wyjazdu. Może tam jeszcze stoi...

Ponieważ przemierzałam ulice Mediolanu tylko samochodem, i to w największym pośpiechu, niewiele miałam do opowiedzenia znajomym w Polsce o samym mieście i jego zabytkach. Jedynie dolne fragmenty przepięknej, koronkowej katedry widywałam często, i to z różnych stron. Piszę „dolne fragmenty”, bo z samochodu widzi się tylko tyle, ale nawet te fragmenty wprawiały mnie w szczerzy zachwyt za każdym razem.

Już w samolocie cieszyłam się na samą myśl o możliwości pójścia do słynnej „La Scali”. Niestety, mój plan zajęć tego nie przewidywał. Wprawdzie kilka dni później Ranucio zawiązał mnie pod gmach opery (nawiasem mówiąc, trochę się rozczarowałam jego brzydota z zewnątrz), ale tylko po to, by zrobić serię zdjęć w towarzystwie bardzo przystojnych karabinierów. Nie wiem, czym się kierują Włosi w wyborze mundurów. Może miłością do teatru, bo ci piękni panowie w swoich pelerynach, pióropuszech i złotych hełmach wyglądają jak statyści, którzy z próby w teatrze wyskoczyli na szklaneczkę wina do pobliskiego baru.

Byłam jednak w „La Scali” na *Trubadurze*, ale później, w czasie kolejnego pobytu w Mediolanie, z inicjatywy i za pieniądze przyjaciół. Muszę choć w kilku słowach wspomnieć o reakcji publiczności na popisowe arie ulubieńców. Było dużo obcokrajowców, gdyż sezon

teatralny właśnie się zaczynał. Chwila odpoczynku w foyer nasunęła mi myśl o wieży Babel, tak wielojęzyczny był szmer, który dobiegał do moich uszu. Ale tak było tylko w hallu. Na sali zdecydowaną przewagę mieli Włosi i tylko ich było słychać. Każda aria wykonana przez ulubienca publiczności wywoływała nie tylko burzę oklasków w najbardziej nieodpowiednich momentach (np. czasem zupełnie zagłuszając solistę), ale przede wszystkim z emfazą wykrzykiwane pochwały, poparte brawurową gestykulacją. Na przykład: „Cudowna jesteś, jesteś najlepszy! Niech się przy tobie wszyscy schowają! Mój zwycięzco! Kocham cię, ko-o-o-cham! Umieram z uwielbienia!”. Na ostatnim piętrze natomiast pracowała zawzięta grupka mężczyzn – najwidoczniej klakierów. Ich zachowanie wyraźnie na to wskazywało, choć moim zdaniem wysiłek ten był zupełnie niepotrzebny. Całe przedstawienie stało bowiem na bardzo wysokim, wyrównanym poziomie.

Przez następne dni czekała mnie ciężka praca modelki. Ranuccio przyjeżdżał po mnie do hotelu najczęściej z ogromnym opóźnieniem i odwoził do domu mody. Tam rozpoczynała się wielogodzinna ciężka praca. Może ktoś niewtajemniczony uśmiechnie się z pobłażaniem w tym miejscu, ale modelki zawodowe rozumieją mnie na pewno i w razie potrzeby potwierdzą prawdziwość moich słów.

Do czysto fizycznego zmęczenia dochodziło zdenerwowanie, którego nie mogłam przecież okazać. Zawsze i wszędzie z powodu tych nieszczęsnych dziesięciu centymetrów, którymi mnie Stwórca nad stan obdarzył. W każdym więc nowym miejscu przyjmowałam z uśmiechem wszystkie „wydziwiania” na ten temat i mierzenie się ze mną. Co niżsi Włosi podskakiwali, ażeby pociągnąć mnie za warkocz. A ponieważ tak strasznie dużo było tych niskich – a podobno nawet święci mają ograniczoną cierpliwość – potrzebowałam wielu godzin w nocy, ażeby się jako tako uspokoić i pozbierać do następnej batalii.

Do tego dochodziły czasem uwagi fotografów. „Proszę pani – przekonywał mnie kiedyś jeden z nich – pani nie jest osobą miłościwie panującą, jest pani dziewczyną, która za wszelką cenę chce się podobać”. Za wszelką cenę?! – Wcale tego nie chciałam – pomyślałam w odpowiedzi na ten słuszny skądinąd zarzut. Rzeczywiście nie ma w moich żyłach ani jednej kropli błękitnej krwi... a do duszy mojej, już dość mocno zbolalej, napływało coraz wyraźniejsze zwątpienie i zniechęcenie. Człowiek nie powinien robić w życiu nic wbrew sobie, wbrew swoim przekonaniom, wbrew własnemu charakterowi. Nic, co by się później miało wspominać z niechęcią. Lubię się śmiać, ale tylko wtedy, gdy jest mi wesoło. Nawet bez powodu! Uwielbiam taniec i zabawę, ale nie mogłam przybrać na określony z góry czas maski kobiety zupełnie mi obcej pod każdym względem, tylko na pokaz, na sprzedaż, dla reklamy.

Zrozumieli to niebawem i moi fotografowie i nawet stwierdzili, że mi do twarzy z nutką „słowiańskiej melancholii”.

A więc uśmiech, od którego bolały mięśnie twarzy (i co gorsza, robiły się zmarszczki!), miałam z głowy! Niestety, zostały takie cechy moich miłych gospodarzy jak nieokiełznana rubasność, która na mój widok kazała im wdrapywać się ze zwinnością linoskoczków na krzesło, przyjazne klepanie po plecach czy też – czego już zupełnie nie znosiłam – lekkie szczypanie w policzek. Na ten ostatni gest pozwalali sobie tylko ojcowie rodzin w obecności małżonek, a więc wszelka reakcja bardziej ostra niż uchylenie się, była właściwie nie na miejscu, gdyż miał to być gest pełen ojcowskiej sympatii.





Anna podczas pobytu we Włoszech (1966)



Anna podczas przymiarki sukni w Mediolanie (1966)

Najwyższy czas, by przedstawić państwu bliżej moją straż osobistą, dziennego anioła stróża – dziennikarza Ranucia.

Ranucio miał około 25 lat, był na szczęście dość wysoki i niezwykle pogodny. Ta jego pogoda ducha i niefrasobliwość przyprawiły mnie nieraz o łzy (ale tylko wtedy, gdy byłam sama w hotelu) i czarną rozpacz. I pewnie z zemsty za to nabierałam co dnia mocniejszego przekonania, że Ranucio jest takim dziennikarzem, jak ja Pigmajem.

Pierwszym kubłem zimnej wody na moją biedną głowę był mój własny życiorys skomponowany przez Ranucia. Czytając go, ze zdziwienia nad własnym pochodzeniem i losem mojej rodziny zaniemówiłam. Zaskoczona zapomniałam zupełnie, że Ranucio mówi tylko po włosku. „Czyś ty zwariował, Ranucio?! Dla kogo te bzdury?!”. Ale Ranucio widocznie zrozumiał, bo zaczął mi tłumaczyć, że prawda jeszcze nikogo nie zaszokowała, a przecież o to właśnie chodzi, że ludzie chcą wiadomości niezwykłych, a że nieprawdziwe – to nic, bo i tak tego nikt po przeczytaniu nie pamięta. „Wszyscy tak robią” – i na pocieszenie dodał: „Jeszcze gorsze rzeczy wymyślają”. I do dnia dzisiejszego nie wiem, dlaczego na przykład moja mama została Ormianką... Myślę, że Ranucio czytał kiedyś życiorys Aznavoura...

Zresztą dowody jego bujnej fantazji zostały całkowicie zaaprobowane przez Pietra, który powtórzył mi swoje racje, bliźniaczo podobne do wywodów Ranucia. Dołączony został dodatkowy wyrzut: „Ja tu robię wszystko, żeby cię wprowadzić na rynek, a ty jesteś niezadowolona”. Cóż mogłam robić – pojechać do domu? Zerwać umowę? Nawet na dojazd do lotniska nie starczyłoby, nie mówiąc o bilecie powrotnym... a za zerwaną umowę mogłabym płacić do końca życia. Zostałam. Wkrótce miało spaść na mnie większe zmartwienie, które całkowicie przesłoniło sprawę życiorysu.

Mój pierwszy pobyt miał się ku końcowi. Spotkania na Terazza Martini, serwis zdjęć z domów mody – dawały rezultaty. W prasie pisano dość dużo o mnie prawie codziennie. I teraz, kiedy się już ludzie o mnie dowiedzieli z wywiadów, pooglądali ze wszystkich stron, we wszystkich możliwych (do naciągnięcia) kracjach – można było pozwolić mi zaśpiewać. Bo od pewnego czasu przejawiała się wątpliwość: „No dobra, dobra, ale czy ona w ogóle śpiewa?”.

Okazało się, że był to świadomy plan Pietra, z którego był bardzo dumny. Oczywiście głównym wykonawcą tego planu był Ranucio. Gdyby nie on... Te i inne cechy Ranucia stopniowo przekonywały mnie, że ma on jednak w sobie coś z rasowego dziennikarza.

Pamiętam, jak pewnego razu potrzebny był komplet nowych zdjęć z lotniska. Żeby się dostać na teren lotniska, trzeba było być jednak Ranuciem. Tylko on mógł dokonać tej sztuki bez zezwolenia na fotografowanie. W rezultacie zrobiono mi zdjęcia, jak stoję obok samolotu, na skrzydle, pod skrzydłem, w kabinie, za kabiną, przy sterze itd. Zabrakło tylko zdjęcia w czasie lotu. Inną właściwością charakteru, która mnie szczerze zadziwiła, był jego stosunek do kobiet. Ranucio był przekonany, że każda kobieta, której on, Ranucio, nawinie się na oczy – natychmiast omdlewa z miłości. Do Ranucia, rzecz jasna.

Był u nas wyświetlany film produkcji włoskiej z Domenico Modugno w roli kierowcy. „Jak ona na mnie popatrzyła!” – woła rozanielony Modugno do swego kolegi w szoferce. Chodziło mu o dziewczynę, która spojrzała na niego, przechodząc przez jezdnię. Myślałam, że to był tylko humorystyczny akcent w tym filmie, niemający z rzeczywistością wiele wspólnego. Dlatego też początkowo przyjmowałam ze śmiechem takie okrzyki Ranucia: „Widziałaś? Widziałaś, jak ona na mnie spojrzała... dobrze, że jestem w samochodzie, bo już by mnie nie zostawiła w spokoju...”. Ależ ten Ranucio ma poczucie humoru – myślałam z podziwem, tym bardziej że jego podobieństwo do Rudolfa Valentino, które mogłoby ewentualnie wywołać u kobiety huragan uczucia – było raczej znikome. Niemniej jednak obecność Ranucia dodawała kolorów memu pobytowi we Włoszech. Obiektywnie przyznać muszę, że dokładał on ze swej strony wszelkich starań, by zadowolić swego pracodawcę. Dwoił się i troił, jak się to popularnie określa. A że akurat większość cech charakteru pozostawała w rażącej sprzeczności z moimi – to już nie jego wina. Wspominam go z sympatią.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy dane mi było po raz pierwszy wystąpić przed mikrofonem, przed publicznością w przepięknej sali Circolo della Stampa w Mediolanie (Dom Prasy).

Ponieważ sprawa koncertu wynikła dość nieoczekiwanie, nie było czasu na przygotowanie

się do tak ważnego i odpowiedzialnego występu. Koncert poprzedziła jedna jedyna próba muzyczna z pianistą rano tego samego dnia, a wieczorem miała się odbyć próba z zespołem muzycznym, już na miejscu występu.

Ublągałam Ranucia, żeby choć raz nie dał na siebie czekać i przywiózł mnie dostatecznie wcześniej do pałacyku. Nawet przywiózł. Była to rzeczywiście prześliczna sala. Jestem z reguły raczej mało przytomna przed koncertem, a co dopiero w takich warunkach niepewności i zdenerwowania. Jak przez mgłę dostrzegałam ogromne, złożone ramy luster sięgających od podłogi aż po sufit, migotanie świateł, żyrandole, kandelabry...

Od czasu do czasu dochodziły do moich uszu z nabożną czcią wygłaszane wiadomości dotyczące prześwietnej historii tej sali. A więc przede mną (!) występował, a raczej przemawiał tu generał de Gaulle, a przed nim był jeszcze (też Francuz) Bonaparte. Ale on się ograniczył do sypiania w tej sali. Nie przemawiał. Przyznam się, że doniosłość tych historycznych faktów jakoś mnie nie oszałamiała (a miała!). Owszem, wyobraźnia moja próbowała pracować w tym kierunku, ale skończyło się na wizji przepysznego łoża z baldachimem, pod którym chrapał mały Wielki Korsykanin. Niestety, wszelkie próby igrania z wyobraźnią były hamowane bezlitosną rzeczywistością. Myślałam tylko o jednym (tłumiąc płacz, który był tuż, tuż...), a mianowicie o tym, że przecież najważniejszej rzeczy już chyba nie zdąży się zrobić – p r ó b y m u z y c z n e j!!!

Jakże błahe wydawały mi się teraz poprzednie zmartwienia.

Zostały przygotowane i wypróbowane światła, dźwięk, kamery telewizyjne, filmowe (część występu miała być sfilmowana), mikrofony radiowe, moje oblicze w zbliżeniu i innych planach – tylko na próbę muzyczną wciąż nie było czasu!

A piosenki były trudne, o zmiennych rytmach, nieznane przecież włoskim muzykom. Ja też śpiewałam z nimi pierwszy raz w życiu, więc o zgraniu i ewentualnym improwizowaniu nie mogło być mowy.

W końcu maestro przegrał po zwrotce każdej z dziesięciu piosenek. Publiczność już wchodziła na salę...

Po koncercie, kiedy wszystko wyszło nadspodziewanie dobrze, dowiedziałam się od Pietra, że zbyt tragicznie podchodzę do tych spraw, że to jest muzyka rozrywkowa, lekka i tak też trzeba ją traktować. Niech mu wybaczy którykolwiek ze świętych włoskich – ja nie mogę!

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że może mnie spotkać stokroć gorsza historia. W czasie mojej następnej bytności we Włoszech pojechałam z Pietrem samochodem do Cannes na Międzynarodowe Targi Płytkowe MIDEM.

Nasz przyjazd do Cannes opóźnił się poważnie z powodu kłopotów wizowych na granicy włosko-francuskiej. Droga górską tworzyła takie zawijasy, że w pewnym miejscu przecinała dwukrotnie teren włoski na kilkukilometrowej zaledwie przestrzeni, a ja miałam zezwolenie na jednorazowe przekroczenie granicy włosko-francuskiej. Ostatecznie, po niekończących się dyskusjach i spisywaniu protokołu, stróże porządku zgodzili się na wykorzystanie mojej wizy powrotnej do Mediolanu – przy wjeździe do Francji. Podróż powrotną odbyliśmy dla pewności samolotem, gdzie nikt nas nie znał. Ostatecznie wróciłam jakimś cudem, znanym tylko Pietrowi, do Mediolanu bez wizy wjazdowej. Przybyliśmy zatem do Cannes bardzo późno.

Oczywiście, nie zdążyłam na żadną próbę z orkiestrą. Dobrze, że udało mi się w ogóle wystąpić, a i to tylko dzięki mojej umiejętności błyskawicznego przebierania się i czesania. Nie wiem do tej pory, skąd wzięłam siły do tego przebierania, nie mówiąc już o śpiewaniu.

Siedmiogodzinna podróż samochodem serpentynami po górskim terenie, zimą – przypawiła mnie o taką chorobę morską, że Pietro zmuszony był przystawać dość często. Drobnostką wydawała mi się wtedy prawdziwa choroba morską na „Batorym”. Myślałam, że już nigdy nie wysiądę z samochodu o własnych siłach. A jednak wysiadłam, przebrałam się i stanęłam przed mikrofonem, prosto z samochodu, bez żadnej próby muzycznej, nie znając zupełnie nowej aranżacji *Wróc do Sorrento*, specjalnie na ten koncert napisanej. Znałam jedynie dyrygenta, na którego pomoc w trakcie śpiewania liczyłam.

Cóż, kiedy po powitalnych oklaskach znikł on niebawem razem z orkiestrą za przepiękną

kurtyną oddzielającą go od solisty. Scenograf, który na ten genialny pomysł wpadł, nie doczekał się ode mnie dobrego słowa. W duchu oczywiście!

Odśpiewałam zatem „mój numer” na wycucie, starając się jednocześnie z największym wysiłkiem woli o utrzymanie równowagi na dziwnie miękkich nogach i uśmiech, który jak mi wiadomo, był transmitowany przez wszelkie możliwe stacje telewizyjne.

I znów wyszło na to, że Pietro miał rację, ale za jaką cenę... o tym wiedziałam tylko ja.

Nie tylko nikt niczego nie zauważył, ale przeciwnie – podobał się mój sposób śpiewania, a nawet... doszukano się podobieństwa do znanej aktorki filmowej, tzw. seksbomby. Po zastanowieniu się doszłam do wniosku, że zawdzięczam ten komplement (bo to miał być niewątpliwie bardzo miły komplement) długim, jasnym włosom i wzrostowi. Bo... głównego atrybutu pasującego tę aktorkę na seksbombę byłam niestety pozbawiona. Wprawdzie nie mogę narzekać – mam dobrze funkcjonującą diafragmę, a w związku z tym mam czym oddychać i... śpiewać, ale – przeciwna jestem wszelkiej przesadzie!

Ale wróć jeszcze do sali „de Gaulle’a i Bonapartego”. W pierwszej części wystąpił zespół murzyński The Folk – Studio Singers ze swymi oryginalnymi bluesami. Niezwykle uzdolnieni chłopcy, nie tylko cudownie śpiewający, ale i grający na wielu instrumentach i tańczący równocześnie.

Jeśli chodzi o taniec, sposób poruszania się, to wiele razy miałam okazję, by się przekonać o tym, że biali nie są w stanie dorównać swym czarnym braciom. Tej płynności, harmonii i gracji ruchów, genialnego wycucia rytmu nie można się nauczyć. A nawet wyuczone – to już nie będzie to samo. Z tym trzeba się urodzić, mieć we krwi. Zaprzyjaźniłam się z nimi. Przysłali mi pozdrowienia ze swoich wędrowek po Włoszech, gratulacje do San Remo. Nie zapomnieli o mnie również wtedy, gdy leżałam w gipsie. Przyjechali pewnego dnia z Rzymu do Bolonii – po to tylko, by przynieść kwiaty i życzyć zdrowia połamanej koleżance. Teraz, kiedy to piszę, trwa właśnie olimpiada w Meksyku. Muszę dodać, że z satysfakcją śledzę sportowe zmagania i widzę, że nie tylko w tańcu, ale i w wielu dziedzinach sportu hebanowe dziewczyny i chłopcy są niedoścignieni.

Koncert prowadził najsympatyczniejszy konferansjer, jakiego spotkałam we Włoszech – pan Enzo Tortora. Mówił ciepło, bez przesady, bez zacięcia na królewskiego wesółka – jak to miało miejsce u większości konferansjerów.

Po występie, stojąc jeszcze na estradzie przed mikrofonem, odpowiadać miałam na „wolne pytania” publiczności. Na szczęście, w obliczu możliwości uzyskania tak ważnej informacji, jak „ile pani mierzy” – i to „z pierwszej ręki” – zbladły wszelkie inne sprawy dotyczące sytuacji międzynarodowej, a nawet... piosenki. Ponieważ moje zeznania, że „184 centymetry, bez obcasów”, jakoś nie zadowoliły słuchaczy, znalazłam szybko sposób na usatysfakcjonowanie ich w myśl hasła „nasz klient – nasz pan”. Powiedziałam, że najlepiej będzie, jeśli któryś z panów znanych szanownemu audytorium pofatyguje się do mnie na scenę i stanie obok. Był to na moje szczęście jakiś dryblas – aktor, przy którym stanawszy bez pantofli, sama sobie wydałam się „średniego wzrostu”! Nie był to bynajmniej mój debiut, jeśli chodzi o tak bohaterski czyn samounicestwienia.

Po zakończeniu międzynarodowego festiwalu w Ostendzie w roku 1965 odbyło się wręczenie nagród w pięknej sali Kursalu. Wszyscy uczestnicy festiwalu zostali poproszeni na scenę. Chwilę staliśmy wśród braw, świateł i błysków fleszy. Potem wszedł na scenę burmistrz miasta i odczytał miłe i serdeczne przemówienie, wręczając paniom trzy pierwsze nagrody w postaci metalowych łodzi z żaglami na marmurowej podstawie. Pierwszą nagrodę – złoty żagiel – zdobyła wtedy Monique Leyrac, srebrny – Greczynka Niki Kamba, też dobrze nam znana z Sopotu, brązowy żagiel otrzymałam ja. W przemówieniach okolicznościowych do moich szanownych koleżanek pan burmistrz sięgnął do opisu surowej i pięknej Kanady, potem do pięknych tradycji Grecji, do Orfeusza... Podziwiałam jego poetyckie wynurzenia. Ale przy wręczaniu brązowego żagla osaczyło go nagle dręczące poczucie niższości. Po cierpliwym wysłuchaniu jego skarg odparłam ze zrozumieniem: „Cóż mogę zrobić dla pana... chyba tylko to...” – to mówiąc, zdjęłam błyskawicznie złote pantofle o sześciocentymetrowych obcasach i stanęłam obok w pończochach. Efekt był podobny bliźniaczo do reakcji publiczności we

Włoszech.

Wszyscy wydawali się nad wyraz ubawieni i w zupełności ukontentowani. (Wszelkie komentarze pozostawiam w obu wypadkach dla siebie).



Anna w początkach kariery



Anna i Nadia Constantopoulu w Sopocie (1964)

Mogłoby się wreszcie komuś nasunąć pytanie: skoro jej było aż tak źle, po co kontynuowała to wszystko, w imię czego?

Miałam swój cel, który „uświęcał” środki.

Moja rodzina składa się z mamy i babci. Ojca straciłam w wieku dwóch lat, a więc całe moje życie, wykształcenie zawdzięczam trosce, miłości i ciężkiej pracy tych dwóch najbliższych mi istot.

Los, który przypadł nam w udziale, nie był zbyt łaskawy. Mieściło się w nim to wszystko, co składało się na życie setek tysięcy ludzi w ciągu ostatniej wojny, łącznie z głodem, wygnaniem, śmiercią całej rodziny.

Chciałam więc teraz, mając ku temu możliwości, choć w małym stopniu osłabić wspomnienia przeszłości, zatrzeć je treścią lepszego życia. Chciałam kupić mieszkanie. Ten, kto nigdy w życiu nie miał własnego kąta, zrozumie, jakie to ma znaczenie dla człowieka. Można ciężko pracować przez cały dzień wśród ludzi, ale po pracy trzeba mieć tę zbawienną możliwość odizolowania się w czterech ścianach własnego pokoju, urządzonego według własnych upodobań. Z wiekiem ta potrzeba staje się coraz wyraźniejsza, mocniejsza. A moja babcia ma już 84 lata i jeszcze nigdy nie mieszkała w warunkach godnych człowieka XX wieku. Myliłby się ktoś, myśląc, że mam na myśli ogrody, baseny, tarasy w wielopokojowych willach, choć nie miałabym nic przeciwko takim luksusom. Uważam nawet, że każdy człowiek na ziemi powinien mieć na własność chociaż jedno drzewo.

Ja myślałam o zwykłym trzypokojowym mieszkaniu z ciepłą bieżącą wodą i urządzeniami sanitarnymi.

I to moje gorące pragnienie osiągnięcia celu pozwalało mi nie zauważać „drobnych przeciwności”. Musiałam się spieszyć, jak najprędzej zarobić te pieniądze. Człowiek, który ma za sobą 84 lata ciężkiego życia, przekroczył już bowiem dawno połowę swej ziemskiej wędrówki. Bardzo kocham babcię, która mnie właściwie wychowała i pozwoliła odziedziczyć po sobie usposobienie. Moja matka musiała całe swe życie poświęcić pracy, nie zawsze zgodnej z jej wykształceniem.

Czytelnikowi na pewno nasunie się pytanie: „Dlaczego więc do tej pory nie kupiła tego mieszkania, choć śpiewa już od sześciu lat?”

Spróbuję wyjaśnić. Niestety, będę musiała obalić mit o kosmicznie dużych i łatwych zarobkach piosenkarzy (przepraszam, wiem, że obalanie mitów rozczarowuje). Piosenkarz otrzymuje u nas za nagranie płyty długogrającej jednorazowe wynagrodzenie, które wynosi średnio 10000 zł. Ile takich płyt ma na swoim koncie większość piosenkarzy – łatwo sprawdzić. Górna granica stawki za koncert (ustalonej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki) wynosi 500 zł. Za archiwalne nagranie w radiu otrzymuje się również jednorazowe wynagrodzenie w wysokości 500 zł. Za występ w telewizji otrzymywałam od 400 do 1000 zł, w zależności od liczby śpiewanych piosenek.

Wydaje mi się, że już w świetle tych kilku liczb stanie się oczywiste, że zarobki piosenkarza traktującego swoją pracę uczciwie i z pełnym poczuciem odpowiedzialności, któremu obca jest chałtura i zasada: wszystko dobre, za co płacą, nie odbiegają od dochodów średnio sytuowanego Polaka, przy czym wszelka planowana i racjonalna gospodarka jest wykluczona, gdyż nigdy się nie wie, jaką sumą w danym miesiącu będzie można dysponować. A przecież z zawodem artysty tułacza łączą się dodatkowe niebagatelne wydatki (już chociażby życie hotelowe, toalety, nieodzowne dla reklamy serwisy zdjęć, bardzo często na własny koszt zamawiane aranżacje piosenek i wiele, wiele innych).

Wszystko, co napisałam, nie jest łzawym biadoleniem „nad ciężkim losem biednego piosenkarza”. Przecież nikt nas do wyboru tego zawodu nie zmuszał i większość z nas za żadne skarby świata nie chciałaby go zmienić (nawet jeśli mają w zanadrzu inny, „szacowniejszy”). Chociaż nie jesteśmy krezusami, ale robimy to, co sprawia nam radość – możemy śpiewać i co najważniejsze, wiemy, że u nas sam śpiew jest celem, a nie środkiem do celu.

Wspominam o tym tylko dlatego, ażeby wyjaśnić, jak to się stało, że zdecydowałam się na podpisanie trzyletniego kontraktu, chociaż każde dłuższe rozstanie z krajem przeżywam zawsze jak



katakлизм.

Karierą piosenkarza na Zachodzie rządzą prawa biznesu. Przy pomyślnej koniunkturze i odrobinie szczęścia nawet jedna nagrana na płyty piosenka szlagierowa może przynieść stosunkowo duży zarobek, gdyż płyty rozchodzą się wtedy w ogromnych nakładach, a wykonawca, podobnie jak kompozytor i autor tekstu, otrzymuje ustalony procent od liczby sprzedanych płyt. Na to liczyłam.

Oczywiście osławione (zresztą zgodnie z prawdą) oszałamiające zarobki piosenkarzy zagranicznych są udziałem tylko nielicznych wybrańców losu, którzy stali się bardzo popularni. Na przykład Tom Jones, będący obecnie u szczytu sławy, otrzymuje – jak doniosła nasza prasa – 10 000 dolarów za jeden występ. To bardzo dużo, nawet jeśli odliczymy podatki, gaże dla całej armii muzyków, aranżerów, kompozytorów itd. Tłuste lata jednak na ogół nie trwają długo. Przychodzą „nowe twarze” na miejsce starych, znanych, choćby najlepszych – jak w kalejdoskopie. Trzeba się spieszyć, zarobić już teraz, dziś – na chude lata, które przyjdą wtedy, kiedy osłabnie zainteresowanie odbiorcy. Robi się więc wszystko, żeby utrzymać się jak najdłużej w jasnym świetle reflektorów. Trzeba podtrzymać ciekawość, zainteresowanie widza-słuchacza wszelkimi sposobami, za wszelką cenę. W reklamie wszystkie chwytły są dozwolone. Niestety, nie wszystkim starcza sił na taką walkę. Są tacy, którzy sami odchodzą ze sceny. Tak jak Luigi Tenco.

W czasie moich „wielkich” dotychczasowych tournée zagranicznych – jak wyjazd do Anglii z orkiestrą Stefana Rachonia czy z grupą Pagartu do USA i Kanady – otrzymywałam za swoje występy jedynie diety. Wystarczały one na wyżywienie, a czasem (bardzo rzadko, bo bilety są drogie) na pójście do teatru czy na musical.

Festiwale odbywały się w ogóle za darmo. Sam splendor uczestnictwa był wystarczającą zapłatą. Dlatego też brałam bardzo chętnie udział w festiwalach i wyjazdach grup artystycznych za granicę. Było to zawsze ogromne, ciekawe przeżycie. Poznawałam inne kraje, ludzi, obyczaje. To nic, że sytuacja finansowa pozostawiała nieco do życzenia. Na przykład uczestnicy biorący udział w międzynarodowym festiwalu piosenki w Ostendzie (Belgia) zostali rozlokowani w małych hotelikach, gdzie były opłacone z góry śniadania i kolacje. Za to obiady podawano uczestnikom przy wspólnych stołach w pięknych salach Kursalu.

W czasie licznych spotkań cocktaile i wszelkie napoje alkoholowe (i nie tylko) podawane były również na koszt organizatorów festiwalu. Wydawałoby się, że zapewniono absolutnie wszystko. Niemniej jednak, kiedy nadszedł dzień występu, „gwiazda” zmuszona była wziąć swój bagaż (suknia sceniczna, pantofle itd.) pod pachę i powędrować pieszo do miejsca przeznaczenia (nie miałam pieniędzy na taksówkę).

Fakt ten powinien wywołać we mnie co najmniej uczucie „małej „katastrofy”. Spowodował jednak wybuch wesołości na widok zgorzzonej, zdziwionej miny portiera. Tak więc przy odrobinie poczucia humoru i minimalnym rozeznaniu w hierarchii spraw ważnych i nieważnych – sytuacje takie mogły być źródłem filozoficznej zadumy nad życiem, a nigdy powodem do zmartwień. Zresztą byłam tylko gościem w tym obcym świecie. Wiedziałam zawsze, że za kilka tygodni, dni wrócę do domu i do spraw dla mnie najważniejszych.

Nie mogę nie wspomnieć przy okazji o najprzyjemniejszym wyjeździe zagranicznym. Był nim wyjazd z trzydziestoosobową grupą artystów do USA i Kanady. Właściwie przyznam się od razu, chodzi mi nie o pobyt na terenie USA i Kanady, tylko o samą podróż „Batorym”. Ilekroć spotykam się z uczestnikami tego tournée – zawsze wspominamy z rozrzewnieniem naszą podróż tym statkiem. Wspólne posiłki, niebiańskie desery, grę w bingo, a nawet 9° w skali Beauforta.

Zajmowałam kajutę wraz z Kasią Bovery. Ja na dole, Kasia na górze. Przez sześć dni szalał sztorm na oceanie. Nasza kajuta mieściła się na górnym pokładzie, a jednak fale z łoskotem uderzały w okna – przepraszam, w iluminatory. Wszystko fruwało po kajucie – kremy, perfumy (ustawione przedtem pięknie przed lustrem), książki, pantofle, krzesła. Wszystko, co nie było przymocowane do podłoża. Nie mogłyśmy, niestety, zaprowadzić porządku. Leżałyśmy grzecznie na plecach w swoich kojach, uważając pilnie, by z nich nie wypaść. Każde, nawet najłżejsze uniesienie głowy groziło natychmiastowym udaniem się (galopem) do łazienki.

O... dużo deserów ominęło nas z Kasią w ciągu tych sześciu dni. Ale nie wszystkim ocean

dał się tak dotkliwie we znaki. Podobno nawet wtedy, gdy cały salonik w jadalni świecił pustkami – zjawiali się regularnie i punktualnie: pan Władysław Jakubowski i pan Lucjan Kydryński. I to nie w celach towarzyskich. Odznaczali się niezmiennie doskonałym apetytem.



Anna i Bolesław Gromnicki w Stanach Zjednoczonych (1966)



Na pokładzie MS „Stefan Batory” podczas podróży do Stanów Zjednoczonych  
(marzec 1966)



Anna podczas sesji fotograficznej we Włoszech (1966)

W pięknej sali Circolo della Stampa w Mediolanie poznałam też pana Enza Buonassiesiego. Jest to główny krytyk i recenzent wszelkich wydarzeń kulturalnych Mediolanu, współpracownik „Corriere della Sera”. Niezwykle sympatyczny, dobry i życzliwy. Po oficjalnym zapoznaniu, po kilku grzecznościowych uwagach na temat podróży, hotelu, klimatu itp. z niespokojnego zachowania się pana Buonassiesiego wywnioskowałam, że główne, zasadnicze pytanie dopiero padnie. I rzeczywiście, po chwili usłyszałam je wypowiedziane cicho, z nadzieją w głosie: „Czy pani lubi gotować?”. Mój nieostrożny śmiech i lekkomyślnie wypowiedziane „nie lubię” wywołały wyraz tak głębokiego rozczarowania na twarzy mego rozmówcy, że na następne pytanie wypowiedziane już bez cienia nadziei, pro forma – „Czy pani chociaż umie gotować?” – skłamałam szybko i bez zająknięcia, przewidując w przeciwnym razie katastrofę. Wykalkulowałam sobie bowiem, że przecież na sprawdzenie moich umiejętności kulinarnych i tak nie będzie ani czasu, ani okazji. A po co martwić niepotrzebnie bliźniego?

Może dodam na usprawiedliwienie mego koszmarnego faux pas, że mężczyzna przy rondlu nie wzbudza we mnie żadnych uczuć „wyższych”. Nie wiem, czy sam Gregory Peck rozprawiający z błyskiem uniesienia w oku o wyższości sosu grzybowego nad jakimkolwiek innym – byłby w stanie mnie uwieść (gdyby istniały oczywiście ku temu potencjalne możliwości). We Włoszech spotykałam się z tym dziwnym zjawiskiem dość często. Nawet Ranucio przepadał za gotowaniem...

W czasie na przykład deseru, kiedy każdy normalny, szanujący się mężczyzna – zaspokoiwszy uprzednio głód – zabiera się niezwłocznie do naprawiania świata lub w najgorszym wypadku do komentowania rekordów sportowych – co trzeci Włoch (moja własna statystyka) rozpamiętuje smak zjedzonych dań, dodając do tego improwizację na zadany (czytaj „zjedzony”) temat. W najlepszym wypadku rozgorzeje dyskusja na tematy damsko-męskie. Przyznać muszę, że – jak się później przekonałam – pan Buonassiesi miał nie tylko wielkie skłonności ku sprawom podniebienia, ale wręcz wielki talent. Wydał kilka książek kucharskich z własnymi, oryginalnymi przepisami. Jest niezrównanym znawcą kuchni wszystkich regionów Włoch i oczywiście wielkim smakoszem. Jest członkiem jury na każdym zjeździe smakoszy. Nie wiem właściwie, jakiej nazwy użyć w tym wypadku, ale myślę, że spokojnie mogę podciągnąć te kulinarne wydarzenia pod nazwę festiwalu.

Czasem określony rejon Włoch wystawia swoje potrawy, czasem są to zjazdy mistrzów patelni z całych Włoch.

I wtedy trzeba nie lada zamięłowania i odporności żołądka, żeby sprostać wymaganiom stawianym jurorom. Wprawdzie pan Buonassiesi nigdy nie odmawia swego udziału, niemniej jednak jego sylwetka nie ma nic wspólnego z wyglądem Falstaffa.

Pan Buonassiesi jest poza tym cenionym pisarzem, poetą. Podarował mi przed odjazdem swą pracę pod tytułem „50 lat włoskiej piosenki”. Jest to bardzo piękna książka wydana w formie albumu, bogato zaopatrzona w unikalne zdjęcia i nagrania piosenkarzy. Zaprosił mnie któregoś dnia do redakcji „Corriere della Sera” i pokazał pracę we wszystkich działach, poznał mnie z pracownikami – począwszy od portiera, a na generalnym dyrektorze skończywszy. Zaprosił też do swego domu na obiad własnoręcznie przyrządzony. Przedstawił mnie żonie Lii, córce Elvirze, narzeczonemu córki i... najważniejszemu członkowi rodziny – pieskowi.

Piesek był niewielki, o brązowej kręconej sierści, chyba pudel. (Przepraszam w razie pomyłki, ale absolutną pewność co do rasy mam tylko w przypadku jamnika). Piesek – zauważyłam to z miejsca – miał ogromne przywileje, a to głównie z powodu niespotykanego talentu muzycznego. Wystarczyło powiedzieć: „A teraz zaśpiewaj coś ładnego”, a pudelek siadał natychmiast na tylnych łapkach, zadzierał pyszczyk, przymykał oczy i zaczynał przeraźliwie, tęsknie wyć. Tak się w tym „śpiewie” zapominał, że trudno mu było przerwać. Jedyne jakiś smakołyk był go w stanie uciszyć. Nieobce mu było uczucie profesjonalnej zazdrości, ponieważ wszelka muzyka z płyt czy radia nastrajała go nadzwyczaj wrogo do źródła dźwięku. Nie znosił widocznie konkurencji we własnym domu. Trzeba go było uprzednio zamykać w oddalonym pokoju.

Bardzo przyjemnie wspominam też inne zaproszenie państwa Buonassiesich. Tym razem

była to restauracja. Miała to być niespodzianka, więc nie wiedziałam, gdzie się znajdę – a znalazłam się w gospodzie jakby żywcem wziętej ze starych obrazów. Nie za dużo światła, długie drewniane stoły z ławkami zamiast krzesel. Na drewnianych słupach podpierających sufit – zawieszono brzuchate słomiane koszyki z winem, a z sufitu zwisały całe girlandy czosnku i cebuli. Podawano różnorodne pikantne potrawy o nazwach nic mi niemówiących, bo nieznanych zupełnie, ale o smaku wybornym.

Potraw zresztą nie ma sensu opisywać – trzeba po prostu samemu spróbować! Ponieważ nie przepadam za słodyczami – bardzo mi przypadła do gustu ta ludowa kuchnia, ostra i pieprzna jak język jej „wyznawców”.

W oczach pana Buonassiego bardzo zyskałam tego wieczoru. Smakowało mi i pan Buonassisi z aprobatą podsuwał mi coraz to nowe potrawy „przynajmniej do spróbowania”.

Tak... z wielką serdecznością wspominam pana Buonassiego, jego gościnność i szczerą przejęcie się moim samotnym żeglowaniem po bezmiarze obcych obyczajów i językowych trudności. Człowiek jest w stanie zrozumieć drugiego człowieka bez względu na różnice geograficzne, obyczaje, religię, język... Trzeba tylko chcieć – to wystarczy.

Ale oto ku mojej ogromnej radości mój pierwszy pobyt w Mediolanie zbliżał się ku końcowi. Miałam niebawem wrócić do Warszawy, a potem do moich kochanych pań do Wrocławia.

Ostatnia noc w hotelu. Spakowałam się błyskawicznie poprzedniego już wieczora i teraz nie mogłam ani usiedzieć, ani uleżeć na miejscu. Mój pokój hotelowy był bardzo czysty i wygodny, z łazienką o niebieskich kaflach. Ale ulica była dość ponura, tak że okno było najczęściej zasłonięte. Spostrzegłam kiedyś, wyglądając przez nie, że w domu naprzeciw (ulica była wąska) przy pomocy lunety zabawia się jakiś pan. Z pewnością nie chodziło o moje okno, ale sama świadomość, że ktoś może podglądać – nie była przyjemna. Nie był to jednak powód do zasłaniania okien. W domu naprzeciw kilka dni po moim przyjeździe zmarła jakaś starsza osoba. Jak się później dowiedziałam, świadczy o tym kolor olbrzymich kotar zawieszonych na bramie od zewnątrz i kolor chodnika wychodzącego aż na ulicę. Tym razem kotary były ciemnofioletowe, a chodnik czarny.

Robiło to na mnie tak przykre wrażenie, że zasłaniałam okno, chcąc w ten sposób uchronić się od widoku tych kotar, smutnych jak sama śmierć.

Nie wiedziałam, że miało tak być jeszcze cztery razy w tym samym domu naprzeciw. Moje okno było więc zasłonięte aż do końca mego pobytu w Mediolanie. Później też, kiedy już tych kotar nie było, przykre wrażenie skojarzone z tą bramą – zostało.

Wkrótce już wszystko – i dobre, i złe – miało przejść do wspomnień. Moją granicą dzielącą wspomnienia od rzeczywistości był port lotniczy, a dokładniej nie port, tylko pokład polskiego samolotu. Tam zaczynała się dla mnie Polska – rzeczywistość, która mnie obchodziła – bez względu na to, czy przynosiła radość, czy zmartwienie. Była rzeczywistością pożądaną w każdym swym przejawie.

Jechałam więc po nowy zapas energii, miłości okazywanej mi w listach, a w ogóle jechałam do domu się ogrzać!

Oczywiście czekały mnie w Polsce i zobowiązania. Otrzymałam kiedyś zaproszenie od profesora Tadeusza Ochlewskiego do wzięcia udziału w jednym z koncertów muzyki dawnej. Nie mam wykształcenia muzycznego, a głos mój jest postawiony z natury i nie ma w tym żadnej mojej zasługi. Śpiewanie nie nastęcza mi żadnych trudności, jestem jednakowo dysponowana o każdej porze dnia i nocy. Nie muszę się nigdy rozśpiewywać, nie muszę przesadnie dbać o gardło itd.

Ale to przecież nie wystarcza, myślałam, do tego, by śpiewać arie Scarlattiego, te arie, które śpiewaczki śpiewają po wielu latach pracy nad głosem.

Moje obawy zmniejszył profesor Ochlewski, tłumacząc mi, że muzyka Domenica Scarlattiego (ta, którą mi proponował) jest muzyką kameralną, wykonywaną kiedyś w warunkach bardzo kameralnych, dla nielicznego grona słuchaczy, i można ją śpiewać „nieszkolonym” głosem. Twierdził, że może to mieć nawet swój urok, kiedy strona techniczna głosu nie przesłoni naturalnego brzmienia i interpretacji utworu. Prawdopodobnie za czasów królowej Marysieńki tak

właśnie te arie były wykonywane.

Nie byłam zupełnie przekonana, że wolno mi sięgać po arie Domenica Scarlattiego – ale muzyka okazała się tak piękna, zespół Con Moto Ma Cantabile tak miły i koleżeński, a pan profesor tak kochany... Zaryzykowałam.

Pan profesor był ze mnie zadowolony – i po koncercie w małej sali Filharmonii Warszawskiej, i po programie telewizyjnym zrealizowanym w Wilanowie, noszącym tytuł *Tetyda na Scyros*.

Ale skończę już rozważania na ten temat, bo gotów by mnie jeszcze ktoś posądzić o zarozumiałość, a przecież tak nie jest. Po prostu bardzo lubię śpiewać i kiedy udaje mi się zadowolić kogoś, nie sprawić zawodu – ogromnie się cieszę. Kiedy nikt nie widzi, zdarza mi się nawet podskakiwać z radości. To wszystko. Mój udział w koncercie muzyki dawnej z zespołem Con Moto Ma Cantabile spotkał się z życzliwym przyjęciem publiczności. Kilka tygodni po koncercie dotarły do mnie jeszcze jedne gratulacje z bardzo daleka... bo aż z Południowej Afryki. Okazało się, że pracujący tam polski inżynier przebywał w tym czasie na urlopie w kraju, a że jest miłośnikiem muzyki dawnej – przyszedł na koncert. Moja płyta, która zawędrowała tą drogą aż na Czarny Kontynent, zyskała uznanie. Piosenki z tej płyty (pierwsza moja płyta *Tańczące Eurydyki*) zdobyły w pięciu rozgłośniach – w tym w dwóch „czarnych” – pierwsze miejsce w konkursie na melodię miesiąca. W jednym ze szpitali dla dzieci wybrano *Melodię dla synka*.

To miała być radosna wiadomość, ale muszę powiedzieć, że więcej w tym było smutku i zażenowania. W tym kraju, gdzie nie tylko rozgłośnie, ale i ścieżki w parku są oddzielne dla białych i czarnych – stać było czarną publiczność na to, by we własnej rozgłośni przyznać pierwsze miejsce białej dziewczynie.

Otrzymałam później wspaniałą pamiątkę z Południowej Afryki – pierścionek, bransoletkę i korale – komplet z kości słoniowej roboty zuluskiego artysty. Otrzymałam też bukiet kwiatów, które rosną tylko w jednym miejscu naszej ziemi – właśnie w Południowej Afryce. Były to kolorowe protee. Teraz są już wysuszone i straciły barwę, ale zachowały kształt kielicha i liści. Mogą tak trwać wiele lat.

XVII FESTIVAL  
DI SANREMO

ANNA GERMAN

*Gi*

CD  
2005





Anna podczas pobytu we Włoszech (1966)

Termin ponownego wyjazdu do Włoch nieubłaganie się zbliżał. Tym razem mój pobyt we Włoszech miał się zakończyć udziałem w festiwalu w San Remo. Ten festiwal spędzał mi sen z powiek. Nie tylko z powodu repertuaru i toalet festiwalowych. Ponieważ na repertuar – rozważałam – i tak nie będę miała większego wpływu, postaram się przynajmniej o toaletę. Z pomocą przyszedł mi pan dyrektor Jakubowski. Pan dyrektor lubi przeprowadzać plany nowe, śmiało, rzekłabym – małe, a w miarę możliwości i większe – rewolucje. Dzięki jego zmysłowi organizacyjnemu i znajomości dusz ludzkich – pierwsza Polka śpiewała w Olympii, a teraz miała zaśpiewać w San Remo. Dowiedziawszy się pewnego razu w rozmowie o moich kłopotach, zaprosił do siebie do domu panią Grabowską i pokierował zreżymowaną niebawem dyskusją. Dzielnie sekundowała nam małżonka pana dyrektora – pani Nelli.

Zresztą pani Grabowskiej nie trzeba było przekonywać. Odniosła się z wielkim zrozumieniem do sprawy, której pomyślnie zakończenie nie tylko wyzwoliłoby mnie z kłopotów, ale i przysporzyło reklamy Modzie Polskiej. Jak wiadomo, festiwal transmitowany jest do wielu krajów.

Pani Grabowska zaprojektowała nawet na poczekaniu kreację dla mnie. Miała to być suknia o kroju podobnym do szlacheckich kontuszy, z brokatu w kolorze brązowo-złotym. Oblamowanie z brązowego futra.

Włosy miałam uczesać w warkocz zgodnie ze stylem epoki. Bardzo mi się podobał projekt pani Grabowskiej.

Jakież było moje rozczarowanie, gdy następnego dnia w pracowni pani Grabowskiej dowiedziałam się o klęsce. Władze nie zatwierdziły propozycji pani Grabowskiej. Wprawdzie zaproponowano mi uszycie tej samej kreacji, nawet w terminie, ale... suma przekraczała moje możliwości.

Przed wyjazdem zakupiłam dla nowych znajomych we Włoszech różne pamiątki cepeliowskie, jedną aranżację piosenki i jej rozpisanie kosztuje średnio 2500 zł. Seria zdjęć do celów reklamowych, których Pagart domagał się dość dawno, i w końcu blisko dwutygodniowy pobyt w hotelu w Warszawie – oto przyczyny w wielkim skrócie podane, które spowodowały kompletne pustki w mojej sakiewce.

Zabrałam więc te suknie, które miałam, i pojechałam.

I znów rozpoczął się bardzo pracowity okres. Z tym że do spraw ciuchowych (jak nazywałam pozowanie do zdjęć w domach mody) doszły nareszcie sprawy czysto muzyczne. Miłą niespodzianką była wiadomość, że mogę sobie wybrać piosenkę festiwalową.

Wyjaśnię może, w jaki sposób odbywają się eliminacje piosenek festiwalowych. Na wiele miesięcy wcześniej zainteresowani kompozytorzy i autorzy tekstów, mając gotową piosenkę i wykonawcę (niekoniecznie tego samego, który ją ma wykonać na festiwalu), zaczynają polowanie na wolne studio nagrań. Niezmiernie trudno w tym okresie o wolne studio. Po zdobyciu studia (najczęściej na ściśle określony czas) nagrywa się piosenkę na próbną płytę. Oczywiście nie „w całej krasie”, tylko z towarzyszeniem kilku muzyków, w celu ogólnego zorientowania się jury o walorach piosenki.

W ustalonym terminie, po którym nie są już przyjmowane żadne nowe piosenki – jury sadowi się wygodnie w fotelach, skupia się (przypuszczam, że przy szklaneczce jakiegoś napoju wzmacniającego) i przesłuchuje cierpliwie setkę piosenek co najmniej. Zakwalifikowanych zostaje około trzydziestu. Z tej liczby połowa odpadnie i do finału wejdzie już tylko piętnaście, te, które walczyć będą o pierwsze miejsce – o złoty medal. Liczy się tylko pierwsze miejsce. Każdą piosenkę wykonuje piosenkarz włoski i zagraniczny. Dwukrotne wykonanie tej samej piosenki, w dwóch różnych aranżacjach daje większe możliwości prawidłowej oceny jury.

Ponieważ teraz, gdy piszę, trwa olimpiada w Meksyku, a ja twardo oglądam wszystkie transmisje – mimo woli używam terminologii sportowej – jak medal, eliminacje, runda, ring, nokaut – bo to i podobieństwa doszukać się można, i sprawiedliwość, która powinna rządzić i tu, i tam, nie zawsze ma wstęp na ring i arenę piosenkarską.

No, ale nie darmo Temidzie zasłonięto piękne oczy. Pewnie dlatego, by nie martwić bogini.

Jak już wspomniałam, prawie codziennie odbywały się spotkania z kompozytorami. Czasem

kompozytor nie mógł być obecny, wtedy autor tekstu zastępował go dzielnie. Twórcy przegrywali mi swoje piosenki i sami też zazwyczaj śpiewali, interpretując wyraziście wykonywany utwór całym ciałem (z wyjątkiem rąk, które musiały trzymać się klawiatury). Przyzwyczaiałam się już zresztą do tego, że nie ma niemuzykalnych Włochów. Gdyby zaszła potrzeba, każdy mógłby przystąpić do śpiewania zawodowego.

Spostrzegłam też dość prędko, że te spotkania, na które tak się cieszyłam, miały stać się dla mnie wkrótce utrapieniem. Nie było mowy o spokojnym przesłuchaniu piosenki i obiektywnej ocenie w obecności zachwalającego, rozentuzjasmowanego, spoconego z podniecenia – autora. W każdym razie mnie nie stać było na stwierdzenie – „Nie, proszę pana, nie podoba mi się”. Jedynym argumentem, do którego próbowałam się uciec, były słowa następujące: „Proszę pana, czy nie sądzi pan, że ta piosenka mi nie leży, że nie zaśpiewam jej tak, jak pan sobie życzy?”. Ale to też dawało wręcz odwrotny rezultat. W końcu z ciężkim sercem, z uczuciem popełnianej zbrodni prosiłam o czas na „przemyślenie”.

W czasie tych spotkań poznałam wielu kompozytorów i autorów tekstów.

Są to nazwiska doskonale znane i w Polsce.

Przede wszystkim Domenico Modugno, Fred Bongusto, Pino Donaggio, V. Pallavicini, Sergio Endrigo, Giovanni D’Anzi – nestor włoskiej muzyki rozrywkowej, kompozytor i wykonawca w jednej osobie.

Wybrałam w końcu dwie piosenki.

Jedną – z muzyką dającą duże możliwości wokalne, o przyjemnym tekście, miłosnym oczywiście, ale z nutką pogodnej, filozoficznej zadumy.

Druga piosenka, na którą bardzo liczyłam i która bardzo mi się podobała – była właśnie kompozycją maestro D’Anzi. Była to muzyczna i tekstowa zarazem improwizacja na temat jednej z głównych melodii z *Opery za trzy grosze*. Piosenka bardzo interesująca, ambitna, nieszablonowa, ale na tyle łatwa, by móc ją zapamiętać. Niepodobna do setek innych piosenek, rozprawiających lepiej czy gorzej, ale przecież zawsze na ten sam temat związany z a m o r e g r a n d e i wszelkimi perypetiami z nim związanymi.

Piosenkę tę – tak jak wiele innych – nagrałam na próbny krążek (płytkę) w obecności kompozytora i jego licznych przyjaciół.

Było to malutkie studio, które udało się zdobyć Cariag-giemu – mimo to w małej mikserce zmieściło się sporo osób. Przyszedł Buonassisi z małżonką, D’Anzi, Cariaggi z jakąś panią. A muzycy, którzy uprzednio nagrali podkład muzyczny, też zostali w studiu z ciekawości.

Po nagraniu nie szczędzono mi objawów zadowolenia, a maestro D’Anzi pocałował mnie nawet w grzywkę. Po czym zamówiono wino i gorące mleko, by oblać przyszły sukces. Mleko było dla mnie.

Po tym wszystkim wiadomość o niezakwalifikowaniu piosenki maestro D’Anzi, samego D’Anzi (!) do festiwalu – była dla mnie czymś gorszym niż przysłowiowy grom z jasnego nieba. Niemniej jednak była to smutna prawda. Z przyczyn, które pewnie na zawsze pozostaną dla mnie tajemnicą – ta piękna piosenka została odrzucona.

Zostałam więc – jak to się mówi – na lodzie tuż przed festiwalem. Pietro rozpoczął gorączkowe poszukiwanie piosenki, ale co ciekawsze były już czyjaś „własnością”.

Wtedy okazało się, że wolna jest jeszcze piosenka Freda Bongusta. W ten sposób otrzymałam jego piosenkę tuż przed rozpoczęciem festiwalu w San Remo.

Tekst piosenki D’Anzi miałam już opanowany na blachę – tej musiałam się dopiero nauczyć. A czasu było mało. Bardzo mało. Powtarzałam więc słowa piosenki niemal całymi dniami, żeby mi się choć trochę „uleżały” – bo każdy tekst musi się utrwalić w pamięci tak, by w chwili zdenerwowania spowodowanego wejściem na scenę nie zapomnieć języka w gębie.

Od samego początku gnębił mnie także problem sukni festiwalowej. Pogodziłam się jeszcze w domu z tym, że wystąpię w swojej, która wcale nie była zła i której tu jeszcze nikt nie widział, ale – tradycyjnie już – Pietro się na to nie zgodził i zaprowadził mnie do pewnego domu mody, gdzie miano mi uszyć dwie suknie wieczorowe.

Jak już wspomniałam – wszelki upór czy próba pertraktacji z mojej strony były bezcelowe.

Pietro widocznie wychodził z założenia, że to po prostu niemożliwe, żebym posiadała modną suknię „made in Poland”. Nie sprawdzając zatem zawartości mojej szafy, działał na własną rękę.

Rozpoczęły się więc wielogodzinne przymiarki w salonie pani S., które byłyby zupełnie znośne, gdyby nie to, że pani S. aranżowała spotkania z fotografami w celach reklamowych. I zaczynała się dla mnie „stara pieśń”. Z każdą przymiarką mój sceptycyzm pogłębiał się, aż przeobraził się w końcu w zwyczajną rozpacz.

Zaproponowano mi dwie sukienki – krótką i długą. Krótka, w kolorze srebrnobiałym, miała mieć lamówkę na dole z białego puchu łabędziego. Ostatecznie mogłoby tak być, ale w czasie ostatniej przymiarki doszły do tego rękawy sięgające łokcia, całe z puchu, co w rezultacie upodobniło moją sylwetkę do zapaśnika najcięższej wagi. Moje zastrzeżenia zostały skwitowane dobrą radą: „Niech pani pilnie uważa na to, która kamera panią bierze, i stosownie do tego odwróci się profilem, puch jest szalenie telewizyjny” – zakończyła dyskusję pani S.

Mój Boże – pomyślałam. Gdyby nawet nie było oślepiających reflektorów uniemożliwiających wszelkie obserwacje sali, to i tak przecież nie byłabym w stanie w trakcie śpiewania myśleć i wypatrywać czerwonego światełka kamery telewizyjnej.

Nawet gdyby życie moje od tego zależało!

Ale pani S. widocznie nigdy nie śpiewała na scenie. Pierze zostało nieodwołalnie zaakceptowane przez Pietra, który już przecież za nie uprzednio zapłacił.

Długa suknia też nie budziła mojego zachwyty. Był to rodzaj złotawobrazowego brokatu. Na całym torsie naszyto kolorowe koraliki kłócące się z zasadniczym kolorem sukni.

Czułam się dla odmiany w niej jak koń na arenie cyrkowej. Jedynym pocieszeniem było to, że telewizja we Włoszech jest wciąż jeszcze czarno-biała i tej mojej koralowo-kolorowej uprząży nie będzie widać w całej krasie. Ale widzowie na sali... I jeszcze pocieszyłam się tym, że najważniejszą sprawą jest, jak się śpiewa, a nie w c z y m się to robi.

Z drugiej strony ja też lubię oglądać gustownie ubranych ludzi na scenie. Z własnego doświadczenia wiem również o tym, że ładny, harmonizujący z typem urody, wygodny strój jest ważnym składnikiem dobrego samopoczucia na scenie. Sandie Shaw nawet bosy występuje, żeby nic jej nie uwierało. Chociaż jest to moim zdaniem lekka przesada. Zastanawiałam się nieraz nad tym pełnym poświęcenia chwytem reklamowym koleżanki Shaw.

Wiele słynnych sal, gdzie odbywają się imprezy na skalę europejską, nie ma żadnego zaplecza, żadnych garderób. A ponieważ scena to nie pokład okrętowy czysty o każdej porze roku – gdzie więc moja szanowna koleżanka myje nogi? Pod kranem w toalecie? Kierując się własnym doświadczeniem, zapomniałam zupełnie o jeszcze jednej możliwości, z której pewnie Sandie korzysta. Można przecież udać się własnym jaguarem do hotelu i tam umyć nogi, czyż nie?

Problem sukni zakończył się dla mnie nieoczekiwanie pomyślnie. Do San Remo przyjechała również matka Pietra – pani Wanda Cariaggi. Któregoś dnia zapytała mnie sama, jak się czuję w sukniach festiwalowych i czy mi się podobają. Zaprosiłam ją do hotelu i urządziłam mały pokaz. Nic nie mówiąc, nie sugerując niczego, ubrałam się w te dwie suknie od pani S., a potem w moją własną. Ku mojej radości pani Wanda wybrała moją prywatną. A kiedy dowiedziała się o wszystkim, poradziła mi właśnie w niej śpiewać. Tak też zrobiłam. Pietro, usłyszawszy od matki o tym, że suknie są koszmarnie, zgodził się na zamianę bez protestu.

Miałam więc zamkniętą sprawę wyboru piosenki i sukni na festiwal. Pozostawały wciąż jeszcze sprawy reklamy, której nigdy nie było za wiele.

Dość dużo miejsca zabierają mi opisy sukienek, ale nie jest to podyktowane próżnością. Istnieją ciekawsze i ważniejsze problemy od tych, w których grzęzną modnisie na całym świecie. I wiem również, że niezależnie od tego, czy chodzi o kształt liścia z opaski biodrowej, czy o długość włosa futra fokowego – są to dla osób zainteresowanych sprawy niezmiernej wagi i doniosłości. Nie ma mnie w tych szeregach, naprawdę! Opisuję wszystko tak dokładnie dlatego, że oddaje to wiernie atmosferę, w której mi przyszło żyć.

Pamiętam pozowanie do zdjęć w salonie mody Burberrys. Właściciel tego luksusowego salonu zakomunikował mi zaraz przy powitaniu, że u niego ubiera się sam książę Filip. Rzeczywiście przyznać muszę, że wszystko, w czym się fotografowałam, było przedniej jakości

pod każdym względem. Ceny są odpowiednio wysokie, ale właściciel pamięta również o najliczniejszym nabywcy, niedysponującym na ogół tak horrendalnymi sumami – o młodzieży. Wystawy dotyczące mody młodzieżowej miały być oddane na czas trwania festiwalu – sprawom reklamy piosenki. Oczywiście była to równocześnie niezgorsza reklama dla właściciela salonu mody. W oknie wystawowym – w tło składające się z kubraczków, koszul w łączki, kaszkietów i innych części garderoby młodzieżowej – wkomponowano moje zdjęcia z tego salonu: kolorowe, duże. Gdzieś tkwiły moje płyty, które wszyscy nagrywają grubo przed festiwalem. Nie zabrakło oczywiście dużego fotosu z właścicielem salonu Burberrys.

Do tego zdjęcia musiałam usiąść na wyraźne żądanie właściciela, gdyż miał on niecałe 160 centymetrów wzrostu.

Fotografia była bardzo piękna, kolorowa... jakby wyjęta ze starego albumu minionego stulecia. Z tą różnicą, że na zdjęciach z tych czasów widywałam zazwyczaj pana siedzącego, a obok stojącą panią, jedną ręką wdzięcznie opierającą się o pana męża. Z nami było odwrotnie – ze względu na wspomniane okoliczności – siedziałam ja, a pan stał.

Siedziałam więc w czerwonym jak mak płaszczyku w stylu bardzo militarnym, na nogach miałam wysokie do kolan czarne buty. Zgodnie z wymogami mody należało mieć buty poza kolano, ale niestety mam za długie nogi. Głowę zdobił czarny kaszkiecik z daszkiem. Z lewej strony z ręką na moim pagonie, który podobny był raczej do całego epoletu – stał wyciągnięty jak struna, z uśmiechem zdobiącym przeważającą część twarzy pan, w ł a d c a, m ę ż c z y z n a.

Och, jakże szanowana, noszona na rękach, uwielbiana jest istota męska we Włoszech.

Moim zdaniem Włosi za bardzo się przejęli, bezkrytycznie uwierzyli w to, co jest napisane w Biblii. A mianowicie – że kobieta stworzona została dla mężczyzny. W każdym wypadku, bez wyjątków, i basta.

Innym razem Ranucio zawiózł mnie na zdjęcia do cyrku. Był to olbrzymi cyrk w wesołym miasteczku, mieszczący się na peryferiach Mediolanu. „Bogaty program międzynarodowy z udziałem egzotycznych zwierząt” – przeczytałam na olbrzymich afiszach przed wejściem.

Wkrótce siedziałam pod kopułą cyrku i – jak to się często zdarzało – czekałam. Początkowo nawet nie wiedziałam na kogo czy na co. Potem udało mi się wydobyć od Ranucia, że czekamy na fotoreportera umówionego na godzinę, która już dawno minęła. Tymczasem inni wykonawcy – uczestnicy festiwalu w San Remo – robili swoje zdjęcia reklamowe.

Ponieważ sytuacje nie mogły się powtarzać, oglądałam coraz to nowe numery tego bogatego programu, służące teraz jedynie za tło piosenkarzom, muzykom. Duże wrażenie zrobił na mnie olbrzymi indyjski słoń, który cierpliwie pozwolił na wgramolenie się na swój grzbiet całemu zespołowi gitarowemu. Solistka zadowolona się zdjęciem „na dole”, tuż przy trąbie. Zabrakło jej widocznie fantazji albo raczej... odwagi. Mnie by chyba też zabrakło. Początkowo bawiłam się tym wszystkim, ale czas mijał, mój fotograf nie pojawiał się, a w klatkach zostawały już tylko lwy i tygrysy. Od czasu do czasu dawały znać o sobie w sposób niebudzący żadnych wątpliwości. Do tego interesującego zbliżenia jednak nie doszło. O nie, nie z powodu braku chęci do tego z mojej strony. Po prostu fotograf w ogóle nie przyszedł.

Byłam z tego zadowolona. Lubię zwierzęta i dlatego uważam, że cyrk jest jednym z najbardziej niegodnych wynalazków tych, którzy szczytą się zajmowaniem górnego szczebla na drabinie ewolucji. Zresztą tresura pozostaje wciąż jednym z najbardziej ulubionych zajęć człowieka. Kiedy nie ma pod ręką zwierzęcia – istoty nadającej się do tego celu ze względu na jej bezbronność – ludzie z upodobaniem tresują się wzajemnie. I robią to już od dawien dawna. Przypuszczam, że skłonność ta zrodziła się w czasach, kiedy ogon oddawał nam nieocenione usługi w przemieszczaniu się z gałęzi na gałąź. Przykładów nie będę przytaczała. Życie codzienne dostarcza nam ich pod dostatkiem.

Kiedyś w rozmowie na temat zbliżającego się festiwalu Pietro zauważył, że dobrze by było nakręcić mały film w celach reklamowych. Natychmiast pomyślałam o Zosi Aleksandrowicz-Dybowskiej, jedynym znanym mi osobiście żywym, prawdziwym reżyserze filmowym. Zosię poznałam w czasie zdjęć do filmu krótkometrażowego *Marynarska przygoda* przez nią reżyserowanego.



Podczas pracy nad filmem „Marynarska przygoda” (1966)



Kadr z filmu „Marynarska przygoda” (1966)Poznałam – to zbyt słabe określenie. Połączyło nas przyjaźnią twarde męskie życie na „Błyskawicy”. Z czystym sumieniem piszę „męskie życie”, albowiem od rana samego paradowałam na pokładzie „Błyskawicy” w mundurze kapitana marynarki wojennej. Był to film muzyczny, rozrywkowy, zrealizowany na zamówienie Czołówki.

Grałam w nim epizodyczną rolę kapitana ze snu głównego bohatera filmu. Odtwarzał go pan Kazio Brusikiewicz. Oprócz tego śpiewałam piosenkę Marka Sarta *Słowa*.

Warunki atmosferyczne zupełnie nam nie sprzyjały, jak to zwykle bywa w czasie kręcenia filmu nad Bałtykiem. Wiedziałam z notatek w prasie, z opowiadań znajomych aktorów, że czeka się całymi dniami na promyk słońca, na „dziurkę” w chmurach. A nam były właśnie potrzebne ciężkie, ołowiane chmury wiszące nad wzburzonym morzem... i nad losem śpiewającej. I to tylko w pierwszej połowie piosenki, bo w drugiej miało być słonecznie, radośnie, łącznie z ptakami powracającymi do gniazd. Nakręciliśmy bez trudu właśnie tę słoneczną część piosenki, albowiem pogoda tego roku była wymarzona, sprzyjająca wszelkim rozkoszom życia plażowego.

Potem zaczęło się oczekiwanie, długie, beznadziejne. „Żeby choć jeden najmarniejszy cumulusik się pojawił” – wzdychała Zosia, spoglądając w kierunku nieba.

Pojawił się. W przedostatni dzień zdjęć i to, niestety, nie najmarniejszy. Huraganowy wiatr, który chmurzyskom towarzyszył, przeszywał na wylot, wyrwał niemal włosy z głowy i zmuszał do kurczowego trzymania się burty. Na domiar złego wiał chyba prosto od misiów polarnych, gdyż Zosi i operatorowi z kapiszonów marynarskich skafandrów wystawały zaledwie sine czubki nosów. A ja w tym czasie musiałam opanowywać kłapanie szczęk, dygocąc w mojej szyfonowej sukience (sztuka, jak wiadomo, wymaga poświęceń). Nie przesadzę więc, mówiąc, że nasza przyjaźń zahartowała się na stal pierwszej jakości w trudnych, bojowych warunkach. Wprawdzie walczyliśmy nie z wrogiem – tylko głównie z siłami przyrody i... niektórymi przejawami drobnej biurokracji.

W czasie rozmowy z Pietrem przypomniałam sobie błyskawicznie *Marynarską przygodę*, a moją „kapitańską”, i zdałam sobie sprawę z tego, jak wspaniała okazja mi się nadarza. „Zobaczę Zosię – marzyłam – porozmawiam po polsku, usłyszę wszelkie nowości z Warszawy, dowiem się, jakie stopnie przynoszą ostatnio ze szkoły córki Zosi – Misia i Małgosia. A może nawet Zosia mi przywiezie czarny razowy chleb?!”.

We Włoszech nie ma ciemnego pieczywa, a ponieważ lubię tylko razowy chleb – niebawem dotkliwie zaczęłam odczuwać jego brak.

Pietro zgodził się zaprosić Zosię razem z operatorem i oto w moim życiu zapłonął nagle płomyk nadziei i radości z czekającego mnie spotkania.

Następnego dnia łaskawy los zesłał mi jeszcze jedną miłą wiadomość – pan dyrektor Jakubowski z Pagartu przyjeżdża do San Remo.

I oto w ustalonym dniu przed hotelem zatrzymał się wóz wytwórni CDI. Portier zaniósł moją walizkę do samochodu. Giuseppe z baru i panowie z recepcji z uśmiechem mnie pożegnali, życząc powodzenia.

Podróż samochodem do San Remo nie była tak uciążliwa jak do Cannes. Może dlatego, że nie trzeba było spieszyć się – jak wtedy – a może głównie z tego powodu, że wóz prowadził nie Pietro, tylko zawodowy kierowca zatrudniony w CDI. Pietro niewątpliwie umie prowadzić wóz, tyle tylko że ma pewne braki w sposobie hamowania. Pasażer jadący z Pietrem jest zawsze narażony jeśli nie na rozplaszczanie nosa o szybę, to z pewnością na nieustające uczucie mdłości wywołane właśnie ciągłym hamowaniem znienacka.

Tak więc tym razem podróż odbywała się płynnie, bez przymusowych postojów. Późnym wieczorem przybyliśmy do San Remo. Jest ono typową miejscowością wypoczynkową, turystyczną. Więcej tu hoteli – mniej lub bardziej luksusowych – niż zwykłych domów. Niezliczona ilość hotelików, kawiarenek, sklepy z pamiątkami. Cała plaża ze wszystkimi urządzeniami, udogodnieniami dla turystów – wskazuje wyraźnie na to, że stali mieszkańcy San Remo pełnią tu funkcję statystów, a główną rolę gra turysta – przybysz – gość – klient.

Festiwal piosenki w San Remo odbywa się w lutym. W małym parku hotelowym powitała nas soczysta zieleń drzew i krzewów, które lada dzień miały rozkwitnąć. Było ciepło. Brakowało tylko słowików!

Co za miła niespodzianka dla mnie! Ucieszyłam się przede wszystkim dlatego, że zdążyłam już kilkakrotnie porządnie wymarznąć pod lazurowym niebem Italii.



LE BIOGRAFIE DALL'EST LA PRESENTANO COME UN MIRACOLO CANORO

# Dalla Polonia con mistero per i provini del Sanremo

Anna German, una biondona ventiseienne, alta un metro e ottantaquattro si è presentata alla conferenza stampa con un «mindress» color cardinale - Forse canterà in coppia con Milva

MILANO, 15. Gli uomini la guardano dal basso in alto: è la giurisdizione completa perché è tratta di un petto di ragazza notevole e cospicuo; a maggior parte delle donne le arrivano alla cintura (e stanno alla conferenza stampa di presentazione non ce n'era una che accettasse di farsi ritrarre accanto a lei); in mezzo ad un gruppo di giovani di moda nuova che le si affollano intorno il suo volto chiaro, i suoi capelli biondi e lucenti, i suoi capelli biondi e lucenti, emergono per una ventina di centimetri fuori. Fa vanto di essere il danzatore Fa Anna degli Ubberti o Alfano de Cossato, de «Il Parlamento» dei Gardani.

Ma è solo Anna German, una biondona ventiseienne, polacca di nascita, che, una volta tornata agli studi, si è data al canto, raggiungendo un livello artistico ingegnere nell'Europa. Un famoso critico teatrale, anch'egli invitato al meeting di presentazione, questa mattina ha detto di lei, con una battuta a doppio senso: «Per la curia il tutto la scala», non riferendosi solamente all'eccezionale altezza della biondina, ma alla sua voce. Vano è comunque che l'unico disco che Anna German è riuscita a far tirare fra le magiche dita degli, è che quello di ha portato con sé fino a noi, un L. P. M.U.S.A. si intitolava «Tanzava Szopka» che significa «Danzando Sordida» e che fra i dodici pezzi sono risultati solo come «Torna a Sordida», «La canzone di Amore», «Tango d'Amore» di Molugno, «Romana andante» e via dicendo.

Una notizia non meno curiosa alla biondina è stata nel maggio, lancia la carta di credito ad i suoi noduli sono placati, aperti, come pare sia il suo, parlando bene cinque lingue diverse (il coreano, il russo, il cinese come a una prova di forza all'alto in confronto delle domande del fisco, del mercato, del consumatore e dei disoccupati di mezzo, tutti mediocri per essere il successo dell'Est.

Cui, sempre in italiano e dal suo viso non, abbiamo saputo, successo un milione scorso da «Inferno tre volte», che la realtà è tutta bella o sia buona per lei e che quindi non fa tanto quello di girare quanto di quello; abbiamo anche saputo che il suo

risce per una visita esclusiva che in Italia allo scopo di dare un'occhiata, così mal vi fosse un posto per il prossimo Festival di Sanremo, in coppia, però, solamente, con un maestro italiano, e mai con una lessina (e allora voi conosciate la durezza scoppata e sfilata in una canzone di Denti) e che per lei, anzitutto, del resto, al canto lirico, folklorico, o più semplicemente classico, chi ha offerto la prima base per costruirsi in una canzone. Invece come tale è stato nominato che Enrico, il presentatore, giacché non può presentarsi, che è offerta di poter, molto meno lei era in Italia, e che era anche il suo nome dall'Ubbertolani, che era scendendo un disco (un disco che avrebbe annunciato anche il dimenarsi di un volume) e che ha una specie di scappata per un catalogo, gongoli, anche lui, in un'occasione ai tempi dell'Europa.

Ma è certo che l'interrogato medico conosce qualche cosa di estremo della bella di loro anima. Ebbene, quando è sotto del braccio, con «L'abbigliamento», una sera, a Linate, era una ragazza come tutte - molto alta, appoggiata, questo è - che non lasciava scorgere la natura in quale anno si sarebbe presentata ufficialmente questa mattina. Il dunque, anche Anna German, un po' strada-fatta sola e dall'ambiente, un tranquillo, si è presentata con un ricambio color cardinale, e, solo in tinta, generale, pigliata di gentile, generosa e sempre come aristocratica in ve-

sta, e scarpe tacco mezzo di copole sgrigiate. Tanta questa roba se l'ha comprata stamattina in una boutique milanese, naturalmente, alcuni giorni insieme al proprio agente pubblicitario per fare in tempo all'appuntamento fissato alle 11,30 precise alla Tornante Martini.

Tornerà in Italia? Certo, lo dice. Per ora vuole solo dei

provini per il Sanremo e riparte. Poi, se tutto andrà bene, tornerà (anzi ha promesso che in tal caso offrirà un concerto al Cinema della Stampa includendo nel programma pezzi che vanno dal 700 sino ai Beatles), sempre nuovi abiti e forse di vestire l'antica anche da noi.

M. R.



Anna German, la cantante dell'est con il maestro Denti.

## ARRIVA DALL'EST UNA VOCE PER SANREMO



Anna German, viene considerata la «Musa del panorama». In vetrina d'oltrapietra, ha 20 anni ed è alta nell'Ubbertolani.

Ha sempre avuto un'ambizione di un'artista, e per il resto dell'Europa, di questo mondo, sono questi due le parole che si sono sentite in questi giorni. Anna German, polacca di nascita, è alta e bionda, e ha una voce che si è fatta sentire in tutto il mondo. La sua voce è stata definita «la voce dell'Est». Anna German è una ragazza di 20 anni, alta e bionda, e ha una voce che si è fatta sentire in tutto il mondo. La sua voce è stata definita «la voce dell'Est». Anna German è una ragazza di 20 anni, alta e bionda, e ha una voce che si è fatta sentire in tutto il mondo. La sua voce è stata definita «la voce dell'Est».

Anna German, una biondona ventiseienne, alta un metro e ottantaquattro si è presentata alla conferenza stampa con un «mindress» color cardinale - Forse canterà in coppia con Milva. Anna German, una biondona ventiseienne, alta un metro e ottantaquattro si è presentata alla conferenza stampa con un «mindress» color cardinale - Forse canterà in coppia con Milva. Anna German, una biondona ventiseienne, alta un metro e ottantaquattro si è presentata alla conferenza stampa con un «mindress» color cardinale - Forse canterà in coppia con Milva.

Antonio Cucchia

W 1964 roku otrzymałam dwumiesięczne stypendium do Włoch, do Rzymu. Byłam wprawdzie we Włoszech już w czasie studiów na dwutygodniowej wycieczce studenckiej, ale wypadła ona pod koniec sierpnia i niebo było wtedy rzeczywiście lazurowe i upalne. Na mój pobyt w ramach stypendium przypadły miesiące zimowe. Styczeń – luty.

Stypendium było skromne i wystarczyło nam...

No proszę – znów muszę zrobić dygresję.

Przed wyjazdem do Włoch na to stypendium powiedziano mi w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie, że mam szczęście, ponieważ nie polecę do Rzymu sama. Polecą też pani Hanna Grzesik z Lublina, która otrzymała czteromiesięczne stypendium. Pani Hanna jest historykiem sztuki ze specjalizacją dotyczącą konserwacji dzieł sztuki. Później pani Hanna wzięła czynny udział w ratowaniu cennych obrazów we Florencji, ale wtedy jeszcze nie wiedziałyśmy o tym.

I rzeczywiście miałam szczęście, lecąc z Hanią, bo gdybym była sama, wróciłabym pierwszym samolotem Polskich Linii Lotniczych.

Po trzech godzinach lotu wylądowaliśmy w Rzymie. Było słonecznie, dość ciepło, gwarno i... inaczej. Wymieniłyśmy swoje pięć dolarów na liry i zostawiwszy walizki w poczekalni, pojechaliśmy do centrum Rzymu. Znałam wprawdzie nazwisko pracownika Radio Italiana RAI, do którego miałam się zgłosić, ale nie było go tego dnia na stanowisku. Miałyśmy kilka adresów od poprzednich stypendystów polskich, gdzie można było szukać kwatery. Miałam plan Rzymu pochodzący z wycieczki studenckiej, który nam się teraz bardzo przydał. Zaczęłyśmy zatem wędrowkę po Rzymie, trochę autobusami, trochę pieszo, gdyż zasoby lirowe były bardzo ograniczone. Wieczór się zbliżał.

W końcu znalazłyśmy placówkę naukową, gdzie Hania miała się zgłosić. Ale pana prezesa już nie było. Trzeba było poczekać, aż go zawiadomią, aż przybędzie ze swego odległego od miejsca pracy domu.

Wyszłyśmy na ulicę, kupiłyśmy sobie pół kilograma mandarynek i usiadłszy ciężko na ławce, zaczęłyśmy się posilać. Był to mały placyk niedaleko via Cavour. Rosło tam kilkanaście drzew, bawiły się dzieci pod nadzorem bardzo przystojnej i zgrabnej Murzynki. Było późno, a jadłyśmy tego dnia tylko w samolocie, i to niewiele, z podniecenia.

Ilekoć później zdarzyło nam się mijać to miejsce, uśmiechałyśmy się z rozrzewnieniem, przypominając sobie nazwę, którą nadałyśmy wtedy placykowi. Dla nas był to od tamtego popołudnia „Plac Mandarynek”.

Wreszcie przyjechał pan prezes i sam pofatygował się z nami w poszukiwaniu kwatery. Zamieszkałyśmy w końcu w jednym małym, dość ciemnym pokoiku przy tejże via Cavour. Następnego dnia pojechaliśmy po pieniądze – stypendium. Mnie wypłacono 60 tysięcy lirów, które miały mi starczyć na dwa miesiące. Hania otrzymała swoje pieniądze dopiero po pewnym czasie. Trudno, powiedziałyśmy sobie, widocznie biurokracja istnieje wszędzie – i w buszu afrykańskim pewnie też. Ale nie martwiłyśmy się. Dach nad głową był, signora Bianka pozwoliła nam od czasu do czasu coś ciepłego ugotować, pieniądze na zapłacenie mieszkania były, od zabytków i dzieł sztuki roilo się w Rzymie na każdym kroku... a paczki żywnościowe przysyłały nam nasze mamy z Polski. Bardzo regularnie, gdyż nie samą sztuką człowiek żyje.

„Życie jest piękne!” – stwierdziłyśmy, pokonawszy początkowe trudności.

Ale wkrótce zaczęły się kłopoty. W domach rzymskich są kamienne posadzki i całkowity brak jakiegokolwiek ogrzewania. Za oknem był deszcz i przenikliwie zimno. Wprawdzie temperatura nigdy nie opadała poniżej 0°C, ale w zimnym pokoju chłód był przejmujący, tym gorszy, że zimno było wszędzie, bez przerwy. Była i łazienka, nawet bardzo piękna, ale z lodowatą wodą w kranach. Po kilku gruntownych grypach sypiałam ubrana od stóp do głów, niczym Amundsen podczas wyprawy na biegun północny, gorzej nawet – bo on miał śpiwór.

Jedyny zakup, na jaki mnie było stać, to wełniane skarpetki do spania.

Nie mogę nie wspomnieć o bardzo zabawnym zdarzeniu (zabawnym oczywiście teraz, z perspektywy czasu). Po miesiącu mniej więcej, mając za sobą kilka przeziębień, nabawiwszy się chronicznego kataru i chrypy, udało nam się zdobyć adres pokoju do wynajęcia mieszczącego się

w dość ubogiej dzielnicy. Dom, gdzie miałyśmy zamieszkać, był stary, ale ciepły, z bieżącą ciepłą wodą. O ile sobie przypominam, mieściła się tam niewielka piekarnia. Stąd upragnione ciepło. Spakowałyśmy się wieczorem i pojechałyśmy do naszego nowego miejsca zamieszkania.

Dom był rzeczywiście bardzo stary, zmurszały, musiałam się schylać, wchodząc do wnętrza. Długi, ciemny, kręty korytarz, zaduch, który tam panował, zmniejszył nieco naszą radość z przeprowadzki. W pewnym miejscu korytarza potknęłam się nieomal o długie, chude, starcze nogi wystające z legowiska pod ścianą. W końcu korytarza był nasz pokoik. Gospodyni – rozmowna prawie tak samo jak signora Bianka – krzątała się po pokoiku, wychwalając go kwieciście. „Ciepło paniom tu będzie jak w gniazdku – mówiła – to najcieplejszy kącik w całym domu. Nasza babcia też tu mieszkała do wczoraj, na tym samym łóżeczku spała. Niestety, wczoraj zasnęła na wieki. Teraz możemy wynająć ten pokoik, ale pragniemy, żeby wszystko zostało tak jak za życia babci. Zaraz zmienię pościel”.

To rzekłszy, u śmiechnięta gospodyni wybiegła z pokoju.

Zostałyśmy same wśród babcinych rzeczy, świętych obrazków gęsto pokrywających ściany. Nawet ciepłe kapcie leżały jeszcze w kącie. Na staroświeckiej ogromnej komodzie stał potężny budzik, który tak głośno i natrętnie tykał, że nie wytrzymałam tego dłużej. Chwyciłam go i otworzywszy szufladę komody – szybko go tam wsunęłam. Odetchnęłam z ulgą. Przez cały czas działał mi okropnie na nerwy. Nie mogłam nawet skupić się na słowach gospodyni.

Spojrzałam na Hanię. Hania siedziała skulona, ze spuszczoną głową, z dłońmi bezwładnie opuszczonymi. W oczach miała łzy.

„Aniu – powiedziała zrezygnowana – ja tu nie wytrzymam, wracajmy do naszej lodowni”.

Bardzo ochoczo chwyciłam walizkę. Dokładnie o to samo chciałam ją poprosić. Signora Bianka zadowolona się jedynie krótkim triumfalnym przemówieniem – widząc naszą klęskę. Przyjęła nas wspaniałomyślnie z powrotem.

Po godzinie rozległ się alarmujący, zdenerwowany głos w telefonie. Z piekarni. „Signory ukradły babci budzik! Był na komodzie, a teraz go nie ma!!! Odda-a-a-ać!!!”. Z trudem udało się wytłumaczyć, gdzie jest. Dlaczego – tego nie udało mi się wyjaśnić. Przekraczało to bowiem moje umiejętności językowe, a poczucie humoru gospodyni przypuszczalnie – też.

Signora Bianka była dzielną kobietą. Owdowiała dość wcześnie i sama wychowywała swoje dzieci. Córkę i syna. Syn – fryzjer z zawodu – miał wtedy wyjechać do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu lepszej pracy. Dowiedziawszy się o tym, signora Bianka wypytywała najpierw dokładnie Hanię, gdzie to jest, a po wyjaśnieniu, że daleko od Rzymu – urządziła taką scenę rozpacz, że niewiele aktorek – postępując w myśl wskazówek samego Bogusławskiego – byłoby w stanie jej dorównać. Pogodziła się jednak z tą decyzją dość szybko i ze zdwojoną energią przystąpiła do gromadzenia wyprawy dla córki. Córka miała wyjść za mąż latem. Po wydaniu córki signora Bianka zamierzała sama wyjść za mąż – po raz drugi.

Signora Bianka nie miała zawodu, utrzymywała się jednak z powodzeniem, sprzedając kwiaty i wynajmując dwa pokoje swego trzypokojowego mieszkania. Była dumną właścicielką samochodu, którym jeździła po większe zakupy, a w niedzielę do odległych parków, gdzie było dużo zakochanych par i można było sprzedać kwiaty. Samochodzik wyglądał mniej więcej tak jak ten, którym jeździł Jacques Tati w filmie *Wakacje pana Hulot*. Pewnego razu – a była to słoneczna niedziela – pani Bianka zaprosiła nas na przejażdżkę do pięknego parku. Nie mogłam skorzystać z zaproszenia, gdyż właśnie byłam okrutnie przeziębiona.

Hania pojechała. Nie za darmo, oczywiście. Jak mi później opowiadała – zatrudniona została przy wiązaniu fiołków w bukietiki, podczas gdy signora Bianka dokonywała cudów dyplomacji w sprzedawaniu „towaru”. „Nie masz pojęcia, jaki z niej psycholog – śmiała się Hania. – Zna tysiące sposobów na swoich ziomek i wie dokładnie, który sposób kiedy zastosować”. Najlepszym dowodem były puste kosze.



Anna podczas pobytu we Włoszech (1966)

Przy okazji chciałabym wyjaśnić, na czym polegało moje stypendium. Dwumiesięczne stypendium piosenkarzkie otrzymałam na wniosek naszego Ministerstwa Kultury i Sztuki. O zatwierdzeniu przez rząd włoski mojej kandydatury dowiedziałam się od p.p. Henryka Potockiego i Jana Nagrabieckiego (pracowników Ministerstwa Kultury i Sztuki), którzy przez cały czas mojej „kariery” darzyli mnie uwagą i życzliwością. Było to dla mnie szczególnie cenne wtedy, kiedy dopiero zaczynałam śpiewać i moja osoba budziła czasem kontrowersje.

Słyszałam o wyjazdach naszych operowych śpiewaków na stypendium do Włoch, ale o piosenkarzach – nie.

Byłam pierwsza.

Przekonałam się o tym w czasie wizyty w radiu włoskim (RAI). Carlo Baldi, do którego miałam się zgłosić, przyjął stypendystkę z Polski bardzo uprzejmie, poczęstował filiżanką cappuccino i zatroskany zamilkł. Po dłuższej chwili postanowił zrzucić ciężar decyzji na barki wyżej postawionego kolegi. Zwiedziłam jeszcze kilka pięknie urządzonych biur radia, wywołując wszędzie wyraz zakłopotania na twarzach moich rozmówców. Nie wiedzieli po prostu, co ze mną zrobić.

Stypendium wystarczyło tylko na opłacenie mieszkania i bardzo skromne wyżywienie (oczywiście przy pomocy paczek z domu). O prywatnych lekcjach śpiewu nie mogło być nawet mowy. Ustalono więc, że skoro już jestem, a nie mam pieniędzy na naukę – pooglądam sobie po prostu różne pożyteczne rzeczy. Miałam więc prawo wstępu na imprezy radiowe (przy okazji pokazali mi całe radio). Któregoś dnia zawieźli mnie do największej wytwórni płytowej RCA pod Rzymem, poznali mnie z piosenkarkami i piosenkarzami włoskimi, a nawet pozwolili mi asystować przy nagrywaniu. Ograniczyłam więc moją edukację wokalną do podziwiania nowoczesnej architektury całego kompleksu budynków RCA oraz do jeszcze głębszego podziwu nad doskonałością cudownie działającej aparatury służącej do nagrywania. Na tym się wszystko właściwie zakończyło, gdyż wybuchł strajk pracowników radia i telewizji, paraliżując zupełnie życie artystyczne. Byłam więc zupełnie „bezrobotna”!

Nie wiadomo było, jak długo strajk potrwa, więc zaczęłam towarzyszyć Hani w jej ciekawej pracy.

Byłam więc w pracowni konserwatorskiej, gdzie razem z Hanią wysłuchałam wykładu na tematy bardzo mnie interesujące, choć... nieco zagadkowe (dla laika). Widziałam zmuśloną pracę nad restauracją fresków w kościele. Z podziwem patrzyłam na Hanię, która bez namysłu, z wielką zwinnością skorzystała z drabinki niebudzącej ani krzty zaufania i dotarła tą drogą aż pod sam sufit, by z bliska ujrzeć jakiś fragment odsłaniającej się przeszłości.

Pomyślałam, że Hania powinna mieć na wizytówce napisane: „Konserwator dzieł sztuki – kaskader”. (Albo nawet w odwrotnej kolejności!).

Robiłam wycieczki z Hanią do muzeów i kościołów, a nawet uczyniłam zadość powiedzeniu: „Być w Rzymie i widzieć papieża”. Z okazji Wielkanocy papież wygłosił publiczne orędzie. Wybudowano specjalną trybunę tuż pod murami Koloseum.

Nieprzebrane, wielotysięczne tłumy przybyły na tę uroczystość. Całe Koloseum oświetlone było od wewnątrz. Widok był piękny, aczkolwiek trochę niesamowity. Wydawało się, że arena płonie, a kamienny amfiteatr ożył pod pomarańczowoczerwonymi promieniami reflektorów. Tłum wrzał, brakowało tylko dzikich lwów na arenie. Wprawdzie nie byli to rzymianie z czasów Nerona, ale zawsze... rzymianie. Autentyczni rzymianie, i to przypominający swoich przodków w sposób łudzący zarówno pod względem temperamentu, jak i zamiłowania do widowisk. Wielkich widowisk!

Rzymianie, którzy mnie otaczali, traktowali wystąpienie papieża jak wielką, ważną, ale jednak przede wszystkim imprezę – widowisko.

Wróciłam więc z Rzymu do Warszawy bogatsza wprawdzie o wiele doznań natury artystycznej, ale wokalnie – nieudoszona.

Nie żałuję. Nie chciałabym niczego zmieniać w moim sposobie śpiewania. Chcę pozostać pieśniarką. Głos mam postawiony z natury. Mam własny sposób pracy nad piosenką i jej interpretacją. Robię to zawsze sama i choć chętnie wysłuchuję wszelkich uwag (wiadomo, nie ma

postępu bez różnicy zdań i dyskusji) – wybieram te, które zgodne są w zasadzie z moimi cechami charakteru.

Przekonałam się nieraz, że najsluszniejsza, najciekawsza innowacja wbrew wewnętrznemu przekonaniu – przynosi odwrotny rezultat.

Wielką pomocą okazały się imprezy w „terenach”, w krańcowo różnych warunkach, w trzaskający mróz i upalne wieczory, przed publicznością jednakowo serdeczną, choć reagującą tak różnie. To, co napisałam, nie świadczy o bezkrytycznym samozadowoleniu. Chcę przez to tylko powiedzieć, że pieśniarz przede wszystkim musi wiedzieć sam, jakiej drogi poszukuje, i konsekwentnie swe plany realizować. A to wcale nie jest takie łatwe, jak mogłoby się wydawać. Za każdą nawet pozornie najprostszą piosenką kryją się długie godziny pracy, przemyśleń, poszukiwań.





Anna z Lucjanem Kydryńskim w Sopocie (1964)



Anna w czasie pobytu w Mediolanie (1966)



Mój pierwszy pobyt w Mediolanie wypadł również w okresie chłódów i mgieł – listopad, grudzień. W Mediolanie jest o wiele zimniej niż w Rzymie leżącym bardziej na południe. Często pada nawet śnieg, który dość szybko topnieje. W hotelu było chłodno, musiałam zawsze prosić o dodatkowy koc. Dlatego właśnie zieleń, słońce i te 20° w słońcu tak mnie oczarowały w San Remo. Ale ponieważ trwała jednak zima – według kalendarza przynajmniej – po uliczkach San Remo snuły się panie z tzw. wyższych sfer ubrane w bardzo piękne i równie drogie futra. Coś w rodzaju gigantycznego pokazu mody zimowej, przeglądu futer. A wszystko to w ciepłych promieniach słońca, na tle zielonych krzewów, drzew o liściach, które nie zamierzały nawet zmieniać soczystej zieleni na jakikolwiek inny kolor.

Nazajutrz rozpoczęły się próby z orkiestrą w sali, z której transmisje poprzednich festiwali oglądałam w Polsce. Jak zwykle już od rana trema dała znać o sobie. Tym razem chyba usprawiedliwiona. W domu, w Polsce, bardzo lubiłam wszelkie próby. Bo to i odpowiedzialności jeszcze nie ma, sala bez publiczności i można jeszcze wszystko poprawić i powtórzyć. Szczególnie miłe były próby w Operze Leśnej w Sopocie. Już od wczesnych godzin rannych festiwalowy samochód, służący do przewożenia uczestników festiwalu, kursował wytrwale od Grand Hotelu do Opery Leśnej i z powrotem. Nie omieszkam przy okazji dodać, że na żadnym festiwalu za granicą nie spotkałam się z tak dobrą organizacją. Przyjeżdżało się zatem do Opery Leśnej. Ogromna widownia świeciła bielą ław. Gdzieś tam przez płótno dachu przebijały się nikłe promyki słońca. Ten piękny, płócienny dach w szerokie pastelowe pasy chronił skutecznie nie tylko przed deszczem, ale i przed słońcem, którego niestety nigdy nie było za dużo. Nie przypominałam sobie w każdym razie upałów podczas trwania festiwali sopockich.

Ale wróć jeszcze na chwilę do dachu. Otóż mnie ten dach zawsze przypominał wydęty wiatrem żagiel, zwłaszcza wtedy, gdy stałam na podium przed mikrofonem i przed oczyma miałam tylko płótno w pasy, a za nim niebo.

Lubiłam te próby w Sopocie...

Przy dyrygenckim pulpicie – największy przyjaciel i ostoja śpiewających – pan Stefan Rachoń. Przed nim – niezawodni, życzliwi i koleżeńscy muzycy – orkiestra.

Na dole przed sceną kilku pracowicie uwijających się ludzi z ekipy telewizyjnej, kilku fotoreporterów, reżyserzy i czekający na swoją kolejkę inni uczestnicy festiwalu.

A zatem całkowity brak choćby jednej niezyczliwej osoby, której obecność mogłaby wpłynąć deprymująco.

Niestety, w życiu wszystko odbywa się właściwie bez prób. Nawet we wspomnieniach trudno mi opuścić kraj, ale „służba nie drużba”.

Powrócę zatem do San Remo.

Albo nie. Jeszcze nie...



Anna na scenie Opery Leśnej. Przy pulpicie dyrygenckim Stefan Rachoń (1964)



Anna na początku lat sześćdziesiątych

Skorzystam z tego, że przynajmniej we wspomnieniach mogę dowolnie przesuwac bariery czasu. Pozostane więc jeszcze trochę w kraju i opiszę przy okazji moją drogę do piosenki.

Jeszcze przed maturą zastanawiałam się często nad wyborem zawodu. Zawsze interesowało mnie malarstwo, rzeźba, metaloplastyka, ceramika artystyczna. Po maturze złożyłam więc dokumenty na Wydział Malarski Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych we Wrocławiu.

Ale po głębszym zastanowieniu ustaliłyśmy z mamą, że trzeba wybrać zawód bardziej „konkretny”, który w przyszłości zapewniłby byt... tym bardziej że przecież nie mam rodzeństwa ani krewnych, na których pomoc mogłabym liczyć w nieprzewidzianych, trudnych sytuacjach życiowych. Sama świadomość tego, że istnieje rodzina, która pomoże w razie potrzeby, jest bardzo uspokajająca, choć najlepiej oczywiście liczyć tylko na siebie. O tym właśnie dobrze wiedziała moja mama, gdyż od wczesnej młodości musiała sobie sama radzić i tylko na własnych siłach polegać.

„Widzisz – rozważała mama – żeby żyć z malarstwa, trzeba najpierw zostać znanym malarzem, którego obrazy będą kupowane. A to może potrwać, a nawet... nie nastąpić wcale, mimo że według mnie malujesz bardzo ładnie”.

Wycofałam dokumenty. Zdałam egzaminy na geologię. Geologia trwa sześć lat. Są to studia bardzo ciekawe, „konkretny”, zawierające w swoim programie bardzo szeroki wachlarz różnych dziedzin. Od filozofii, logiki, języków obcych przez kurs wyższej matematyki, fizykę, chemię, biologię i zagadnienia ekonomiczno-socjologiczne, do przedmiotów ściśle specjalistycznych.

A zatem student geologii musi umieć spreparować żabę (zaczynam od tego, co było dla mnie najgorsze), nie tylko wyciągać logiczne wnioski z naukowych rozważań, ale i wypowiadać je w sposób zgodny z zasadami logiki.

Musi wiedzieć nie tylko o tym, że Ksantypa była żoną Sokratesa, ale i czasem zacytować kilka jego myśli. Musi umieć nie tylko narysować wiotką całość, ale w razie potrzeby zrobić z niej użytek.

Nie zaszkodzi znajomość języków obcych, przydatnych przy korzystaniu z bogatej literatury fachowej. Bardzo się przydaje umiejętność narysowania odsłoniętego zbocza skalnego czy też trylobita np. z profilu. Zawsze przyda się znajomość kilku piosenek, które zaśpiewane przy ognisku, przy kubku gorącej herbaty zabrzmiają jak nigdzie... (nawet w porównaniu z najlepszymi salami koncertowymi świata). Nie muszę chyba dodawać, że pożądane jest usposobienie pogodne, optymistyczne. Ale przyjmowani są na studia geologiczne i zatwardziali pesymiści.

Zresztą zdrowy wysiłek fizyczny, jak na przykład dwudziestokilometrowy marsz, przerywany wytężonym umysłowym wysiłkiem przy odkrywkach skalnych w poszukiwaniu skamieniałości z minionych okresów geologicznych może największego ponuraka doprowadzić do całkowitej równowagi psychicznej. A jeśli świeży odłam skalny ukaże zarys poszukiwanej skamieniałości lub choćby jej fragment – uczucie bezgranicznej szczęśliwości zapewnione.

Geologia, jak wiadomo, jest nauką o ziemi. Ale nie chodzi bynajmniej tylko o dokładny przekrój ziemi, o spojrzenie w głąb. Żeby zrozumieć procesy zachodzące tam, w sercu wulkanów, na dnie oceanów i jeszcze głębiej – trzeba orientować się nieźle w sprawach zachodzących na powierzchni ziemi, w sprawach dotyczących człowieka, który jest częścią przyrody – ziemi – i ma niebagatelny wpływ na kształtowanie się jej oblicza. Dlatego też wszystko, co ludzkie, nie może być obce geologowi. Wiadomości zdobyte w ciągu roku akademickiego na wykładach, ćwiczeniach, seminariach uzupełniane są w okresie letnim zajęciami praktycznymi w trakcie wycieczek w teren. Wycieczki odbywają się całą grupą, pod kierunkiem asystenta lub profesora.

Te praktyki letnie wspominam najprzyjemniej, mimo że plecak z próbkami skalnymi był często bardzo ciężki. Zapomniałam dodać, że geolog musi być silny. Niekoniecznie kulturysta, ale mocne mięśnie bardzo się przydają, a odporność na deszcze, mrozy i wichury w czasie wielokilometrowych marszów z pełnym obciążeniem jest wręcz konieczna.

Zdobyta w ten sposób kondycja niewątpliwie bardzo mi się przydała w czasie objazdów z koncertami na terenie Rzeszowszczyzny. Zwłaszcza w okresie zimowym.

Po trzecim roku obowiązywała nas praktyka w kopalni węgla. Otrzymałam wraz z dwiema koleżankami skierowanie do kopalni węgla kamiennego „Anna” w Pszowie na Górnym Śląsku. Na

naszym roku było więcej dziewcząt niż chłopców, mimo że to raczej męski zawód. (Przyznaję to teraz).

Kierownictwo kopalni przyjęło nas serdecznie, zapewniło hotel robotniczy, wyżywienie i... od czasu do czasu praktyczne zajęcia na dole.

Pierwsza „wizyta” na dole była dla nas ciężkim przeżyciem. Młody sztygar, który miał nas oprowadzić... zaraz, zaraz, muszę chyba użyć innego słowa, bo przecież myśmy nie szły...

Pelzaliśmy na brzuchach, pomagając sobie niezdarnie kolanami i łokciami, które nam do wieczora spuchły jak banie. Było mi o wiele trudniej niż malutkiej, filigranowej Bogusi czy niewiele wyższej Janeczce. Oj, dał nam pan sztygar wtedy w kość... Dosłownie też!!!

Za to przez następne dni leżaliśmy w swoim pokoju brzuchami do góry, ale z absolutnie czystym sumieniem, czekając na zagojenie się naszych kończyn.

Czuliśmy nawet coś w rodzaju zadowolenia, a nawet, rzekłabym, dumy z dobrze, z poświęceniem spełnionego obowiązku.

Po szczęśliwie zakończonej praktyce mój podziw i uznanie dla braci górniczej wzrósł wielokrotnie. Za jej odwagę, wytrzymałość, koleżeńskość w jednym z najtrudniejszych zawodów człowieka.

Często słyszę pytanie: „Czy pani nie żałuje studiów geologicznych... przecież nie pracowała pani ani dnia w swoim zawodzie? Czy to nie stracony czas?”

Otóż nie, to nie jest stracony czas. Przeciwnie, jestem bardzo zadowolona, że dane mi było choć przez chwilę zajrzeć do tej ciekawej księgi, jaką jest nauka o naszej ziemi. Pozwoliło mi to dostrzec i zrozumieć wiele spraw dotyczących życia na ziemi, teraz i w minionych okresach geologicznych. Inne studia, bardziej przydatne dla mnie teraz, jak na przykład muzyka czy nawet malarstwo, nie wzbogaciłyby mego światopoglądu tak jak geologia.

Pod koniec studiów, na kolejnym wieczorze poezji i muzyki, w którym wzięłam udział, zwrócił się do mnie z propozycją współpracy założyciel Kalamburu, reżyser i aktor w jednej osobie – kolega Litwiniec. Ucieszyłam się bardzo, bo to oznaczało, że będę należała do zespołu, który pracuje, rozwija się, ma bardzo ambitne i interesujące plany. Nie będzie czekania na okazję do pośpiewania, będą regularne próby z całym zespołem, a ja stanę się choćby najmniejszym, ale przecież przydatnym trybikiem w sprawnie działającej całości.



Anna podczas występu w Teatrze Kalambur na początku lat sześćdziesiątych



Anna podczas recitalu na początku lat sześćdziesiątych      Zaczęłam chodzić na próby. Zbliżały się juwenalia. Kalambur miał zaprezentować swój nowy program w Krakowie, toteż próby były intensywne i długie. Oczywiście mogły się odbywać dopiero późnym wieczorem i w nocy, wtedy, kiedy kończyły się wszelkie zajęcia na różnych uczelniach Wrocławia. Miałam śpiewać

w programie dwie piosenki do własnej muzyki. Wkrótce jednak spostrzegłam, że nie pogodzę obowiązków na uczelni z moim nowym życiem artystycznym, przede wszystkim dlatego że moje studia miały się ku końcowi i pracy było w związku z tym bardzo dużo.

A tu rano, po nieprzespanej nocy, zamiast do biblioteki uniwersyteckiej podążałam po omacku (ze zmęczenia zasypiałam już w tramwaju) do łóżka, z którego żadna siła nie była mnie w stanie wydostać. Dodać wypada, że w ogóle nie mam kłopotów ze spaniem. Lubię to zajęcie.

Więc powoli radość moja bladła. A mój zdrowy rozsądek, który ludziom sceny bardzo przeszkadza (tak mi się wydaje), coraz natrętniej podsuwał mi obrazy niedalekiej przyszłości, kiedy to koleżanki i koledzy będą ucztować z okazji otrzymania dyplomów, a mnie między nimi wcale a wcale nie będzie. Postanowiłam jednak pojechać jeszcze na juwenalia w Krakowie, żeby być w porządku wobec zespołu.

Było bardzo wesoło i przyjemnie aż do chwili mego występu. To był mój pierwszy występ publiczny w prawdziwym teatrze. Kiedy stanęłam na scenie, zaczęły się dzieć rzeczy dziwne. Był półmrok, gdyż klimat moich ballad tego wymagał. Ale przecież nie było ciemno. W pierwszej chwili dostrzegłam jakieś twarze, a potem znalazłam się w czarnej, głuchej otchłani.

Zapomniałam, jaki tekst mam śpiewać i w ogóle po co tu przyszłam. Ktoś mi szeptał początek piosenki zza kulis.

Nie pamiętam, ile razy się pomyliłam, nie pamiętam reakcji publiczności ani tych kilku kroków z powrotem za kulisy. Pamiętam tylko ogromny żal do całego świata, a przede wszystkim do siebie za to, że zawiodłam, że nie potrafiłam dać z siebie tego, co tak bardzo chciałam widowni podarować, że... przegrałam.

Nie poszłam się bawić z innymi po występie. Wróciłam do hotelu turystycznego, wdrapałam się na swoje piętrowe łóżko i bardzo, bardzo przygnębiona – zasnęłam.

Brak czasu i... zwycięstwo mego zdrowego rozsądku nad „duszą artystki” to był oczywiście główny powód do rezygnacji z członkostwa w Kalamburze.

Ale był jeszcze taki minipowodzik, dostrzegalny dopiero z perspektywy czasu. Otóż my, kobiety, bardzo rzadko robimy coś czysto i wyłącznie dla samej sprawy. Najczęściej za przejawem naszego działania kryje się mężczyzna, z miłości do niego dokonujemy tych wszystkich cudów zręczności, dyplomacji, odwagi(!) i poświęcenia. Dla niego zostajemy pilotem odrzutowca, jeśli on lubi się bujać i oglądać chmury w zbliżeniu, dla niego udajemy z powodzeniem najgłupszą z istot – kurę domową – mimo że pasjonuje nas cybernetyka. Ja takiego bodźca nie miałam (może stąd to zwycięstwo zdrowego rozsądku?), chociaż stać mnie na „skrzydlate porywy ducha”...

...Kiedyś na studiach zapisałam się do klubu grotołazów. Chodziłam na zebrania, z najwyższym zainteresowaniem wsłuchiwałam się w odczyty, a nawet wzięłam udział w wycieczce do grot, mimo że kiedy pastuję podłogę pod łóżkiem, czuję się uwięziona i jest mi duszno.

A wszystko dlatego, że przewodniczącym sekcji grotołazów był... Piotruś. Na wycieczce, w pewien majowy ciepły dzień, czułam się bardzo szczęśliwa.





Anna w czasach studenckich



Anna w okresie studiów      Ażeby nowicjuszom pozwolić zejść na dół, do groty, należało najpierw przeprowadzić szkolenie na powierzchni ziemi i nauczyć chętnych do wspinania się na skały i zjeżdżania stamtąd. Zjeżdżania nie na własnym, z natury przeznaczonym do tych celów – urządzeniu, tylko na linach. (Bolesnie się wrzynających w owo „urządzenie”!).

Ach, jakże nam to sprawnie szło!

Był cudowny, słoneczny dzień. Któż by myślał o siniakach, zadrapaniach, rozdartych spodniach... Wszyscy byli zadowoleni, weseli, żarty i dowcipy krążyły jak piłeczka pingpongowa wciąż na nowo odbijana.

Nadszedł wieczór. Mieliśmy teraz spróbować swych umiejętności w praktyce, schodząc do wcale przyzwoitej jaskini. Rozpaliliśmy ognisko, żeby ci, którzy wyjdą na górę, mogli się zaraz ogrzać i osuszyć. Nie zeszłam w pierwszej grupie. A kiedy zajrzałam w czarną, mokrą, ciasną czelusć – postanowiłam zwlekać, ile się da. Liczyłam w duchu... nie wiadomo właściwie na co, że jednak nie będę musiała położyć się w błocie i jak robak zniknąć w tej strasznej, czarnej dziurze.

Tymczasem tu na górze był o bardzo przyjemnie. Ogień wesoło trząskał, zalewając wszystkich pomarańczowym ciepłem, a Piotruś – który przyszedł do ogniska odpocząć po trudach asekurowania najodważniejszych – wyciągnął się przy ognisku i położył swoją rudą głowę na moich kolanach. Gdyby Piotruś tego nie zrobił, pewnie bym jednak coś wymyśliła, co by choć trochę usprawiedliwiało moją dezercję. Ale po takim wyróżnieniu...

Wkrótce czołgałam się ruchem robaczkowym w głąb dziury. Niewielka plama nieba znikła

i jedynym pocieszeniem było to, że Piotruś tam na górze trzyma linę, do której byłam przywiązana.

Najgorsze w tej całej „zabawie” było nie moje przekonanie, że nigdy, przenigdy nie pokonam drogi powrotnej, ale jasna świadomość tego, że Piotruś i tak się niczego absolutnie nie domyśla.

Zbliżały się wakacje. W czasie wakacyjnych miesięcy większość studentów stara się zazwyczaj o jakieś zajęcia, które podreperowałyby nieco stan majątkowy na najbliższe miesiące. Moje koleżanki zamierzały wyjechać na wieś „na gradobicie”. Tak nazywały pracę związaną z ustalaniem wielkości szkód spowodowanych klęskami żywiołowymi.

Pewnie bym też pojechała na to „gradobicie” (choć odrzucało mnie zawsze od wszelkich zajęć związanych z jakimkolwiek działaniem matematycznym), gdyby nie Janeczka.

Otóż Janeczka, moja koleżanka z roku, sąsiadka z kamienicy obok, uważała od początku naszej znajomości (tzn. od siódmej klasy szkoły podstawowej), że moim powołaniem jest śpiew. Nie przeczę, śpiewałam zawsze chętnie, gdy tylko ktoś tego chciał. A więc na akademiach szkolnych, później studenckich i w domu dla gości. A zaczęłam już jako kilkuletni brzdąc na noworocznej zabawie dla dzieci, pod olbrzymią choinką. Moja mama pracowała wtedy jeszcze jako nauczycielka w szkole powszechnej i do jej obowiązków należało między innymi organizowanie zabaw dla dzieci, przedstawień itp. Ale nigdy nie myślałam, że śpiew będzie moim zawodem.

Traktowałam moje śpiewanie na zasadzie czystej przyjemności i nawet nigdy do głowy mi nie przyszło, że może być inaczej.

Janeczka tymczasem – nie należąc bynajmniej do osób odważnych, tzw. przebojowców – udała się pewnego dnia bez mojej wiedzy do Estrady Wrocławskiej i zaproponowała, aby mnie przesłuchali. Następnie – uzyskawszy takową obietnicę – doprowadziła mnie siłą (siłą perswazji oczywiście, gdyż była o wiele niższa ode mnie) w oznaczonym dniu przed oblicze dyrektora artystycznego.

Zostałam przyjęta do nowego, montującego się właśnie programu. Zagwarantowano mi zupełnie kosmiczną wtedy dla mnie sumę. „Będzie pani mogła zarobić w ciągu miesiąca do 4000 zł”. Wypadało zdaje się około 100 zł za imprezę.

Oczywiście byłam wdzięczna Janeczce, mimo że burczałam niezadowolona przez całą drogę do Estrady. Zgodziłam się naturalnie bez namysłu, bo „gradobicie” ze skomplikowanymi obliczeniami odpadło i co najważniejsze – miałam śpiewać w programie dziewięć ładnych, melodyjnych piosenek, w dodatku mieli mi za to nawet zapłacić...!

Był to program muzyczny. Brało w nim udział kilku solistów, czteroosobowy balet, zespół muzyczny oraz dwóch aktorów, którzy poszczególne numery łączyli w całość. Aktorami byli Jan Skąpski w roli dzielnego żeglarza Sindbada oraz Andrzej Bychowski w charakterze... załogi. W portach, do których zawijał statek, rozbrzmiewały piosenki, tańczyły dziewczyny, grali muzykanci... jak to w portach na całym świecie.

Zmieniałam więc błyskawicznie kostiumy i śpiewałam (w zależności od portu) po hiszpańsku, po włosku, po niemiecku, rosyjsku i na zakończenie programu w rodzinnym porcie – po polsku.

Ponieważ program stanowił pewną całość, a nie zwykłą składankę, woziliśmy ze sobą dekoracje imitujące pokład statku. Uszyto dla całego zespołu specjalne kostiumy, które w mgnieniu oka zmieniały nie tylko naszą narodowość, ale i... kolor skóry. Najwięcej popłochu i zabawy było zawsze z przebieraniem się i charakteryzowaniem do części afrykańskiej. Trzeba było w wielkim pośpiechu zrzucić poprzedni strój, wbić się w ciemnobrązowy trykot i wysmarować twarz, szyję, uszy i dłonie szminką teatralną, do złudzenia przypominającą czarną pastę „Kiwi”. Tancerki dysponowały jeszcze do tego peruczkami czarnymi i kręconymi.

Traktowałam moją pracę z całą odpowiedzialnością i dlatego też z pedantyczną dokładnością, tak jakby powodzenie programu od tego zależało – pokrywałam grubą warstwą szminki wszystko, co wystawało z trykotu. Ale mimo moich sumiennych i starannych zabiegów musiałam wyglądać śmiesznie i w znikomym stopniu przypominać Murzynkę, gdyż z uczciwie zasmarowanej całości wyłaniała się nielogicznie – jasna głowa. Peruczki dla mnie zdaje się zabrakło.

Program był już prawie gotowy, kiedy mnie dokooptowano, toteż wkrótce oznajmiłam w domu: „Jutro wyjeżdżamy! Najpierw na Dolny Śląsk, a potem na Wybrzeże!”.

Pierwszy raz wyruszałam na dłużej. Byłam zawsze w domu, nawet nigdy w akademiku nie mieszkałam... więc wyjazd mój stał się wydarzeniem na miarę wyprawy transkontynentalnej!

Program się podobał i na Dolnym Śląsku, i na Wybrzeżu. Wszyscy mieli pełne ręce roboty. Ledwo zdążaliśmy z przebieraniem się i charakteryzacją do poszczególnych scenek. Może to i lepiej. Wszystko odbywało się w tak zawrotnym tempie, że nie zostawało ani trochę wolnego czasu na myślenie, na... tremę. Nie oznacza to, że nie miałam jej w ogóle, o nie!... Ale to już nie było to, co przeżyłam wtedy w Kalamburze.

Pamiętam pierwszą wypłatę. Moje pierwsze, własnoręcznie(?) zarobione pieniądze... Byliśmy wtedy w jakimś małym miasteczku na Wybrzeżu. Prosto z pokoju organizatora, który nam wypłacał pieniądze, poszłam do miasta w poszukiwaniu drobiazgów dla mamy i babci. Jeszcze tego samego dnia wysłałam paczkę do domu razem z pozostałymi pieniędzmi.

Zawsze się mówi, że pierwszą miłość pamięta się przez całe życie. Zgadza się, ale uważam, że nie tylko miłość. To uczucie radości i satysfakcji, jakie mnie przepełniało na poczcie, było tak ogromne i silne, że pamiętać je będę zawsze.

Kiedy po zakończonej trasie wróciłam do domu, babcia załamała ręce. Byłam zmęczona i o połowę chudsza. Co zaś do owych 4000 zł, to przekonałam się (niestety!), że byłaby to przyzwoita pensja, ale w warunkach normalnego, ustabilizowanego życia. Chyba niewiele osób niezainteresowanych bezpośrednio wie, jak wygląda dzień estradowego artysty w „turze” albo na „trasie”. Zespół zatrzymuje się w hotelu w miejscowości-„bazie”, z której wyjeżdża się na imprezy i do której się wraca. Wyjazd zespołu autokarem odbywa się o ustalonej godzinie, uzależnionej od odległości dzielącej „bazę” od miejsca imprezy. Wyjeżdża się jednak dostatecznie wcześnie, by zawsze pozostał jakiś luz na nieprzewidziane sprawy, jak na przykład awaria samochodu, nagła niedyspozycja członka zespołu itp. Autokary nie zawsze zapewniają maksimum wygody. Model samochodu, którym podróżowaliśmy z programem wrocławskiej Estrady, pochodził z pewnością z czasów przygotowań do pierwszej wojny światowej. Marzliśmy często, wracając w nocy do „bazy”. I choć było „ogrzewanie” w postaci grubej rury biegnącej przez środek samochodu, raczej niechętnie korzystaliśmy bezpośrednio z jej ciepła. Gdy zmęczeni, obezwładnieni snem dotknęliśmy nieopatrnie nieszczęsnej rury to ręką, to nogą – rozlegał się okrzyk: „oj, parzy!”. Rura nie tylko grzała, również kociła...

Po przyjeździe do miejsca przeznaczenia trzeba najpierw rozlokować się w garderobach, wypróbować mikrofony, przećwiczyć z zespołem muzycznym wątpliwe miejsca w piosence i dopiero, jeśli zostaje czas, można skoczyć do restauracji na jakiś posiłek. Po imprezie (czasem po dwóch albo i trzech) znów pakowanie się, mycie (jeśli jest gdzie) i powrót do „bazy”. Jeśli jest za późno na kolację w restauracji, wystarczyć muszą kanapki, oranżada, jabłko, a często samo wyobrażenie o nich. Nasz samochodzik nie rozwijał szalonej szybkości, toteż docieraliśmy do hotelu w późnych godzinach nocnych. Nie było już ani chęci, ani sił do sporządzenia sobie herbaty specjalnie wożoną do tego celu grzałką.

Następnego dnia wszystko zaczynało się od początku z tą różnicą, że inna była miejscowość, scena, warunki za kulisami, trochę inna publiczność.

Jedyną zaletą naszego „autokaru” było absolutne bezpieczeństwo jazdy. Poruszał się z szybkością minimalną (jaka chyba w ogóle jest możliwa). W trasie powrotnej, pod samym Wrocławiem, stanął i już nie ruszył wcale.

Myślę jednak, że Estrada nie dała za wygraną i że naprawiony samochodzik nadal wozi po terenie szerzycieli kultury i rozrywki. Zresztą z satysfakcją stwierdzam, że autokar ten przelicytowany został przez swego jeszcze starszego kolegę, którym nam przyszło podróżować po USA i Kanadzie. Takim zabytkiem nie jeździłam nigdy ani przedtem, ani potem. Ponieważ większość członków zespołu nie miała jeszcze uprawnień estradowych, kierownictwo wrocławskiej Estrady zorganizowało dla naszej grupy wyjazd do Warszawy na egzamin. Składał się on z części praktycznej i teoretycznej. Zaśpiewałam więc piosenkę i zesłam ze sceny na widownię, gdzie siedziała komisja egzaminacyjna. Nie pytali mnie długo. Akcją dramatu *Czarownice z Salem*

Arthura Millera umieściłam w Anglii... może dlatego (a może nie tylko dlatego?) egzaminu nie zdałam. Bardzo przeżyłam tę „dwóję”. Chyba bardziej niż pierwszy i jedyny obłany egzamin z krystalografii u kochanego profesora Maślankiewicza.

Tymczasem spieszyłam się z ukończeniem pracy magisterskiej. Strona praktyczna polegała na skartowaniu około dwudziestu kilometrów kwadratowych terenu znajdującego się w tzw. Worku Turowskim. O ile praktyki i wycieczki odbywało się grupowo, o tyle pracę magisterską trzeba było wykonać samodzielnie.

Zamieszkałam więc u gospodyni we wsi Zatonie i stamtąd wychodziłam rano do mojej pracy, niosąc w torbie geologicznej wszystko, co mi mogło być potrzebne w ciągu dnia. Wracałam o zmierzchu.

Mój teren obejmował duże połacie lasu oraz miejsca położone na zupełnym odludziu. Wtedy to właśnie przekonałam się na własnej skórze, że asystenci mieli jednak trochę racji, uprzedzając nas na samym początku, że geologia nie jest wybitnie damskim zawodem.

Nie boję się samotności, boję się właściwie (panicznie!) tylko żab. (A tej żaby, o której wspomniałam, wcale nie spreparowałam. Zrobił to kolega w zamian za drobne tłumaczenie z literatury fachowej). Poza tym byłam przecież uzbrojona w nie najłżejszy młotek geologiczny, ale mimo to czułam się nieswojo, zwłaszcza w lesie. Dlatego też skartowałam w pierwszej kolejności las, by wyjść w przestrzeń i słońce. Tak, tak... kobiecie trudniej znieść samotność niż mężczyźnie. Nigdy nie słyszałam na przykład o samotnych żeglarzach płci żeńskiej.

À propos żeglarzy... muszę złożyć hołd naszemu wielkiemu żeglarzowi Leonidowi Telidze. Wszyscy o nim wiedzą i choć każdego uderza inny rys jego osobowości, zgodni są przecież co do jednego: to zwycięstwo nad siłami przyrody i nad samym sobą pozostanie nie tylko jego osobistym triumfem, ale też naszą wspólną dumą.

Przypuszczam, że wielu mężczyzn zadało sobie pytanie: „A ja, czy ja też bym tak mógł...?” – i większość sobie szczerze musi odpowiedzieć: „...chyba nie...”.

No cóż, jestem tylko kobietą, która boi się żab, i nie wypada mi nawet komentować tak wielkiego męskiego czynu. Mogę tylko pomilczeć w głębokim podziwieniu.



Uniwersytet Wrocławski im. Bolesława Bieruta

# DYPLOM

UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH

***Anna Wiktoria GERMAN***

urodzona dnia *14 lutego* 19*36* r.

w *Urgenczu* *ZSRR*

odbyła studia na Wydziale *Nauk Przyrodniczych*  
w latach *1955/56-1960/61*

przedstawiła pracę magisterską na temat: *Zdjęcie*  
*geologiczne okolic Zatonia (Ustronie).*

ocenioną jako *bardzo dobrą*

i po złożeniu egzaminu magisterskiego z wynikiem *bardzo dobrym*

uzyskała w dniu *23 stycznia* 196*2* niniejszy dyplom

*magistra geologii*

Rektor

*G. Kobic*



Dziekan

*M. Bi*

Nr *902*

WROCLAW dnia *25 kwietnia* 196*2*

Wkrótce złożyłam pracę dyplomową i zdałam pomyślnie egzamin magisterski na... 5. Był to rok 1962. W tym samym roku spróbowałam jeszcze raz zalegalizować moją obecność na estradzie. Tym razem z powodzeniem.

Egzamin zdany przed komisją weryfikacyjną Ministerstwa Kultury i Sztuki to wprawdzie nie dyplom ukończenia wydziału estradowego przy PWST, ale i ten dokument napawał mnie przyjemnym uczuciem własnej wartości, równouprawnienia z „prawdziwymi” aktorami. Teraz mogłam spokojnie rozpocząć „terminowanie” w Estradzie Rzeszowskiej. Bardzo miło wspominam te czasy. Uważam je również za bardzo pożyteczne. Taka kolejność w drodze każdego człowieka sceny wydaje mi się słuszna i sprawiedliwa. Najpierw trzeba sprawdzić, czy mamy coś do przekazania słuchaczowi, czy jest mu to potrzebne i czy ta praca naprawdę daje nam głębokie zadowolenie, a nie tylko zaspokojenie ambicji. Czy urok sceny, blask świateł, brawa publiczności nie są tylko miłym „okresem narzeczeńskim”. Czy tak samo będzie i w „małżeńskiej codzienności”, w której przecież muszą się zmieścić i blaski, i cienie.

Wydaje mi się, że doskonałym sprawdzianem jest właśnie praca w terenie. Każdego wieczoru zmieniają się przecież warunki za kulisami, na scenie i atmosfera na widowni.

To uczy nie najprostszej sztuki współzycia w zespole, umiejętności szybkiego przedstawiania się i dostosowania, a tym samym wzbogaca o wiele cech przydatnych na scenie. Potem, jeśli sprawdzian wypadł pomyślnie, jeśli bakcył sceniczny spowodował „nieuleczalną chorobę”, można spróbować swoich umiejętności i przed publicznością innych krajów.

Dyrektorem artystycznym Estrady Rzeszowskiej był wtedy Julian Krzywka, człowiek niezwykle oddany sprawom teatru i estrady. Mój udział w programie, którego był reżyserem, przyniósł mi duże korzyści. Poznałam dobrze pracę w terenie, zasmakowałam w jej trudach i radościach. Z naszym programem docieraliśmy nawet do najodleglejszych PGR-ów województwa rzeszowskiego. I muszę z przyjemnością stwierdzić, że im dalej od miast, od głównych traktów, tym serdeczniej nas witano, tym goręcej oklaskiwano. A przyjęcia, na których nas po imprezie tak gościnnie częstowano bigosem, zsiadłym mlekiem, chlebem razowym, ciepłym jeszcze i pachnącym – czyż można porównać z jakimkolwiek balem na lśniącej posadzce, w powodzi świateł?

To właśnie ta publiczność po raz pierwszy usłyszała i zaakceptowała *Tańczące Eurydyki*. Dopiero później, na festiwalu w Opolu, piosenka ta zdobyła ogólne uznanie, dając mi tym samym prawo uczestnictwa w festiwalu sopockim.



Anna w towarzystwie Katarzyny Gaertner podczas pracy w połowie lat sześćdziesiątych





Anna podczas jednego z festiwalowych występów w połowie lat sześćdziesiątych

Miałam więc pierwszy raz wystąpić na festiwalu w Opolu z *Tańczącymi Eurydykami*.

Przyjechałam do Opoli wczesnym rankiem. Już na dworcu można było przeczytać miłe słowa witające uczestników festiwalu. Miasto było przygotowane na tę uroczystość. Czyste, zielone, barwnie udekorowane, przyozdobione jak... narzeczona czekająca na swój orszak ślubny. A opolanie – gościnni, życzliwi, skorzy do dyskusji o piosence i... w razie niebezpieczeństwa broniący zaciekle swoich faworytów. Cecha miła i niezwykle ważna. Żaden sport nie może istnieć bez kibiców!

Pogoda była cudowna w czasie prób, a nawet jeszcze popołudniowy koncert odbył się w promieniach zachodzącego słońca. Ale wieczorem rozpętała się burza z ulewą, jakiej już potem nie widziałam. Wystarczyło być na scenie przez kilka minut, by nie mieć na sobie nawet śladu „suchej nitki”, mimo że ktoś wpadł na pomysł, by trzymać nad śpiewającym solistą parasolkę. A muzycy na scenie (bez parasolek) wylewali wodę z instrumentów, brodząc dosłownie po kostki w gigantycznych kałużach. Zauważyłam nieraz, że kiedy już nie można bardziej zmoknąć, robi się wszystko jedno i jest bardzo wesoło.

Tak był o i tym razem. I na scenie, i na widowni, której nikt nie opuszczał. Początkowo starano się ratować, chowając się pod parasole, płaszcze, chustki i gazety, ale ulewa była tego wieczoru obfita i długotrwała. Deszcz lał strumieniami, z podziwu godną dokładnością i konsekwencją zatapiając wszystko na ziemi. I choć ogólnie wiadomo, że potop miał już miejsce, chwilami rodziła się wątpliwość, czy to czasem nie teraz dopiero ma nastąpić?!

Było więc wszędzie mokro, ale nie zimno, choć słupek rtęci na termometrze wskazywał niewiele stopni. Było wesoło i gorąco! Oklaski i okrzyki uznania z widowni ogrzewały w równym stopniu „odbiorców”, jak i „nadawców”. Cieszyliśmy się i bawiliśmy wspólnie jak dzieci, którym nagle zezwolono na ulubioną zabawę – bieganie boso po kałużach w czasie deszczu. Dla mnie atmosfera panująca w czasie festiwalu opolskiego ma swoisty, niepowtarzalny urok. I to nie tylko w amfiteatrze, ale też na innych, mniejszych, towarzyszących festiwalowi imprezach odczuwa się ten sam „domowy” nastrój. Może to przede wszystkim dlatego, że są s a m i s w o i, że wszystko odbywa się na własnym podwórku, że śpiewa się tylko po polsku, o naszych, obchodzących przede wszystkim nas – sprawach. Bo przecież nie ma gości przynoszących ze sobą powiew dalekiego świata, ciekawego, ale przecież obcego.

Chyba głównie dlatego festiwale w Opolu są jeszcze miłsze mojemu sercu niż Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie.

Śpiewałam w Opolu dwa razy i za każdym razem los był dla mnie łaskawy (*Tańczące Eurydyki* i *Zakwitnę różą*). Może jeszcze kiedyś zaśpiewam w tym mieście?... Mówią – że do trzech razy sztuka... Człowiekowi nigdy nie za wiele szczęścia...

Chciałabym zresztą nie tylko ten jeden raz śpiewać na festiwalu w Opolu, ale to już poza konkursem. Nie tylko dlatego, że jak Maurice Chevalier czułabym się już syta chwały i zaszczytów ani też nie w obawie przed ewentualną porażką. Po prostu niech inni walczą, przeżywają chwile niepokoju przed werdyktem jury, niech inni się potem radują ze swego zwycięstwa. Bo to naprawdę ogromne przeżycie usłyszeć komunikat: „Piosenka... kompozytora... do tekstu... w aranżacji... w wykonaniu... uzyskała... pierwsze miejsce!”.

Po usłyszeniu własnego nazwiska przebiegają ciarki po całym ciele i zalewa nas fala szalonej, niewypowiedzianej radości. Zawisamy na czyjejs szyi. Najczęściej zostaje wycalowany i wyściskany ktoś, kto po prostu stoi najbliżej. Zupełnie nie zważamy na to, czy ten ktoś poddaje się z lubością huraganowym pieszczotom, czy też wyrывa się przerażony. Piszę specjalnie tak bezosobowo, ponieważ tak mniej więcej reagują prawie wszyscy zdobywcy nagród, punktowanych miejsc na festiwalach w kraju i za granicą. Z tą minimalną różnicą, że ja nigdy nie mogę zawisnąć na czyjejs szyi. Nogi zawsze sięgają mi akurat do podłogi.

Najlepsze piosenki z festiwalu opolskiego reprezentują polską piosenkę w Sopocie, na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki.

Chciałabym przy okazji podkreślić, że na powodzenie piosenki składa się nie tylko dobra muzyka, dobry tekst i dobre wykonanie. Bardzo ważna, czasem wręcz decydująca staje się oprawa muzyczna utworu – aranżacja, której znaczenie, jak mi się wydaje, jest u nas niedostatecznie

podkreślane.

Miałam po prostu szczęście w *Tańczących Eurydykach*. Muzycznie ta piosenka bardzo mi „leżała”, tekst – który jest raczej obrazem malowanym słowami lekko i pastelowo – bardzo się podobał. Swą aranżacją pan Herman ubrał Eurydyki w najładniejszą zwiewną tunikę, a całość zagrała doskonała orkiestra Stefana Rachonia. Najlepsza u nas i poza granicami kraju też.

Chciałabym doznać tak złożonego szczęścia i w przyszłości, w innych, nowych piosenkach.



Anna, Katarzyna Gaertner i Edward Hill w Sopocie (1964)



Anna na festiwalu piosenki w Sopocie (1964)

Ale między Opolem i Sopotem nastąpił mój pierwszy „wielki wyjazd za granicę”. Nie liczę wyjazdu do telewizji NRD, bo to bliźniutko, zaledwie kilka godzin jazdy pociągiem. Czekał mnie wyjazd do Związku Radzieckiego z dużą grupą artystów. Trasa była daleka i ciekawa, aż do Morza Czarnego. W programie brali udział między innymi: Maria Koterbska, Dana Lerska, Wiesława Drojecka, duet wokalnolotniczy, Zdzisław Sławiński, Stasia Kowalczyk, Janusz Gniatkowski, zespół Jerzego Miliana. Na czas trwania festiwalu sopockiego miałam otrzymać „przepustkę” do Polski. Tak też się stało. Zespół pożegnał mnie bardzo serdecznie i zażądał, bym bez nagrody nie wracała.

Dlatego też bardzo mnie ucieszyło moje pierwsze miejsce za *Tańczące Eurydyki* w dniu polskim i trzecie w dniu międzynarodowym.

Byłam w ZSRR cztery razy i za każdym razem zbierałam dowody niezwyklej muzykalności i wrażliwości radzieckiej publiczności. Publiczności tak wdzięcznej, serdecznej i wyrobionej muzycznie nie spotkałam nigdzie. Nie można jej oszukać. Zawsze wybierze, trafnie oceni, nagrodzi największymi brawami piosenkę dobrą, a niekoniecznie najbardziej efektowną. A przecież na koncercie trzeba reagować i decydować natychmiast. Nie ma czasu na zastanawianie się, porównania czy powtórne przesłuchania.

Przyjmowano nas niezwykle serdecznie, zapraszano do domów na uroczystości rodzinne. W czasie jednej z takich wizyt w starym domu gruzińskim zobaczyłam na ścianie takie wspaniałości w postaci białej broni, że nawet mnie, dalekiej od rycersko-wojskowych zainteresowań, zabiło serce z zachwytem. Pomyślałam potem o naszym przyjacielu Percym, który jest szermierzem. Dobrze, że Percy tego nie widział – straciłby spokój ducha, gdyż zapewne zechciałby mieć choć jedną taką szablę, piękną jak klejnot, by móc na nią choćby czasem popatrzeć, dotknąć cudownie wykonanej rękojeści. A przecież tych skarbów nie można nigdzie na świecie kupić na własność... chyba że Percy zyskałby uznanie i przyjaźń Gruzina. Za przyjaciela Gruzin odda nawet życie!

Na powtarzające się dość często pytania, zadawane i w Polsce, i poza jej granicami: „Jakie płyty pani nagrała, gdzie można je kupić?” – zmuszona byłam odpowiadać z uśmiechem zażenowania, że jeszcze żadna moja płyta nie wyszła, ale z pewnością wkrótce zaproponują mi jej nagranie. Płyty są bowiem dla piosenkarza będącego za granicą dowodem popularności we własnym kraju, dowodem stwierdzającym jego przydatność na scenie, a przede wszystkim dowodem usprawiedliwiającym i wyjaśniającym jego obecność na estradach zagranicznych. Jednym słowem – jest to taki... muzyczny dowód tożsamości.

Bardzo chciałam mieć taki „dowód” wystawiony w kraju. Marzyłam o tym, ale... wciąż nie miałam nawet szansy, by chociaż poprobować zostać „prorokiem we własnym kraju”.

Mimo to w Moskiewskim Studiu Nagrań przy ul. Stankiewicza 8 postanowiono zaryzykować...

Zaproponowano mi nagranie płyty. Całej, dużej, długogrającej płyty! Ucieszyłam się ogromnie. Zgodziłam się nagrywać natychmiast, mimo że mogłam to robić dopiero po koncertach, a więc w nocy. Czasem mieliśmy nawet po trzy koncerty dziennie, po których czułam się bardzo zmęczona. Przychodziłam jednak punktualnie do studia, gdzie zmęczenie ustępowało. Pochłaniała mnie całkowicie praca, cieszyła i ekscytowała. To przecież była moja pierwsza płyta!

Poznawałam dopiero całą technikę nagrywania, przyzwyczajałam się do śpiewania ze słuchawkami na uszach. Słyszając gotowy podkład muzyczny, odkrywałam na nowo sprawy interesujące, ale przecież niezupełnie nowe, bo znane mi z pozycji obserwatora w rzymskim RCA. Ale to są dwie zupełnie różne sytuacje. Patrzeć, jak inni nagrywają, a nagrywać samemu. Bardzo lubię pracę w studiu.

Do dziś jestem w serdecznym listownym kontakcie z Anną Kaczaliną, która jest wielkim znawcą muzyki w ogóle, a piosenki w szczególności, Igorem, który jest plastykiem i projektuje koperty do płyt, Wiktorem Babuszkinem, mikserem, zdolnym i cenionym fachowcem. To właśnie Wiktor odpowiada za fonię podczas wielkich politycznych i artystycznych wydarzeń na Kremlu i w Pałacu Zjazdów. Bardzo dobrze mi się z nimi pracowało.

W przerwach, kiedy kontrolowaliśmy nagrany materiał, częstowali mnie gorącą herbatą

i pierożkami z mięsem i kapustą. Chciałabym znów zjeść w towarzystwie Ani i Wiktora pachnący, gorący i pulchny pierożek z mięsem. Albo lepiej dwa. I z mięsem, i z kapustą!

Po pewnym czasie otrzymałam przesyłkę z Moskwy. To Igor we własnoręcznie sporządzonym, solidnym, drewnianym opakowaniu przesłał mi moją pierwszą płytę.

Na etykiecie naklejonej na płytę, na której podaje się spis piosenek (tytuły), wydrukowany był wierszyk:

*Милой Анне Герман  
Мы гадали день и час  
Когда же снова встретим Вас?  
Год прошел – а Вас всё нет...*

*В ожидании шлем привет!  
W wolnym przekładzie:  
Zastanawialiśmy się godzinami, dniami  
kiedy znów panią zobaczymy?  
Rok minął – a pani wciąż nie ma...*

*w oczekiwaniu przesyłamy pozdrowienia!*

Czas jednak powrócić do San Remo.

Zanim dotarłam do sali prób, musiałam po drodze dać się uwiecznić grupie fotoreporterów uczciwie pracujących dla swoich zleceniodawców.

Kiedy znalazłam się wreszcie, trochę zasapana (zdjęcia robione były na schodach) w sali, śpiewała właśnie Connie Francis. Usiadłam i dysząc nie tyle ze zmęczenia, ile z tremy, która mnie znów dopadła – zamieniłam się w słuch. Słyszałam Connie Francis dotychczas jedynie przez radio. Zawsze mi się jej głos podobał, ale nie wiedziałam, czy nie jest to zasługa wysokiej techniki nagrań.

Nie zawsze piosenkarz czy piosenkarka śpiewa tak, jak to zostało zarejestrowane na płycie lub taśmie magnetofonowej. Prawdziwym sprawdzianem jest śpiewanie na żywo, a nie z playbacku.

W większości telewizyjnych programów piosenkarz korzysta z nagrania studyjnego doskonałego pod każdym względem. Odtwarza się piosenkę – piosenkarz ją słyszy z głośnika i stara się możliwie dokładnie zsynchronizować ruchy warg ze słyszaną piosenką. Ja na przykład śpiewam cicho, starając się nie zagłuszyć płynącego z głośnika własnego nagrania. Wtedy ruchy warg i mimika twarzy są bardziej prawdziwe.

Termin „na żywo” oznacza śpiewanie do mikrofonu przed publicznością, z towarzyszeniem grającej, a nie markującej orkiestry. O ile w procesie nagrywania możliwe są dziesiątki powtórzeń, poprawek, trików technicznych – o tyle w śpiewaniu na żywo mogą wyjść na jaw wszystkie minusy, słabsze strony śpiewającego, gdyż nie ma żadnej możliwości poprawienia czegokolwiek.

Dlatego też, jeszcze zanim Connie Francis skończyła śpiewać, z przyjemnością doszłam do wniosku, że ona naprawdę tak pięknie śpiewa. Zachowywała się i wyglądała jak zwyczajna, normalna dziewczyna. Czarne spodnie, sandały i sweterek... Swoim wyglądem nie zmuszała widzów na sali do patrzenia na siebie. Podkreślałam to świadomie, gdyż nie mogłabym tego powiedzieć o wszystkich uczestnikach festiwalu. W dniu koncertu miałam okazję do rozmowy z Connie. „Skąd jesteś, Anno?” – zapytała, kiedy schodziłam ze sceny po odśpiewaniu mojej piosenki. Była jeszcze za kulisami, ponieważ śpiewała tuż przede mną i teraz śledziła przebieg festiwalu na kontrolnym ekranie telewizyjnym. Opowiedziałam jej, jak znana i lubiana jest w Polsce. „O, naprawdę?” – odrzekła z uśmiechem, który pozwalał wierzyć, że nieobojętna to dla niej nowina. Potem rozmowa zeszła na temat samobójstwa Luigiego Tenco. „Ludzie zbyt wiele oczekują od życia, a gdy wygórowane nadzieje nie spełniają się, dzieją się właśnie takie tragedie. Ja akceptuję wszystko w życiu, tak samo cieszą mnie drobne sprawy, jak i te wielkie. Tak trzeba postępować, gdy chce się być przynajmniej spokojnym, jeśli nie szczęśliwym”.

Jej zachowanie, spokój, opanowany sposób bycia wskazywałyby na to, że postępuje zgodnie ze swoimi zasadami i przyznać trzeba – skutecznie. Sądzę jednak, że ten wewnętrzny spokój w rozmowie prywatnej i opanowanie na scenie – zawdzięcza przede wszystkim pewności, że to, co się robi, ma wartość i sens. Poza tym zauważyłam na próbach, że po prostu kocha swoją pracę,

kocha śpiew. Umiłowanie pracy jest przecież warunkiem szczęścia człowieka. Jeśli nie jedynym, to z pewnością jednym z najważniejszych.

Następnie na estradę weszła Dalida. Znałam ją z występów w Sali Kongresowej i Olympii. Zmieniła się bardzo. Była o wiele szczuplejsza, by nie rzec: chuda – zresztą zgodnie z wymogami mody. Długie włosy miała tym razem utlenione. Ponieważ pamiętam ją z występów i licznych zdjęć jako brunetkę, nie poznałam jej w pierwszej chwili. Dopiero gdy zaczęła śpiewać, uprzytomniłam sobie, że ten blond nastolatek w minispódniczce to przecież sama Dalida. Po Dalidzie śpiewały mniej znane mi piosenkarki i piosenkarze włoscy. W pewnej chwili stwierdziłam poruszenie na sali, wzmożnił się gwar o kilka decybeli, głowy odwróciły się ku drzwiom. A w drzwiach stał uśmiechnięty Domenico Modugno, przesyłający na lewo i prawo powitalne całusy. Wraz z nim przyszła na próbę jego piękna, młodziutka żona. Jak mnie Ranucio poinformował, szalenie zazdrosna o sławnego męża. Pietro i Ranucio zaniepokoił się wyraźnie. Czułam, że któregoś z nich olśnił jakiś kolejny genialny plan, który natychmiast zechcą zrealizować. I rzeczywiście. „Musisz mieć zdjęcie z Domenico” – powiedział Pietro, nachylając się do mnie. „To będzie reklama! Najpierw przedstawimy cię oczywiście”. Ale pan Domenico Modugno usadowił się tymczasem w przeciwległym końcu sali. Nie wypada, by kobieta przedzierała się przez tłumy w celu przedstawienia się. Ale z drugiej strony – jak zauważył Pietro – Modugno chyba nie zechce przebyć tej męczącej drogi, by poznać jakąś piosenkarkę. Nieznaną.

Ranucio jednak znów stanął na wysokości zadania: „Po prostu Anna przesiądzie się bliżej, a ja poproszę, by Domenico zrobił to samo. A kiedy już będą w odległości wyciągniętej ręki – przedstawimy ich sobie”.

Zrobiłam to, czego ode mnie wymagano, i oto siedziałam obok Modugno, który okazał się bardzo miły i bezpośredni. Kiedy zbliżył się fotograf, by zrobić zdjęcie pt. „Domenico Modugno w rozmowie z Polką” – powstał taki tłok, że trudno było zorientować się na zdjęciu, kto gdzie się zaczyna i kończy. Takie to właściwości magnetyczne posiada obiektyw. Zupełnie niespodziewanie przyszła pomoc ze sceny. Po prostu do mikrofonu zbliżyła się śpiewająca para małżeńska Sonny and Cher, która swym zjawieniem się wybawiła mnie z opresji. Przez kilkanaście następnych minut nikt nie był w stanie robić nic innego, jak tylko podziwiać fantazję małżeństwa przejawiającą się w kroju szat i doborze kolorów. Było to widowisko absolutnie szokujące. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy dobrze śpiewali. Jak się później okazało, w identycznym ubraniu i makijażu odbywali spacerówkę pieszo po San Remo, budząc w przechodniach sprzeczne uczucia. Ale cel swój osiągnęli niezawodnie, bo każdy przechodzień – nawet najbardziej pogrążony we własnych najczarniejszych myślach – podnosił wzrok, patrzył, odwracał się za nimi i na chwilę zapominał o własnym nieszczęściu, a może i o całym bożym świecie. W każdym razie taki przechodzień, kiedy ujrzy ich pływającą w oknie wystawowym – kupi ją na pewno!

Po tym wzruszeniu odpoczęłam przy Les Surfs, którzy wdzięcznym, tanecznym krokiem wbiegli na scenę. Śpiewali piosenkę *Quando dico, che ti amo*. W ich wykonaniu wypadła o wiele lepiej niż w wykonaniu włoskiej piosenkarki Anny-Rity Spinaci. Są bardzo niscy, wyglądają jak dzieci albo raczej jak śniade, poruszające się lalki-zabawki. Dwie dziewczyny i czterech chłopców. Zespół Les Surfs zastąpił wkrótce francuski piosenkarz Antoine. Moim zdaniem chłopak ten nie umie śpiewać. Ekstrawagancki strój, uczesanie (a raczej jego brak), epileptyczne podrygiwanie i nieskoordynowane z muzyką podskoki. Wszystko to nie mogło olśnić i oszołomić do tego stopnia, by nie zauważyć fałszowania i wyskakiwania z frazy. Spieszę raz jeszcze podkreślić, że na moją negatywną ocenę nie wpłynął bynajmniej ani jego strój, ani dość mało sympatyczny sposób bycia. W sprawach dotyczących ubioru, wyglądu zewnętrznego kieruję się daleko idącym liberalizmem, wyrozumiałością. Uważam to zresztą za mało istotne w ocenie wartości człowieka. Natomiast przekonana jestem, że każdy piosenkarz powinien jednak odznaczać się odrobiną muzykalności i głosu. W przeciwnym razie ta zabawa w gwiazdę estrady staje się mocno nieuczciwa. I to zarówno wobec widzów-słuchaczy, jak też wobec siebie samego. Tylko że wymienione braki idą zazwyczaj w parze z kolosalnym brakiem samokrytycyzmu. Niestety.

Po powrocie z próby w hotelu czekała mnie miła wiadomość. Zosia Aleksandrowicz przybędzie jutro! Świetnie się składało, ponieważ właśnie następnego dnia, w przeddzień festiwalu,

miał się odbyć cocktail na moją cześć. Zaproszono mnóstwo osób. A ja wiedziałam z doświadczenia, czym to pachnie. Pocieszałam się trochę tym, że u wielu ludzi na ziemi stwierdzono wrodzoną, a więc nieuleczalną awersję do cocktaili na własną cześć. Przybyli wszyscy. Między innymi przedstawiciel polskiej ambasady w Rzymie.

Zosia przesyłała mi od czasu do czasu krzepiący uśmiech i kilka słów również mocno krzepiących – gdyż nazywających rzeczy po imieniu, po polsku. Byłam jej niezmiernie wdzięczna za to. Nie przeszkadzało jej to w intensywnej pracy reżyserskiej. Ponieważ sceny z tego przyjęcia miały wejść do filmu o mnie – więc Zosia korzystała z okazji.

Z wywiadów zapamiętałam najlepiej wywiad dla Radia Luxembourg. Przedstawiciel tej rozgłośni był tak druzgocąco przystojny i miły, że miałam poważne kłopoty ze skoncentrowaniem się na odpowiedziach. Nie chciałam być źle zrozumiana. Nie stwierdziłam u siebie ani krzty zaborczości, agresywności czy innej podobnej cechy charakteru – tylko że on był taki piękny...





Anna w towarzystwie włoskiego kompozytora Freda Bongusto (1966)

Następnego dnia zaczynał się festiwal. Przed południem zrobiono mi z Fredem Bongusto (jego piosenkę śpiewałam) serię zdjęć. „Na wszelki wypadek – zakomunikował fotoreporter. – Jeśli zwyciężycie, wasze zdjęcia muszą się ukazać natychmiast w prasie wieczornej”.

A potem było długie, nieskończenie długie oczekiwanie na nadejście wieczoru. W końcu zapadł zmierzch, nadeszły późne godziny wieczorne. Trzeba było przygotować się do wyjścia z hotelu. Zapakowałam suknię i pantofle. Czekałam na Pietra z Ranuciem. Przyszli, popatrzyli zdziwieni i wreszcie spytali z niepokojem: „Dlaczego nie jesteś jeszcze ubrana?”. Jak to? – zdziwiłam się z kolei ja. Miałam na sobie „małą czarną”, byłam uczesana. Wydawało mi się, że wyglądam dostatecznie elegancko, by samochodem przejechać kilka ulic i w garderobie przebrać się w suknię sceniczną. Tak jak to robiłam zawsze, wszędzie. „Ostatecznie można i tak” – zgodził się wspaniałomyślnie Pietro. Wyszliśmy.

Już w windzie spostrzegłam, że wszystkie panie są w długich sukniach wieczorowych, płaszczach do ziemi lub etolach różnej długości, ale jednakowo kosztownych. No cóż – pomyślałam – etoli ani płaszcz wieczorowego z trenem nie mam, ale za to mam prawdziwe włosy, a nie perukę i nie fałszuję. O! Nie będę ukrywała, że przez kilka chwil nie mogłam stłumić w sobie przejawu drobnomieszkańskiego sposobu myślenia. Czułam się jak Kopciuszek, któremu dobra wróżka nie wyczarowała przed balem ani sukni, ani karety, ani w ogóle niczego.

Za kulisami tłok był niesamowity. Oprócz wykonawców uwijała się cała armia fotoreporterów, sprawozdawców radiowych, filmowych, dziennikarzy, obserwatorów. Tu i ówdzie wylaniały się z tłumu przystojne oblicza karabinierów stojących na straży porządku.

(Karabinierzy dzielą się na:

1. przystojnych,
2. bardzo przystojnych,
3. zniewalająco przystojnych).

Ranucio dzielnie torował mi drogę. Myślałam, że podążamy ku garderobie, ale myliłam się. Ranucio doholował mnie w końcu do niezbyt obszernego pokoju, w którym kilka pań dokonywało charakterystyki panów, gdyż piosenkarki przybyły już w całkowitym rynsztunku na „pole bitwy”. Zwróciłam się do Ranucia z lekkim wyrzutem w głosie, żeby był tak dobry i pokazał mi drogę do garderób damskich, gdyż w danej chwili nie odczuwam potrzeby dokonania striptizu dla panów zajętych całkowicie sobą. Ranucio uśmieł się serdecznie. Muszę przyznać, że doceniał on czasem moje wisielcze poczucie humoru. Uspokoiwszy się, oznajmił, że trzeba było ubrać się do występu w hotelu, bo tu nie ma „specjalnych garderób”. Ochłonawszy nieco ze zdziwienia i rozejrzawszy się w terenie, znalazłam jednak cichy, odosobniony schowek o powierzchni całego metra kwadratowego. Była to toaleta.

Dokonując akrobatycznych ewolucji w trakcie przebierania się na tym moim neutralnym metrze kwadratowym, przypominałam sobie analogiczne sytuacje w innych krajach. Podobnie było w Cannes, na wielkich międzynarodowych targach płytowych, na telewizyjnym koncercie w Paryżu.

Z jaką satysfakcją przypominałam sobie pewną imprezę w Bieszczadach, zimą. Dojechać można było jedynie saniami, które grzęzły w metrowych zaspach śniegu, a nawet – ku naszej radości – raz się przewróciły. Gdyby tam, w Bieszczadach, zespół zastał takie warunki jak tu, w San Remo, nikt by okiem nie mrugnął. Wiadomo, w terenie różnie się zdarza, jest się przygotowanym na różne niewygody.

I właśnie tam daleko, gdzie każdy minus byłby zrozumiały i usprawiedliwiony, gdzie w najsrozsze zimowe wieczory wilk ma prawo urządzić koncert pod oknem – zastaliśmy absolutnie komfortowe warunki w nowo wybudowanym domu kultury.

Rozpoczął się koncert – pierwszy wieczór festiwalu. Festiwal trwa przez trzy wieczory. Z trzydziestu piosenek prezentowanych w ciągu dwu wieczorów do finału wchodzi połowa. Z finałowych piosenek wybiera się tę jedną najlepszą, zwyciężczynię. Każda piosenka wykonana jest dwukrotnie. Przez piosenkarza włoskiego i zagranicznego.

Scenę, na której odbywa się festiwal, zaliczyłabym raczej do małych. Mieści się na niej piosenkarz z grupą wokalną, towarzyszącą niemal każdemu soliście. Nie zmieściłaby się już raczej

orkiestra, dla której wydzielono miejsce przed sceną. Orkiestrę dzieli od publiczności jedynie barierka i wąskie przejście. San Remo 67 zapowiadali Mike Bongiorno i Renata Mauro.

Może jeszcze kilka słów o publiczności. Przed koncertem, wchodząc do gmachu, ocierając się o kosztowne futra pań i smokingi panów – zastanawiałam się, czy w każdym przeciętnym domu włoskim wisi w szafie choć jedno takie futro i frak. Czy posiadanie tego wieczorowego płaszcza z trenem jest absolutnie nieodzowną życiową koniecznością. Czy brak tych „rekwizytów” dyskwalifikuje, czy...

Okolicznością nie do ominięcia pozostaje jednak to, że tego wieczoru, jak i następnego przyszli – przepraszam – zjechali na festiwal wyłącznie ci, którzy posiadali w swoich szafach niejedną frak i szynszyle.

Jak ogólnie wiadomo, nadmiar dobrobytu spowodować może w psychice posiadacza pewne daleko idące zmiany, z reguły niekorzystne w pojęciu normalnie (z pracy własnych rąk) bytujących ludzi.

Tym tłumaczyłam sobie dość duszną, ciężką atmosferę panującą w sali. Publiczność nie do rozruszania, rzekłby aktor, spoglądając na widownię przez dziurkę w kurtynie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że piosenką interesują się wyłącznie nastolatki. Nie, znam szanowne babcie, które potrafią zacytować najnowsze listy przebojów. Ale nikt chyba nie zaprzeczy, że festiwal w San Remo nie jest urządzany przede wszystkim z myślą o paniach w starszym wieku i panach zasypiających w trakcie spokojniejszych śpiewów (wiek pozostaje najczęściej wprost proporcjonalny do zawartości portfela). Dowodem na to były nieprzebrane tłumy młodzieży oblegające gmach nieomal od rana do nocy. Ale oni nie mieli prawa wstępu. Bilet na tę imprezę jest za drogi.



Anna z Janem Tyszkiewiczem z Radia Wolna Europa podczas festiwalu w San Remo (luty 1967)

COMPANY DISCOGRAFICA ITALIANA  
via Ballila, 36 - MILANO - tel. 84.72.672 - 84.72.673.

IS VERY PLEASED TO PRESENT AT THE  
**XVII SANREMO FESTIVAL SONG**

**anna  
german**

THE MOST POPULAR SINGER  
IN THE EASTERN COUNTRIES



FOR MORE DETAILS PLEASE TAKE CONTACT WITH US

**ANNA  
GERMAN**

disco  
**BIS**  
**TE  
FAJE  
DESIDERÀ**



XV  
FESTIVAL DELLA  
CANZONE  
NAPOLETANA

Piszę o moich własnych spostrzeżeniach, a do pełniejszego obrazu brakuje jeszcze pewnych danych natury ogólniejszej, statystycznej. Każdego roku odbywa się we Włoszech pokaźna liczba wszelkiego rodzaju festiwali piosenki w różnych regionach. W ostatnich latach notuje się u nas też wzrastające zainteresowanie sprawami piosenki. Tu i ówdzie można w naszej prasie przeczytać krytycznie, czasem w żartobliwym tonie podane stwierdzenie, że sprawy piosenki urastają w Polsce do problemu narodowego i że kto żyje, włącza się do dyskusji, nie zawsze mając po temu kwalifikacje. Otóż stwierdzić muszę z żalem, że wygląda to jednak blado w porównaniu z tym, co się dzieje we Włoszech, i to nie bezpośrednio po festiwalu, ale permanentnie i wytrwale przez cały rok. Mówię „z żalem”, gdyż sympatyczny wydaje mi się fakt ogólnonarodowego rozśpiewania i zainteresowania piosenką. Nie wiem, z czego to wynika, chyba przede wszystkim z ogromnej, umocnionej tradycjami – muzykalności Włochów.

W odróżnieniu od najmuzykalniejszego Polaka – Włoch nie wstydzi się śpiewać. Śpiewa chętnie i z przejęciem w czasie pracy, na ulicy, w sklepie i na przystanku. Śpiew pomaga mu żyć, ułatwia kontakty z ludźmi, łagodzi wszelkie stesy współczesnego życia. Pamiętam dość otyłą matronę sprząającą korytarz hotelowy i śpiewającą donośnym głosem piosenki Giglioli Cinquetti *Non ho l'eta per amanti* („Za młoda jestem, żeby się ko-o-o-chać”) albo dwóch panów czekających na autobus, którzy poznali się przed chwilą dzięki wymianie zdań na temat aktualnych przebojów. „A pamięta pan ten fragment?”... – tu pan z wąsikami położył szybko swoją teczkę na ziemi, by móc gestem podkreślić finezję utworu.

Płyty znajdują się w sprzedaży natychmiast po festiwalu. Tłoczone są już przed jego rozpoczęciem. W ciągu dwu dni, najdalej trzech – można na ulicy usłyszeć każdą z piosenek śpiewanych na festiwalu. Co łatwiejsze piosenki rozbrzmiewają tego samego wieczora.

Festiwal dostarcza nie tylko wzruszeń natury muzycznej. Można też pozastanawiać się nad życiem osobistym uczestników, gdyż prasa bezlitośnie, z upodobaniem – rzekłabym – wyciąga na światło dzienne sprawy osobiste gwiazdy i rzuca na żer czytelnikom. Z braku prawdziwych informacji zmyśla się je bez żenady. Wydawać by się mogło więc, że festiwal jest urządzany dla szerokich mas. Tak jest pozornie. Masy śpiewające są środkiem prowadzącym do celu. Do pieniędzy.

Festiwal urządzają wyłącznie wytwórnie płytowe. Wykonawcy biorący udział w festiwalu muszą reprezentować którąś z nich. Sam udział w festiwalu kosztował pół miliona lirów, a obecnie milion. I wcale nie chodzi ani o wykonawcę, ani wartość artystyczną piosenki. Piosenka staje się towarem, inwestycją. Zwycięza ten, kto więcej zainwestował i lepiej potrafi swój towar sprzedać.

Jak już wspomniałam, liczy się tylko pierwsze miejsce. Najbardziej popularne stają się piosenki, które nie weszły nawet do finału, ale kupuje się powszechnie płyty z piosenkami finałowymi, a już z całą pewnością z piosenką laureatką. Ją wypada mieć, znać. Tak było i na festiwalu w roku 1967.

Zwrócenie większej uwagi na stronę merkantylności festiwalu, bez umniejszania jego rangi artystycznej, przydałoby się naszemu festiwalowi sopockiemu. Tym bardziej że przecież w warunkach naszego ustroju wykluczona jest konkurencyjna walka wytwórni, w której wszystkie chwytły są dozwolone. Dlatego też śmierć Luigiego Tenco mogła się zdarzyć tylko tam.





Anna German, che oltrecortina ha venduto un milione di dischi, è sbarcata per la prima volta in Italia e spera di partecipare al nostro più importante festival. Laureata in geologia, è stata lanciata dal poeta russo Evtuscenko



Al prossimo Festival parteciperà anche, ed è una novità, una cantante polacca, Anna German, qui fotografata a Milano dove è venuta per incidere un proprio disco per Sanremo. La partecipazione dei cantanti stranieri si fa sempre più numerosa. Ormai la manifestazione ha assunto carattere internazionale, d'altra parte i cantanti stranieri una volta rientrati nei loro Paesi di origine lasciano « in loco » le canzoni del Festival contribuendo al diffondersi della nostra musica. Tra i nomi certi si fanno quelli di Gene Pitney, Dalida, Francis, Hervé Villard, Dalida, Richard Anthony, ed altri.

Si chiama Anna German, ha 26 anni e una laurea in geologia. E' anche la cantante di moda nel mondo sovietico: « La nostra Mina », dicono i polacchi. Lanciata da Evtuscenko, che è stato il suo paroliere di lusso, in Russia e nei paesi satelliti ha venduto più di un milione di « 33 giri ». Non dischi piccoli; long playing. Una cifra enorme; almeno per noi.

Ma Anna German è venuta in Italia per una settimana ed è la prima volta che l'ultima della canzone d'oltrecortina sbarca nel nostro paese. E' arrivata sola sola, imitata da una casa discografica straniera, accettando con docilità un massaggio de force. Ogni minuto prezioso per sfruttare la sua presenza, così ha portato conferenze, servizi fotografici, programmi, in un crescendo industriale.

... molto bene un generico moderno, tra i quali e Mina; forse parteciperà a Sanremo; ha sentito molte canzoni nuove, di quelle scritte per concorrere alla rassegna. Lo ammette sen-

te, non foss'altro perché è alta un metro e 84, almeno dieci centimetri più dell'inevitabile Mike Bongiorno presentatore della rassegna sanremese.

Per ora, Anna è tornata a casa, non sappiamo con quali impressioni. Sicuramente con un gran mal di piedi: per le fotografie di moda ha dovuto calzare scarpe italiane per lei strettissime. D'altronde, non è facile trovare dei modelli numero 42.

I rapporti tra noi e il mondo dell'Est sono ancora provinciali; almeno nel campo dello spettacolo. Per noi non ci sono in Russia che balletti classici e circhi; per loro da noi non ci sono che Robertino e il sole di Napoli. Con Anna German si rompe una tradizione, ormai bolsa.

« Quali canzoni italiane preferisce? Torna a Surriento? » le ha mormorato un solerte accompagnatore. « Oh no! — s'è messo a ridere. — E' bella ma vecchia. Modugno, piuttosto, e tutti i vostri giovani... ».

Anna parla e canta in cinque lingue; italiano compreso. Ha inciso, tra l'altro, « Non ho l'età » della Cinquetti, che





Pierwszą część festiwalu miałam za sobą. Rozpoczęło się oczekiwanie na werdykt jury. Z piętnastu piosenek wykonanych tego wieczoru mniej więcej połowa miała wejść do finału i walczyć o upragnione pierwsze miejsce.

Do dobrego tonu należało skrócenie sobie czasu oczekiwania w kasynie gry, możliwie aktywnie. Jak powszechnie wiadomo, udział w grze hazardowej uwarunkowany jest posiadaniem środków płatniczych, w większej raczej ilości.

Wprawdzie mój udział w festiwalu kosztował pół miliona lirów, ale płaciłam nie ja, tylko CDI – czyli Pietro. Ja natomiast znajdowałam się w sytuacji biednego krewnego zaproszonego nagle na wystawny obiad.

Chcę przez to powiedzieć, że nawet gdybym poczuła nagły przypływ skłonności do hazardu, z wyżej wymienionych przyczyn nie mogłabym się przysiąść do zielonego stolika. W rezultacie nie wiem, czy w filmach wiernie oddają atmosferę kasyna gry.

Poprosiłam więc Pietra, by odwiózł mnie do hotelu. Zresztą mój stosunek do wyników festiwalu był nieco inny. Trochę, rzekłabym, sportowy. Cieszył mnie sam udział w tym festiwalu światowej sławy, możliwość usłyszenia, zobaczenia wielu aktualnych gwiazd piosenki z całego świata. Nagroda nie była dla mnie sprawą życia i śmierci.

Instynktownie czułam od początku, że w ścierających się ustawicznie interesach wielkich firm płytowych nie będzie leżało zwyczajstwo przedstawicielki tak mało znaczącej wytwórni jak CDI. Nawet gdyby piosenkę skomponował sam Orfeusz i użyczył mi na dodatek swego głosu.

Ale dla większości uczestników werdykt jury miał istotne znaczenie i zrozumiałe było ich pełne niepokoju oczekiwanie. Wejście do finału oznaczało wyższą gażę za koncerty, zapewniało wiele korzystnych propozycji, ogólną sławę i uznanie na cały rok, aż do następnego festiwalu. Niezakwalifikowanie się do finału oznaczało natomiast spadek gaży, popularności. Dlatego np. znane sławy piosenkarskie w ogóle nie biorą udziału w festiwalu. Wolą nie ryzykować, jak np. Rita Pavone, Mina, Milva.

Po ogłoszeniu werdyktu jury Pietro oznajmił mi: „Nie weszliśmy do finału, ale za to jesteśmy w najlepszym towarzystwie”. Żadna z największych sław piosenki tym razem nie weszła do finału. Przed metą pozostali: Dalida, Dionne Warwick, Connie Francis, Domenico Modugno, Sonny i Cher też...

Następnego dnia rano wpadł do mnie roztrzęsiony Fred Bongusto. „Straszne nieszczęście się stało – powiedział i usiadł ciężko na krześle. – Dziś w nocy po werdykcie jury popełnił samobójstwo Luigi Tenco – mój kolega”. Poranne gazety przyniosły natychmiast wyczerpujące dane o tragicznej śmierci.

Luigi, dowiedziawszy się, że jego piosenka nie weszła do finału, wrócił do hotelu i strzelił sobie w usta. Dalida, która śpiewała na festiwalu jego piosenkę, nie znajdując go wśród dyskutujących nad werdyktem – pośpieszyła do hotelu, chcąc pocieszyć przyjaciela. Była pierwszą osobą, która go zobaczyła. Doznała szoku i została zabrana do szpitala.

Podobno Luigi Tenco miał zostawić list, w którym pisał, że nie chce dłużej żyć na świecie tak niesprawiedliwym i podłym. Domagano się przerwania festiwalu, w San Remo zawrzało. Ale nie na długo. Festiwalu nie tylko nie przerwano, ale wkrótce po pogrzebie, na którym było tylko kilku najbliższych przyjaciół – świętowano z okazji ślubu Gene Pitneya. Ślub miał charakter wybitnie widowiskowy i nie jestem pewna, czy nie został zawarty wyłącznie w celach reklamowych. Huczne przyjęcie weselne odbywało się na jachcie, tak by tłumy widzów nie były pozbawione tego pięknego widoku ani na chwilę.

I tylko czerwony kwiat leżący na chodniku przed afiszem Luigiego Tenco przypominał o tragicznej, niepotrzebnej śmierci. Luigi Tenco był kompozytorem i autorem tekstu swojej piosenki; *Ciao, amore* była jedną z najładniejszych, najambitniejszych piosenek pod względem tekstu i muzyki. Bardzo melodyjna, niebanalna, o łatwo wpadającym w ucho refrenie.

Śpiewałam ją kilkakrotnie. Podobała się niezmiennie i chyba nie tylko ze względu na pamięć o autorze.

Kiedy po roku przeczytałam wywiad z Dalidą – rozczarowała mnie bardzo jej postawa. Gdyby ten wywiad ukazał się bezpośrednio po jego śmierci – naturalnie, zrozumiałe byłyby te

zwierzenia podyktowane rozpaczą po stracie ukochanej osoby. Niestety, wywiad ten – zaopatrzone w liczne zdjęcia Dalidy z Luigim i opisy bardzo intymnych spraw, które ich łączyły – zabrzmiał czysto reklamowo. A przecież Dalida przeżyła po śmierci Tenco głębokie załamanie, depresję, próbowała targnąć się na życie. Nie występowała. Ale po okresie ciszy, jaka się wytworzyła wokół Dalidy, musiała znów za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Nawet za cenę bardzo osobistych i bolesnych wspomnień.

Nie czekaliśmy już na oficjalne zakończenie festiwalu. Pietro zaproponował powrót do Mediolanu następnego dnia po obiedzie. Na trasie do Mediolanu wstąpiliśmy do małego baru przy autostradzie. Dziewczyna, która nas obsługiwała, była w niemałym kłopotcie. Starła się podać zamówione potrawy, nie odrywając jednocześnie wzroku od telewizora. Kończył się bowiem właśnie drugi dzień festiwalu.

W hotelu w Mediolanie dowiedzieliśmy się dopiero, że zwyciężyli Claudio Villa – Iva Zanicchi.



Anna podczas pobytu w Mediolanie (1966)



Anna występuje z Domenico Modugno w programie telewizyjnym „Giochi in famiglia” (1967)

Przed moim powrotem do Polski czekały mnie jeszcze trzy ważne dla mnie wydarzenia.

1. Udział w telewizyjnym, bardzo popularnym w całych Włoszech, programie „Zabawy w rodzinie” – „Giacchi in famiglia”. Program bardzo lubiany i oczekiwany, tak jak nasze genialne „Małżeństwo doskonałe”.

2. Własny godzinny program w telewizji, w którym miałam śpiewać sześć piosenek i zapowiadać razem z Domenico Modugno. Moimi gośćmi w programie mieli być Studio Folk – Singers, Fred Bongusto i Domenico Modugno.

3. Udział w programie rozrywkowym telewizji szwajcarskiej. Mój program miał być zrealizowany w ośrodku telewizyjnym w Turynie. Zosia też pojechała ze mną do Turynu, ale jej obecność miała się ograniczyć tym razem do celów towarzyskich. Na zdjęcia filmowe z realizacji programu telewizja nie zezwoliła, więc Zosia musiała zadowolić się obejrzeniem miasta.

Scenariusz był nieskomplikowany. Po prostu poszczególne numery programu – powiązano moją zapowiedzią bądź dialogiem z Domenico Modugno. Tekst, który miałam powiedzieć w ciągu tej godziny, otrzymałam przed rozpoczęciem zdjęć, więc o przygotowaniu się raczej nie było mowy.

Ale dubli z mojego powodu nie było. Zawdzięczam to w dużej mierze miłej, życzliwej atmosferze, jaką starali się stworzyć zarówno reżyser programu ze swoim sztabem asystentów i pomocników, jak i kamerzyści, wreszcie – goście programu: Bongusto, Modugno i Studio Folk – Singers.

Z Domenico Modugno nie tylko prowadziłam dialog, ale nawet w pewnym miejscu programu zaśpiewałam z nim w duecie piosenkę sycylijską, której mnie uprzednio w korytarzu nauczył. Bardzo wesoła, żartobliwa piosenka o tym, jak to cała rodzina lubiła jeść cykorię. Modugno był bardzo bezpośredni, żywiołowy, miły, koleżeński, zupełnie taki, jakim go znałam z filmów czy programów telewizyjnych. Mimo że jest jednym z nielicznych śpiewaków pozostających już tyle lat w czołówce piosenkarstwa – jest normalnym, wesołym człowiekiem. A potem gwiazdą.

Modugno jest nie tylko znanym w świecie piosenkarzem i kompozytorem, ale cenionym aktorem filmowym i teatralnym, kompozytorem musicali. Niestety, nie widziałam tego programu w telewizji, gdyż byłam w czasie jego projekcji w domu, ale dowiedziałam się potem, że został powtórzony jeszcze dwukrotnie na życzenie widzów.

W programie telewizyjnym „Giacchi in famiglia” śpiewałam piosenkę Arno Babadżaniana do tekstu Jewgienija Jewtuszenki. Włoski tekst napisał Enzo Buonassisi. Muzyka Babadżaniana tak się tam podobała, że pan Buonassisi napisał do niej włoski tekst w ciągu jednej – nieprzespanej z podniecenia – nocy.

I jako drugą – *Zakwitnę różą.*

Jak już wspomniałam – „Giacchi in famiglia” jest programem, na który z niecierpliwością czeka się w całych Włoszech. Współzawodniczą dwie drużyny. Każda składa się z mamy, taty, babci, dziadka i wnuka lub wnuczki. Pytania dotyczą bardzo różnych dziedzin życia. Współzawodnictwo drużyn nie ogranicza się do odpowiedzi na zadane pytania. Trzeba też wykonać wiele czynności w ograniczonym czasie.

Sam tytuł wskazuje na to, że sprawa jest ściśle rodzinna. Pamiętam, jak zadaniem dziadka było wykonanie piosenki, którą kiedyś wyśpiewywał pod balkonem babci – wtedy młodej dziewczyny. Dziadkowie każdej z drużyn przystąpili ochoczo do spełnienia zadania, wywołując na twarzach swych wybranek – teraz siwych babć – chyba ten sam młodzieńczy uśmiech rozrzewnienia i wzruszenia, który ongiś zdobił młode, zakochane oblicza.

W pewnej chwili poczułam, że mnie ktoś lekko pociąga za warkocz. Odwróciłam się i ujrzałam przykucniętego za moimi plecami uczestnika najmłodszej generacji. „Signora – zapytał szeptem – proszę powiedzieć, czy narodowym tańcem polskim jest mazurek czy polka?”. Sobie tylko znanym sposobem dowiedział się sprytny młodzieniec o mogącym paść takim pytaniu, no i w obronie honoru rodzinnego nie przebiegał widać w środkach wiodących do zwycięstwa. Wkrótce też babcia młodzieńca bez zająknięcia, z triumfalnym uśmiechem na miłej, pogodnej twarzy – wyrecytowała pełnym zdaniem: „Polskim tańcem narodowym jest o c z y w i ś c i e

mazurek!”.

Po wykonaniu mojej piosenki drużyny obu rodzin nagrodziły mnie rześzystymi oklaskami, a jeden z dziadków, Sycylińczyk, wcisnął mi do ręki kwiat zdobyty gdzieś za kulisami. Pociągnął mnie za sobą w spokojniejszy zakątek 1 – z ożywieniem gestykulując – wygłosił miłą pochwałę: „Bo widzi signora, teraz się śpiewa zupełnie inaczej niż za moich czasów. Hałas, nerwowy głośny rytm zagłusza melodię i to, co ma do powiedzenia serce. A pani śpiewa zupełnie tak jak za moich czasów, które były zupełnie inne, ale wcale nie gorsze, proszę mi wierzyć. U nas, na Sycylii, ludzie jeszcze rozumieją, co to prawdziwy śpiew, i potrafią ten dar niebios docenić. Niech pani koniecznie przyjedzie do nas i będzie naszym gościem”. Mimo że zostałam przez dziadka poważnie zdegradowana w czasie, uważam, że był to najmiłszy komplement, jaki mnie spotkał we Włoszech.

Następnie nadeszło zaproszenie do wzięcia udziału w programie telewizji szwajcarskiej. Brali w nim udział wyłącznie wybrani uczestnicy festiwalu w San Remo.

W tym programie śpiewałam również piosenkę Babadżaniana i Jewtuszenki *Nie śpiesz się* z włoskim tekstem Buonassiego. Program dla telewizji zrealizowany został w Mediolanie. Przybyłyśmy z Zosią o oznaczonej godzinie do studia. W garderobie (była!) pokazano mi kilka sukienek kolorowych jak sama radość. Miałam sobie coś wybrać, bo program realizowany był dla telewizji kolorowej. Niestety, bardzo ładne sukienki okazały się o trzy numery za małe. Miałam własne kolorowe suknie, ale długie. Potrzebna jednak była sukienka mini. Wystąpiłam więc w swojej jasnoniebieskiej, dość krótkiej. Suknię nawet pochwalono na próbie, ale nagle reżyser zaczął krążyć wokół mnie coraz szybciej – przyglądając mi się bacznie.

„Tak – rzekł w końcu z ulgą – już wiem. Ona nie może być blondynką w niebieskiej sukience. Skoro suknia musi pozostać... zróbcie z niej brunetkę albo lepiej... po chwili padła decyzja – niech będzie rudawy kasztan”. Chodziło oczywiście tylko o perukę. Charakteryzator nie mało się namęczył, zanim wcisnął perukę na moją głowę, na której pokaźne ilości jasnych włosów zniknąć musiały pod rudym kasztanem.

Tym razem wolno było Zosi filmować mnie w garderobie. Plan pozostawał tabu. Mocowanie się charakteryzatora z peruką zostało zatem uwiecznione, jak też moje całkowite przeobrażenie. Muszę przyznać, że się sobie podobałam z tą zmianą, nie tylko z powodu koloru peruki, ale przede wszystkim dlatego, że naturalne włosy peruki były proste, takie, jakie widywałam tylko w marzeniach.

Dekoracje wprowadziły nas z Zosią w głębokie zdumienie. Miałam dojść w pewnej chwili do ogromnych poduszek, jakby pożyczonych z baletu *Fontanna Bachczysaraju*, osiąść na nich i dośpiewać piosenkę do końca. Obok mnie miał tańczyć chłopak. Niechby już były te poduchy i chłopak, który zresztą dobrze wykonywał taniec o ultranowoczesnym układzie. „Ale spójrz za siebie – jęknęła Zosia. – Co to ma być?!”.

Rzeczywiście... tło stanowiła ogromna podobizna Jewtuszenki w otoczeniu afiszów o treści związanej z rewolucją 1905 roku. Nie dopatrzyłyśmy się tu logiki, a zapytany twórca tego epokowego dzieła też nie umiał niczego wytłumaczyć!



Anna w programie telewizji szwajcarskiej (1967)



Anna na festiwalu opolskim w połowie lat sześćdziesiątych



Po powrocie do Polski musiałam najpierw odchorować wszystkie przeziębienia (tak, tak), które w połączeniu z ogromnym napięciem nerwowym ostatnich tygodni dały wreszcie znać o sobie. Jeśli człowiek bardzo nie ma czasu na chorowanie, to rzeczywiście udaje się odłożyć tę sprawę, ale niestety, do czasu. Gdy przychodzi choćby najmniejsze odprężenie – trzeba płacić grzecznym leżeniem w łóżku.

Zresztą Pietro postarał się o to, bym się nie nudziła. Otrzymałam wkrótce komplet nagrań piosenek neapolitańskich w wykonaniu Murolo. Albumy z płytami zawierały około osiemdziesięciu piosenek. Miałam wybrać dwanaście pozycji do mojego projektowanego longa. Najwyżej trzynaście piosenek. Tyle się mieści przeciętnie na płycie długogrającej. Płytę miałam nagrać w czasie mego następnego pobytu we Włoszech.

W pierwszej chwili, trzymając przepiękne albumy w dłoniach, byłam bardzo uradowana. Płyty były wydane luksusowo. Każda w osobnej okładce, otwieranej jak książka. Na wewnętrznej stronie stare, ciekawe fotografie ludzi związanych z piosenką neapolitańską oraz pełny zestaw tekstów w narzeczu neapolitańskim i krótkie tłumaczenie na literacki język włoski. Okładki zdobiły kolorowe reprodukcje znanych dzieł malarzy włoskich, czasem piękne fotografie Neapolu i okolic.

Kiedy pierwsza radość minęła, rozpoczęłam uważne przesłuchiwanie płyt. Po pewnym czasie spostrzegłam, że zbyt dużo piosenek mi się podoba. Na kartce, na której miała się znaleźć wybrana trzynastka, figurowały właściwie wszystkie.

To nic – powiedziałam do siebie – widocznie za bardzo się „obsłuchałam”. Zatrudnię znajomych.

I odtąd moi goście wciągani byli podstępnie do tej odpowiedzialnej pracy. Ale ponieważ nikt nie miał tyle czasu (i cierpliwości), by wysłuchać osiemdziesięciu piosenek – musiałam się jednak ograniczyć do własnego wyboru. Ostatecznie zdecydowałam się na dwadzieścia piosenek, wśród których potrzebne dwanaście wybrałam z pomocą kierownika muzycznego CDI Renato Serio.

# Anna German

presenta

*"I classici della  
musica napoletana,,*



LA NOVA GELOSIA  
PISCATORE E PUSILLECO  
VOCE 'E NOTTE  
SANTA LUCIA LUNTANA  
TE VOGLIO BENE ASSAJE  
O MARENARIELLO

FENESTA DA LUCIVE  
MARECHIARO  
ANEMA E CORE  
DIDITENNELLO VUJE  
FUNICULI FUNICOLA  
TORNA A SURRIENTO

# ANNA GERMAN



LA NOVA GELOSIA  
PISCATORE 'E PUSILLECO  
VOCE 'E NOTTE  
SANTA LUCIA LUNTANA  
TE VOGLIO BENE ASSAJE  
'O MARENARIELLO

FENESTA CA LUCIVE  
MARECHIARO  
ANEMA E CORE  
DICITENCCELLO VUJE  
FUNICULI FUNICULÀ  
TORNA A SURRIENTO

company discografica italiana



Via Balilla 36 - Milano



Anna w towarzystwie włoskiego kompozytora Freda Bongusto (1966)

Następny wyjazd miał miejsce w czerwcu. Nareszcie bez perspektywy marznięcia!

Najpierw miałam wziąć udział w festiwalu piosenki neapolitańskiej, a po festiwalu nagrać w Neapolu mój pierwszy longplay z piosenkami neapolitańskimi. Po przyjeździe do Mediolanu – jeszcze na lotnisku – poczułam zasadniczą różnicę.

W Warszawie tego lata było dość upalnie, a jednak po wyjściu z samolotu w Mediolanie poczułam się jak w przyzwycię funkcjonującej... łaźni rzymskiej. I tak miało być aż do powrotu do domu. Już na drugi dzień zrozumiałam, że aklimatyzacja nie jest pojęciem wymyślonym przez teoretyków. Pod prysznicem w hotelowym pokoju czułam się jeszcze zupełnie znośnie, ale samopoczucie moje wyraźnie się pogarszało, gdy trzeba było się jednak ubrać. Tylko w letnią sukienkę wprawdzie, ale tym razem milanówek grzał jak kozuch.

W małym, dusznym pokoiku CDI, gdzie odbywałam próbę muzyczną – doszło do tego, że zaczęłam odczuwać dziwne bicie serca i duszność. Wentylator przynosił ulgę tylko wtedy, gdy dmuchał prosto w nos. Wszędzie poza tym strumieniem powietrza było duszno i lepko. Wilgotność powietrza jest w Mediolanie maksymalna. W takich warunkach klimatycznych nie można przyzwycię pracować. W duchu zaczynam usprawiedliwiać tę nieprzepartą odrazę Włochów do załatwiania czegokolwiek dziś. „Dlaczego dziś?... Jutro na pewno będą bardziej sprzyjające warunki”.

Tonacje piosenek neapolitańskich trzeba był o jednak ustalić jak najszybciej, by Renato mógł zdążyć z aranżacjami przed wyjazdem do Neapolu. Odlot do Neapolu miał nastąpić za kilka dni.

Ponieważ w czasie poprzednich „wizyt” nie miałam właściwie wolnego czasu – więc pomyślałam sobie, że nadszedł czas na zwiedzenie miasta i... gorąco upragnione pójście do kina. Przyznaję się, że jestem nieuleczalną kinomanką. Teatr bardziej wymaga czyjegoś towarzystwa, a do kina skoczę sobie sama. Kino jest niedaleko, trzeba tylko podejść do kasy, kupić bilet i zniknąć w ciemnościach sali, uwalniając się od ciekawskich spojrzeń. Praktykowałam takie skoki do kina w domu dość często.

Poczekalam więc, aż wieczór choć trochę ulgi przyniesie, aż upał ustąpi. Poszłam. Kino było niedaleko, ale i ta niewielka odległość przebyta „solo” wystarczyła, by mnie lekko zniechęcić i pogłębić. Dotarłam jednak bohatercko do kasy (kasy kinowe we Włoszech są cudowne, nie ma przed nimi nigdy kolejek) i wkrótce zajęłam miejsce w prawie pustym rzędzie. Specjalnie wybrałam ten rząd prawie pusty, by nie przeszkadzać w przechodzeniu, nie zasłaniać... To był rząd ostatni. W takim kinie seanse filmowe szły jeden za drugim, bez przerwy.

Można było za jeden bilet obejrzeć film nawet kilkakrotnie, kto wie, czy nie popełniłabym tej nieuczciwości ze względu na film. A był to cudowny film produkcji francuskiej *Kobieta i mężczyzna*, znany teraz doskonale w Polsce.

Ale do tego nie doszło, nawet co gorsza, do obejrzenia całego filmu nie doszło. Nie od razu zdezerterowałam, o nie. Zmieniałam najpierw kilka razy krzesło, a nawet rząd – ale dla prawdziwego podrywacza ani zmiana krzesła, ani nawet rzędu nie stanowiły absolutnie żadnej przeszkody. Przeciwnie – opór podrywanego obiektu, utrudniającego akcję – podnieca męską ambicję. „Co jest u licha, przecież przyszła sama do kina na wieczorny seans. więc o co chodzi?” – myśleli pewnie zdeorientowani podrywacze.

Widziałam jednak ten piękny film w całości. Następnego dnia pani Wanda Cariaggi zaproponowała mi pójście do kina. Zaprosiła mnie też do swego domu. Była dobra dla mnie jak matka. Pani Wanda jest mała i bardzo filigranowa, toteż nazywałam ją żartem „La mia piccola mamma”.



Anna w towarzystwie m.in. piosenkarki Lary Saint Paul (1967)

Nadszedł dzień odlotu do Neapolu.

Na lotnisku byłam świadkiem pięknej sceny, jakby żywcem wziętej z komedii włoskiej. Otóż do kasy biletowej podeszła pani w młodym wieku o bujnych kształtach i dobrze postawionym głose, jak się później okazało. W jednej ręce niosła potężną walizę, drugą obejmowała dwóch chłopców w wieku przedszkolnym. Postawiwszy walizkę i zaopatrzwszy twarz w najśłodszy uśmiech świata – poprosiła o bilet do Neapolu dla siebie i tych „zmęczonych kruszynek”.

Biletów nie było (musiała o tym wiedzieć od początku). Pani wyraziła bezgraniczne zdumienie, ale postanowiła nie od razu sięgać do ostatecznych chwytów. Uśmiechała się, prosiła, przekonywała głosem gruchającej gołębiczy pewnej swojej racji, ale urzędnik pozostawał obojętny na falujące biodra, wprowadzane w ruch na początku każdego nowego zdania. Mało też stosunkowo (na razie!) był wzruszony losem „biednych dzieci”.

Czas naglił, spojrzawszy na zegarek – dama uznała metodę łagodnej perswazji za niewystarczającą i przypuściła atak, co się zowie. W całym hallu rozbrzmiewał jej donośny, dźwięczny głos. (Włosi są widocznie nie tylko muzykalni, ale miewają na ogół z natury postawione głosy).

Teraz zaczerwieniona z oburzenia matka walczył a jak lwica, oskarżając urzędnika o brak serca, o to, że świadomie pozbawia wakacji (a zwłaszcza jodu) te biedne, bezbronne dzieci. Mówiąc to, a raczej wykrzykując – przyciskała chłopców tak gwałtownie do swego łona, że malcy w końcu zdenerwowali się i rozpoczęli nieludzki płacz na dwa głosy.

Włosi są nadzwyczaj wrażliwi na sprawy dotyczące dzieci i o tym doskonale wiedziała mamusia. Zaczął się tworzyć natychmiast tłum otaczający coraz ciasniej bohaterów. Nikt nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale wszyscy zrozumieli w lot, że dzieciom dzieje się krzywda. Spocona pani kończyła trzeci akt swoich aktorskich popisów, widząc, że urzędnik w oczach topnieje, chwyta się za głowę i pragnie tylko jednego – zakończenia tej sceny.

Wkrótce siedziałam w samolocie, który miał mnie zawieźć do Neapolu. Pani z chłopcami też.

Na lotnisku w Neapolu czekał na nas (leciałam oczywiście w towarzystwie Ranucia) kompozytor piosenki, którą miałam śpiewać na festiwalu. Towarzyszyła mu żona, młoda, przystojna kobieta – matka pokaźnej liczby dzieci. Dokładnie nie pamiętam, ale liczba dzieci waha się w mojej pamięci między siódmką a dziewiątką. Zresztą, jeśli popełniam niedokładność, to do tego czasu wyrównana ona została z pewnością na korzyść dziewiątki.

Z hotelowego balkonu widać było cudowne morze i niebo. Widok był tak piękny, że nawet amerykański lotniskowiec na horyzoncie nie mącił mego zachwyty.

Następnego dnia nagrałam na płytę piosenkę festiwalową. Okazało się, że XV Festiwal Piosenki Neapolitańskiej miał być przede wszystkim imprezą telewizyjną, a jako taki musiał się odbyć bezbłędnie, sprawnie pod każdym względem, zgodnie z zatwierdzonym scenariuszem. Taka była decyzja organizatorów. A więc każdy z trzech wieczorów miał się odbyć w innej miejscowości, nie w sali z publicznością, tylko w starych, pięknych ogrodach lub pałacach ze względu na „telewizyjność” pleneru, bez publiczności prawie – z myślą głównie o telewidzach.

Ale cóż wart był widok pięknych pałaców i ogrodów wobec głównego żądania organizatorów. Otóż pierwszy raz w historii festiwalu piosenki neapolitańskiej – cały festiwal miał się odbyć z playbacku.

Nie do pomyslenia jest dla mnie w ogóle jakkolwiek festiwal odbywający się przy pomocy piosenek płynących z taśm, nagranych uprzednio w studiu. Wyeliminowana zostaje żywiołowość wykonania, twórcze podniecenie wykonującego, który mobilizuje wszystkie swe możliwości, chcąc wypaść jak najlepiej.

W studiu nigdy nie nagra się piosenki tak, jak to się udaje zrobić przed publicznością na żywo. Sportowcy na przykład osiągają niższe wyniki przy pustych trybunach.

I taka nowość została wprowadzona na festiwalu neapolitańskim – tu, gdzie każdy śpiewający oddaje słuchaczom całą swą duszę wraz z melodią!

Bardzo negatywnie ocenili tę nowość sami neapolitańczycy. „Równie dobrze można na estradzie ustawić adapter z płytą, a wykonawca może sobie iść na szklaneczkę wina” – usłyszałam

rozgoryczony komentarz sprzedawcy gazet.

Cóż, słuszna uwaga, ale mimo nietajonego niezadowolenia mieszkańców Neapolu – wszystko odbyło się zgodnie z ustalonym planem.

Pierwszy koncert odbył się w Sorrento.

Nie śpiewałam tego wieczoru i mogłam oglądać transmisję z Sorrento w telewizji.

Poprzedniego dnia w południe dobiliśmy stateczkiem do wyspy Ischia, skąd transmitowany miał być drugi wieczór festiwalu. Z portu krętymi uliczkami zawiózł nas do Punta Molino swoim powozikiem żwawy, czarnowłosy chłopak. Powozik wyglądał jak jeden z wagoników kolejki dla dzieci, które widuje się w wesołych miasteczkach.

Wysiedliśmy przed dziwnym budynkiem. Był to hotel w kształcie wysokiej, okrągłej wieży, połączonej w pięknym ogrodzie z dużym basenem i tarasem od strony ogrodu.

Tak sobie mniej więcej wyobrażałam wieżę z bajki Andersena o królewnie, która miała tak długi warkocz, że z powodzeniem zastępował królewiczowi... windę.

Pałacyk-hotel był niezwykle gustownie urządzone. W niedużych pokoikach ciemne meble w starym stylu, komody, lustra, świeczniki. W niewielkim hallu, w którym można było pogawędzić czy rozegrać partię brydża – stały ogromne palmy w donicach i żywe, cięte kwiaty w wazonach. Podkreślałam to, że żywe kwiaty, gdyż często widywałam sztuczne – bardzo dobrze zrobione, ale wiejące smutkiem. Jedną ze ścian hallu tworzyła płyta ze szkła pozwalająca widzieć to, co się dzieje na zewnątrz, pozostając jednocześnie zupełnie niewidocznym od zewnątrz.

Wieczorem siedziałam w tym właśnie hallu i oglądałam transmisję pierwszego koncertu odbywającego się w Sorrento. Willi, na tle której wszystko się działo, nie było dobrze widać, ale sądząc po przepysznym ogrodzie, gdzie snuli się śpiewający – musiała być równie piękna.

Następnego dnia rano rozpoczęły się próby. Publiczność stanowiły jedynie osoby towarzyszące piosenkarkom i piosenkarzom. Każdemu bowiem z wykonawców towarzyszyli: żona, mąż, przyjaciel, przyjaciółka lub... nawet kilka przyjaciółek. Modugno ze swoją piękną żoną przybył również.

Chociaż... była i prawdziwa publiczność – dzieci, które zajęły sąsiadujące dachy, gęstym tłumem przywarły do bramy. Za nimi – grupka pań w starszym wieku.

Między obiadem a wieczorem zostało kilka wolnych godzin. Poszłam więc nad brzeg morza, by zaczerpnąć trochę powietrza i odsapnąć po trudach próby. Nawet nie zauważyłam, kiedy znalazłam się w samym środku gromadki dzieci. Małe, większe, kilka nastolatków, a nawet jeden raczkujący obywatel, który dopiero po dłuższej chwili dobił do towarzystwa.

Dzieci są na całym świecie jednakowo urocze. Były zainteresowane festiwalem, uczestnikami, wykazywały przy tym doskonałą orientację w tych sprawach. Wiedziały, że jestem Polką (z gazet), gdyż po raz pierwszy w historii festiwalu neapolitańskiej piosenki brała w nim udział cudzoziemka – Polka.

Chciały wiedzieć, jak daleko od Ischii leży mój kraj, jaki jest i czy jest tam to samo ciepłe morze. Dotykały moich włosów i cmokając, dodawały: – Prawdziwe... „Prawda, że mam takie same?” – rzekła w pewnej chwili piegowata pierwszoklasistka, przykładając swój ognistoczerwony warkoczek do mojej głowy. Wiedziała mała kokietka, że jest jedyna, gdyż reszta główek była kruczoczarna. Potem, kiedy musiałam już odejść, odprowadziły mnie aż do bramy i zegnając mnie uśmiechem i uściskiem dłoni (wszystkim po kolei uścisnęłam powalane atramentem prawice), głośno życzyły powodzenia.

Zakwalifikowałam się z powodzeniem do finału i już następnego dnia płynęliśmy z powrotem do Neapolu. Ostatni – trzeci wieczór festiwalu miał się odbyć w parku willi Floridiana.

Tym razem było dość dużo publiczności, która bez trudu pomieściła się w ogromnym parku otaczającym pałac. Przybyło sporo znanych osobistości. Pamiętam, jak konferansjer ogłosił obecność znanego aktora filmowego Vittorio Gassmana. Gassman wstał, uśmiechnął się, skłonił we wszystkich kierunkach. Po czym rozpoczął się koncert.

XV Festiwal Piosenki Neapolitańskiej wygrał niespodziewanie Nino Taranto, aktor starszego pokolenia, który z ogromnym wdziękiem bardziej odtąńczył, niż zaśpiewał swą żartobliwą piosenkę.



Neapolitańczycy, gustujący raczej w piosenkach rzewnych, melodyjnych, traktujących głównie o miłości na tle morza, piasku i sinej dali – z dezaprobatą przyjęli werdykt jury.

Czuję się w obowiązku poinformować, że występ pierwszej Polki na festiwalu neapolitańskim spotkał się z uznaniem. Dowodem były liczne recenzje chwalcące mój styl śpiewania „prawdziwie neapolitański”, jak też – ku mojej radości i dumie – „bezbłędny akcent urodzonej neapolitanki”. Kompozytor i autor tekstu, obecni przez cały czas trwania festiwalu, również byli zadowoleni z tego, że powierzyli mi swoje dzieło.

Kompozytor piosenki, signor Gennaio Amato, zaprosił nas do swego domu w celu uczczenia wyników festiwalu. Bardzo ciepło wspominam popołudnie spędzone w gościnnym domu państwa Amato.

Najpierw przedstawiono gościom wszystkie dzieci. Po kolei. Od najmłodszego do najstarszej dziewczynki. Najmłodszy syn przed kilku tygodniami zaszczyił świat swoją obecnością, najstarsza dziewczynka miała dwanaście lat. Mimo że połowa z nich nie posiadała jeszcze w pełni umiejętności chodzenia, można było od razu zauważyć wzajemną miłość i harmonię panującą wśród rodzeństwa. Starsze dzieci bez przypominania opiekowały się młodszymi, które doskonale znały swe prawa i przywileje, nie nadużywając ich jednak.

Potem nakryto ogromny stół i goście spałaszowali smaczny obiad przyrządzony według zasad miejscowej kuchni. Przy deserze wszyscy jeszcze raz oddali się namiętnym, szczegółowym dyskusjom na temat minionego festiwalu.

Po powrocie do hotelu Pietro wraz z ojcem opuścili Neapol. Pani Wanda tym razem nie przyjechała na festiwal ze względu na zły stan zdrowia. Zostałam w Neapolu w towarzystwie przybyłego właśnie Renato Serio.

Renato w międzyczasie ukończył aranżacje i teraz mieliśmy przystąpić do nagrywania płyty z wybranymi poprzednio piosenkami neapolitańskimi. Towarzyszyć mi miała orkiestra neapolitańska w typowym, tradycyjnym składzie.

Ponieważ wolę być obecna przy nagrywaniu podkładu muzycznego – od rana następnego dnia siedziałam w dusznym studiu, czuwając nad długością fermat. Nagrywanie przeciągało się, gdyż jak już wspomniałam, ludzie Południa nie uznają pośpiechu. A upał był nieludzki. Po kilku dniach przebywania w dusznym pomieszczeniu bez wentylacji zaczęłam odczuwać przykre dolegliwości sercowe. Postanowiłam się jakoś ratować i następny dzień spędzić na powietrzu, zwłaszcza że za dzień miałam przystąpić do śpiewania, do nagrywania piosenek, a to wymagało dużo wysiłku w tych warunkach.

Na dachu hotelu znajdował się basen, gdzie można było znaleźć ochłodę, powietrze i cień pod parasolem. Na szczęście było prawie pusto.

Samotność, tęsknota za najbliższymi doskwiera mi na obcej ziemi od pierwszego dnia i potęguje się z upływającym czasem. Byłam już dość długo we Włoszech i coraz dotkliwiej odczuwałam samotność, zwłaszcza w Neapolu, gdzie nie mogłam nawet zadzwonić do pani Wandy.

Leżałam na kamiennym obramowaniu basenu i opalałam się pierwszy raz, od kiedy przyjechałam do Włoch. Nigdy nie było takiej okazji ani czasu. Na ciepłe, błękitne morze patrzyłam jak lis na winogrona! Ani razu nie skorzystałam z morskiej kąpieli.

Nagle ktoś poklepał mnie po ramieniu dość nieskoordynowanym ruchem i oznajmił dziecinny głosikiem po angielsku: „popatrz, co ja ma-a-m!”.

Przedemną przykucnął maluch o jasnych włosach i oczach, które stanowiły fragmenty nieba. Po chwili podbiegła matka i przepaszając, odciągnęła towarzyskiego synka. „Bobby, jak możesz przeszkadzać pani” – strofowała mama, ciągnąc go pod swój parasol. Ale Bobby chciał koniecznie pokazać mi swoje zmotoryzowane skarby i po chwili znów siedział przy mnie. Wdaliśmy się w rozmowę. Bobby miał około trzech lat, mocno seplenił, tak że musiałam dość często prosić mamę o pomoc w rozszyfrowywaniu poszczególnych dźwięków. Potem matka Bobby’ego udała się do restauracji na obiad. Sama, gdyż Bobby płaczem wywalczył sobie jeszcze godzinę zabawy z „równym kumplem”. Z brzegu przeszliśmy wkrótce do wody i tam używaliśmy sobie w całkowitym wzajemnym zrozumieniu i niepomahowanej wesołości.

Nie tylko Bobby był usatysfakcjonowany, ale i ja wróciłam z dachu do pokoju

w wyśmienitym humorze.

Tego dnia orkiestra zakończyła wreszcie nagrywanie podkładów i można było nazajutrz rozpocząć rejestrowanie piosenek. Czas, na jaki studio zostało wynajęte, upływał. Zostało tylko dwa i pół dnia na nagranie dwunastu piosenek. To musiało wystarczyć. Ja przychodziłam jeszcze trochę wcześniej, by móc przed nagraniem skorzystać z chętnie udzielanej pomocy ojca właściciela i jego żony, a przede wszystkim portiera. Pomoc tych miłych ludzi polegała na koordynowaniu mojej wymowy tekstów neapolitańskich piosenek. Robili to bardzo chętnie, ciesząc się szczerze z każdego słowa wymówionego przeze mnie poprawnie. Nawet taksówkarz wiozący mnie na nagranie, dowiedziawszy się o tym, nie zwlekając przystąpił do przekazania kilku tajników dialektu neapolitańskiego.

I oto w rekordowym tempie płyta była nagrana. Właściciel studia, znany pieśniarz neapolitański Aurelio Fierro, popatrzył na mnie z uznaniem i powiedział, że to się jeszcze w jego studiu nie zdarzyło.

Odchudzona o kilka kilogramów (w studiu było parno jak w sercu dżungli, gdyż nie można było zainstalować żadnej wentylacji ze względu na konieczność zachowania absolutnej ciszy), zmęczona do granic wytrzymałości, ale za to bardzo zadowolona, wracałam następnego dnia o piątej rano do Mediolanu. Wracałam sama, gdyż Renato pojechał pociągiem do domu. Bez żalu opuszczałam Neapol, którego ujrzenie podobno niektórzy są skłonni przypłacić życiem! (Raz ujrzeć Neapol i umrzeć!).



Anna podczas spotkania w konsulacie polskim w Mediolanie (lipiec 1967)

W Mediolanie czekała mnie zapłata za moje neapolitańskie trudy w postaci zaproszenia do konsulatu polskiego z okazji Święta Odrodzenia. Bardzo mnie to ucieszyło!

Mój pobyt wprawdzie dobiegał półmetka (nigdy nie byłam poza krajem dłużej niż dwa miesiące), ale czułam się już bardzo stęskniona i osamotniona. Cieszyłam się, że będę mogła mówić o sprawach mi bliskich, tak po prostu, po polsku. Kto tego nie doświadczył, nie wie, jak trudno przebywać wśród obcych ludzi, nie znając dobrze ich języka. Owszem „dawałam sobie radę”, ale cały dzień, każdy dzień mijał w ciągłym napięciu. Staralam się zrozumieć to, co do mnie mówią, jednocześnie zastanawiając się nad poprawną odpowiedzią.

Z jaką ulgą myślałam o tym przyjęciu, na którym wszystkie słowa będą jasne, zrozumiałe, znane.

Umyłam włosy, „zrobiłam się na bóstwo”, założyłam nawet klipsy, chociaż mnie trochę uciskały, i pojechałam do konsulatu. Konsulat mieścił się w starym, pięknym pałacu. Jak przez sen pamiętam dziedziniec, schody, mozaikę posadzek, stylowe meble. Było pięknie jak... w muzeum. Toteż ze zdziwieniem spostrzegłam, że tu i ówdzie na tych zabytkowych fotelach i kanapkach siedzą goście, ale skoro pan konsul zezwalał, to i ja szybko znalazłam się w pozycji siedzącej (nowe pantofle) w gronie Polaków, inżynierów z Warszawy, przebywających we Włoszech w związku z przejmowaniem licencji Fiata. Panowie inżynierowie też radzi byli z okazji wspólnego świętowania, bo na ten wieczór przyjechali aż z Turynu.

Wszyscy goście otrzymali piękne pamiątkowe medale, wybite z okazji inauguracji Instytutu Polsko-Włoskiego. Potem było dużo toastów, wśród których dominował jeden – za powrót do domu.

Chociaż to zagadnienie mnie nie interesowało, nie mogłam jednak nie zauważyć, że włoscy goście wyraźnie sprzeniewierzyli się rodzimym winom na korzyść naszego winiaku i czystej wyborowej. Zadowolona, podniesiona na duchu, z pożyczonymi od pani Prugierowej – żony przedstawiciela LOT-u – książkami, wróciłam do hotelu.

To był najmiłszy dzień w czasie mego przedostatniego pobytu we Włoszech!

Na krótko miałam wrócić do Polski, i to głównie dlatego, że menedżer nie wywiązał się na czas z zadania. Po prostu planowane występy (nareszcie miałam zacząć występować i zarabiać) odroczone na trzy tygodnie z przyczyn „od nikogo niezależnych”. Bardzo chętnie zgodziłam się na powrót do domu na te trzy tygodnie. Mogłam zostać, gdyż koszty mojego utrzymania we Włoszech i bilet do Polski z powrotem mniej więcej się pokrywały. Trzy tygodnie w domu i tak upłynęły o wiele za szybko!

Po ponownym powrocie do Mediolanu wiedziałam już, że będę miała cykl koncertów organizowanych przez redakcję dziennika „L’Unita” oraz wezmę udział w trzech programach telewizyjnych. Po krótkim odpoczynku w hotelu zadzwonił Renato, by umówić się ze mną na próbę muzyczną.

Ustaliliśmy, które piosenki będę śpiewała i w jakiej kolejności. Renato jako pianista miał mi towarzyszyć na koncertach i kierować resztą zespołu miejscowych muzyków.

Przed rozpoczęciem koncertów miałam odebrać nagrodę „Oscar della simpatia” przyznawaną każdego roku w Viareggio najsympatyczniejszym, najlepszym piosenkarkom i piosenkarzom. Uroczystość wręczenia „Oscara” połączona była z wielkim koncertem, na którym występowali nagrodzeni przed kilkudziesięcioletnią widownią.

Renato udał się do domu swych rodziców, by na okres koncertów pożyczyć od ojca samochód – nowego czerwonego fiata.

Wyjechaliśmy z Mediolanu w kierunku Viareggio. Renato nie należał do ludzi rozrzutnych. Zauważyłam wkrótce, że nie jedziemy już autostradą, że droga staje się kręta, urozmaicona, biegnąc to nad urwiskiem, to przez gęsty las, zahaczając czasem prawie o zabudowania gospodarze. Renato zrezygnował bowiem z uiszczania opłat za przejazd autostradą i wybrał drogę dłuższą, okrężną, ale darmową, dostarczającą wielu emocji dodatkowych. Około południa, kiedy przejechaliśmy już teren górzysty, zaczęły następować dziwne zjawiska w zadziwiającym tempie. Najpierw skryło się grzejące zdrowo dotychczas słońce, niebo zasłoniła ołowiana szarość, która z minuty na minutę ciemniała do tego stopnia, że Renato zapalił wkrótce reflektory. Znajdowaliśmy

się na krętej górskiej drodze, kiedy lunął nagle potężny deszcz na przemian z gradem wielkości wiśni.

Po kilkunastu minutach ze stromego zbocza spływały na drogę potężne, brunatne od wrytej ziemi – potoki o zadziwiającej sile. Renato przestraszony zatrzymał wóz na zakręcie przy grubej kamiennej barierze oddzielającej drogę od dość „pryzwoitej przepaści”.

Pod wpływem uderzeń gradu pękła szyba w samochodzie, który – choć nowy – okazał się nieszczęśliwy, gdyż przez szpary w dachu i w oknach przesączała się woda. Prawdopodobnie zmyłoby nas o „piętro niżej”, gdyby nie mur, do którego samochód się przytulił.

„A nie lepiej było zapłacić tam, na dole te grosze za przejazd autostradą?” – pomyślałam, ale nic nie powiedziałam. Mężczyzna, którego samochód został uszkodzony, jest już i tak bardzo nieszczęśliwy.

Kiedy najgorsza ulewa minęła, a rwące rzeki przekształciły się w anemiczne strumyki, Renato zdecydował się kontynuować podróż. Jechaliśmy bardzo wolno, było mokro, ślisko i na domiar złego mgła otuliła wszystko przed nami szczelnie. Ale im niżej zjeżdżaliśmy, tym bardziej mgła się przersedzała, niebo jaśniało. Kiedy za grzbietem górskim rozpostarła się przed nami nizinna plaża – słońce paliło, śladu nie było po przebytej burzy. Bo też tu, na dole, wcale nie było żadnej burzy, nawet kropla deszczu nie spadła z pogodnego nieba. Opaleni letnicy wracali zadowoleni z plaży. Zmierzch zacierał już zarys gór, kiedy ledwo trzymając się na nogach, dotarliśmy do miejsca, gdzie nazajutrz miał się odbyć koncert.

Renato nie miał siły na wzięcie udziału w próbie muzycznej. Musiałam zadowolić się obietnicą jutrzejszej próby, bezpośrednio przed koncertem.

Ciężki miałam sen tej nocy. Renato chyba też.

Następnego dnia odbyła się szczęśliwie obiecana próba z czterema miejscowymi muzykami. Miałam śpiewać po polsku *A jeżeli mnie pokochasz* i piosenkę z festiwalu neapolitańskiego.

Okolo godziny 21 publiczność zapełniła amfiteatr pod niebem. Zaczął się długi, trzygodzinny koncert. Występowali nie tylko laureaci.

Laureaci mieli wystąpić pod koniec imprezy, a wręczenie statuetek „Oscarów” miało zakończyć koncert. Statuetka przedstawiała dziewczynę z gitarą. Postać dziewczyny odlana jest z brązu – spoczywa na czarnej, marmurowej podstawie.

Noce w tej podgórsko-morskiej miejscowości są bardzo chłodne, toteż przyszło mi znów nieludzko wymarznąć.

Między innymi „Oscara sympatii” 1967 otrzymali: Caterina Valente, Adriano Celentano, Rocky Roberts – w dziedzinie piosenki. Wyróżnienie to wręczono także kilku aktorom sceny i filmu.

Ten występ był dla mnie próbą generalną przed moimi koncertami. Wiedziałam już, że będzie dobrze, bo publiczność w Viareggio przyjęła mnie nader ciepło. Skromność nie pozwala mi rzec – entuzjastycznie.

Ale znalazł się pewien pan – konferansjer tego programu – który zepsuł trochę moją radość. Pan ten w ogóle nie przepada za kobietami i jeśli już musi zapowiedzieć kobietę, czyni to niechętnie, oziębło, rzekłabym: „z urzędu”. Jeśli delikwentka ośmieli się przy tym przewyższać go wzrostem – pan ten uznaje to za obrazę osobistą i... mści się.

Sposób, w jaki mnie zapowiedział przy pierwszej piosence, mocno mnie speszył, ale musiałam się opanować i śpiewać. Po czym konferansjer wrócił na scenę i przykucnąwszy nisko przy mnie, zadarłszy głowę, spytał z miną błazeńską: „No to teraz, przed drugą piosenką, pani nam powie, ile metrów sobie mierzy”. Odpowiedziałam na to ze spokojem (udawanym): „Ile metrów – to nieważne. Ważne, że z pewnością wyższa jestem od pana”. Wesoły śmiech na widowni był całą moją satysfakcją za doznaną krzywdę moralną.

Nikt, jak zauważyłam, z obdarzonych „Oscarem” nie powiedział ani słowa podziękowania. Uśmiechali się po prostu w stronę publiczności. Postanowiłam „palnąć mowę”.

Oczywiście po włosku. Przygotowałam sobie w myśli kilka zdań powitania i podziękowania. Brzmiało to mniej więcej tak: „Dobry wieczór panie i panowie! Serdecznie dziękuję za przyznanie mi »Oscara sympatii«. Bardzo się z tego wyróżnienia cieszę, ale

jednocześnie pragnę zwrócić uwagę na to, że wszystko zależy od was, publiczności, dla której śpiewamy i bez której nie istniejemy. Dedykuję moje piosenki razem z moim »Oscarem« tobie, miła publiczności”.



Oscar della simpatia – nagroda dla Anny przyznana na XV Festiwalu Piosenki Neapolitańskiej (1967)



Anna w Mediolanie (1966)



Minęło kilka dni, które Renato spędził w domu rodzinnym dość odległym od Mediolanu.

W dniu mającego się odbyć pierwszego koncertu wrócił do Mediolanu tym samym czerwonym, sportowym fiatem. Przyjechał po mnie do hotelu i po przebrnięciu przez zatłoczone ulice Mediolanu znaleźliśmy się na autostradzie prowadzącej w kierunku Forli, gdzie właśnie miałam śpiewać z okazji święta prasy komunistycznej. Niestety, przykre doświadczenia poprzedniej podróży szybko uleciały z pamięci Renato. Wkrótce skręciliśmy „w bardziej urozmaiconą drogę”, jak mi oświadczył Renato w odpowiedzi na moje pytające, niepozobawione wyrzutu spojrzenie.

Miłe mam wspomnienia z Forli, z mojego pierwszego i jedyne koncertu. Forli jest małym miasteczkiem położonym w górzystym terenie. Przyjechaliśmy wieczorem, po wielogodzinnej podróży samochodem. Śpiewać miałam dopiero około północy. Poszliśmy więc na kolację, a potem gospodyni hoteliku zaprowadziła mnie do pokoju, w którym mogłam przygotować się do występu. Ponieważ byłam znów zbyt lekko ubrana (nie lubię ubierać się ciepło, a potem pokutuję), a impreza odbywała się na wolnym przenikliwie zimnym powietrzu – pożyczyła mi swój duży, ciepły szal. Na placyku ustawione były stoliki, krzesła, ławy frontem do małej prowizorycznie zbudowanej estrady, na której z trudem mieściło się pięciu muzyków z instrumentami i solistka... z mikrofonem. Środek placu pozostawał wolny, służył za miejsce do tańca. Od drzew biegly w różnych kierunkach linki, na których bujały się kolorowe lampiony.

Kto żyw przyszedł się pobawić. Jeśli ze względu na podeszły wiek nie potańczyć, to popatrzeć, pośmiać się. Miłe są tego typu imprezy, na które przychodzą przedstawiciele wszystkich pokoleń. Zarówno babcia, jak i wnuczka ubierają się w najlepsze suknie i podążają razem na plac zabaw.

Miałam zaśpiewać około dwunastu piosenek w kilku „ratach” między seriami tańców. Kiedy zaczęłam śpiewać, ustały płasy, pary zatrzymały się i pozostały na placu, często w pozycji, w jakiej przed chwilą tańczyły. Twarze zwróciły się do mnie.

Nie miałabym żalu o to, gdyby nie przzerwali tańca. Takie są bowiem obyczaje we Włoszech. Śpiewa się przede wszystkim do tańca. Koncerty są rzadkością i raczej zastępują je programy telewizyjne.

Ale oni słuchali, nastolatki okrążyły ciasno estradę i rozpoczął się „koncert życzeń”. Prosilili o piosenki z festiwalu w San Remo. Znałam kilka, między innymi *Ciao amore* Luigiego Tenco, którą zaśpiewałam też, a refren: „ciao, amore, ciao” – śpiewali wszyscy razem ze mną.

Z pierwszego koncertu byłam bardzo zadowolona. Poznałam ludzi, ich reakcję na moje piosenki. Było mi dobrze, lekko, radośnie. Wiedziałam, że podobnie będzie chyba na całej trasie, że nie ma się czego obawiać!

Cieszyła mnie bardzo miła, bezpośrednia atmosfera, a zwłaszcza bliski kontakt z publicznością. Nigdy dotychczas nie „dyskutowałam” z publicznością ze sceny. A tam musiałam sama zapowiadać swoje piosenki, podawać krótkie tłumaczenia, gdy śpiewałam nie po włosku, i odpowiadać na pytania. Kiedy będę zdrowa, spróbuję nie ograniczać się tylko do śpiewania na swoim pierwszym koncercie w Sali Kongresowej.

Przed moim wyjazdem do Forli Pietro powiedział mi, że wkrótce pojedę jeszcze raz do Neapolu i wezmę udział w koncertach publicznych. „Warunki, w jakich będziesz śpiewała, są jedyne i niepowtarzalne. Śpiewa się po prostu na jakimś placu w centrum miasta. Ludzie przestają się spieszyć, bo wszystko ztraca swą ważność wobec najważniejszego wydarzenia, jakim jest śpiew. Nagrody są symboliczne – klucze od miasta Neapolu, które ty właśnie tym razem otrzymasz”.

To była reakcja na moje piosenki neapolitańskie. Cieszyłam się bardzo na to uliczne śpiewanie, zwłaszcza że tym razem miało się to odbyć bez playbacku, na żywo przed tymi, którzy sami całe życie śpiewają i są sprawiedliwymi, obiektywnymi sędziami.

Po skończonej imprezie, około godziny pierwszej w nocy, wróciliśmy do hoteliku. Byłam zmęczona. Renato również był bardzo zmęczony, gdyż – jak mi się sam przyznał – całą poprzednią noc spędził na terenie Szwajcarii oka nie zmrzywszy. Poczęstował mnie nawet szwajcarską czekoladą i pokazał papierosy, które są podobno lepsze i... tańsze od włoskich.

Ze Szwajcarii wrócił bezpośrednio do domu nad ranem, a po śniadaniu udał się do



Mediolanu po mnie i razem pojechaliśmy na koncert do Forli. Następnie próba, długie czekanie i sam koncert... Był więc bardzo zmęczony mimo swoich dwudziestu lat. Nie zdecydował się jednak na przenocowanie w hoteliku, w którym były przygotowane dla nas pokoje. Szkoda było nie wykorzystać zapłaconego pokoju w Mediolanie...

Spakowałam się więc, oddałam z podziękowaniem szal gospodyni i wsiałam do samochodu.

Jechaliśmy początkowo przez uśpione miasteczko, potem Renato zdecydował się jednak na kontynuowanie jazdy autostradą. „Bo będzie szybciej”, rozumował nie bez słuszności. Ta decyzja stała się naszym ratunkiem. Na autostradzie wcześniej czy później musiano nas zauważyć i udzielić pomocy. Na jakiejś mało uczęszczanej drodze natomiast nikt by mi nie przeszkodził w spokojnym opuszczeniu tego świata. Wymieniam tylko siebie, gdyż Renato doznał wprawdzie złamania przegubu dłoni i nogi i choć to bardzo boli – nie umiera się od tego, na szczęście.

Jechaliśmy więc autostradą. Mówiłam dużo i głośno. Nawet nie bardzo się zmuszałam, bo podniecenie, jakie mnie ogarnia zawsze w czasie występu, utrzymuje się potem jeszcze bardzo długo. Przez dwie godziny co najmniej jestem niezdolna do odprężenia, do snu. Myślałam, że w ten sposób nie dam mu zasnąć i szczęśliwie dojedziemy do Mediolanu. Ale dwudziestoletni organizm zmęczonego Renato eliminował widocznie wszystko, co mu przeszkadzało w zaśnięciu, a tym samym w regeneracji sił witalnych. Odczułam nagle kilka wstrząsów, jakby samochód znalazł się na okropnych kocich łbach zamiast na gładkiej jak lustro szosie. Potem zapanowała cisza i ciemność.

Zanim to jednak nastąpiło, zdążyłam sobie zdać sprawę z niebezpieczeństwa raczej instynktownie, bo na żadne rozważania nie było przecież czasu. Wszystko trwało ułamki sekundy. Odczułam – doskonale to pamiętam – paniczny strach przed spalaniem żywcem w samochodzie.

Przeczytałam właśnie przed tygodniem o strasznej śmierci w płomieniach palącego się samochodu aktorki francuskiej, jednej ze znanych sióstr Dorleac. Mimo że nigdy nie odczuwałam żadnego strachu w czasie jazdy samochodem (tak samo podróż samolotem wywołuje we mnie jedynie przyjemność z powodu huśtania), od czasu ukazania się tej strasznej wiadomości w prasie – zaczęłam się bać tej możliwości. I ten właśnie strach przeszył mnie od stóp do głów – pamiętam to bardzo dobrze.

A więc stało się.



Anna w połowie lat sześćdziesiątych



Anna w czasie pobytu we Włoszech (1967)

Nad ranem zauważył nasz rozbity wóz kierowca ciężarówki przejeżdżający tą drogą. Samochód był roztrzaskany, o dawnej elegancji przypominał jedynie czerwony kolor karoserii.

Renato nie „wysiadł” z samochodu, a ja zgodnie z własnym opisanym wcześniej życzeniem znalazłam się daleko poza wrakiem samochodu, wyrzucona wielką siłą.

Zaalarmowano policję i przewieziono nas do szpitala. Zostało mi zaoszczędzone uczucie bólu i zimna w rowie, kłopoty transportu do szpitala.

Pozwoliłam sobie na tygodniową przerwę w życiorysie.

Mój stan nie przedstawiał się zbyt optymistycznie, a nawet budził jak najgorsze podejrzenia. Jediną rzeczą, którą można i trzeba było natychmiast dla mnie zrobić – było darowanie mi czysto włoskiej krwi w miejsce własnej, której zdążyłam prawie zupełnie pozbyć się tam, w rowie. Z naprawą reszty trzeba było poczekać. Zresztą długo nie było wiadomo, czy nie wybiorę „wolności” i nie powiem towarzyszom ziemskiej wędrówki: „adieu”.

Na tę możliwość przygotowywano moją matkę i narzeczonego, którzy otrzymali wizy i paszporty na przejazd do Włoch w ciągu jednego dnia.

„Wydać natychmiast, bo stan beznadziejny” – brzmiało urzędowe zlecenie.

A więc na trzeci dzień przyjechali, ale ja nie wiedziałam o tym, że moi najmilsi są przy łóżku. Na pytanie mojej matki, czy będę żyła – lekarze odpowiadali: „Robimy wszystko, co w naszej mocy, ale pewności nie ma”. Rzeczywiście – robili wszystko, co było w ludzkiej mocy. Aplikowali najnowsze lekarstwa, utrzymywali kontrolę i w dzień, i w nocy. Uratowali mi życie.

Byłam w trzech szpitalach, ale pamiętam tylko jeden, w którym odzyskałam świadomość.

Siódmego dnia po wypadku lekarze stwierdzili powrót do świadomości. Podobno odpowiedziałam na kilka pytań i zareagowałam na światło i ból. Ale tylko „teoretycznie”, bo w praktyce wyglądało to trochę inaczej. Matkę moją pamiętam dopiero z dnia, w którym zabrano mnie do następnego szpitala. A był to dwunasty dzień po wypadku.

Z poprzedniego szpitala pozostała mi w pamięci tylko ogromna sala z ciężko chorymi bezpośrednio po wypadkach – płaczącymi, jęczącymi, krzyczącymi z bólu. Żadnej twarzy nie zapamiętałam. Nawet lekarzy, którym zawdzięczam życie, którzy opiekowali się mną przez cały czas. Nazwiska znałam, słyszałam je często wymawiane przez matkę, ale kiedy przyszli odwiedzić mnie w Rizzoli po operacji – były to zupełnie nieznanymi, obce dla mnie twarze.

Po przerwaniu sztucznego oddychania i żywienia zaczęłam otrzymywać normalne pożywienie i wiedziano już, że kryzys minął. Teraz można było mnie przetransportować do ośrodka szpitalnego w Rizzoli, gdzie po wzmocnieniu organizmu można było pomyśleć o „zreperowaniu połamanej lalki”, jak żartem mówiła mama.

W szpitalu w Rizzoli, gdzie chorzy byli operowani, skazywani na dość długie leżenie w gipsie, mógł im towarzyszyć ktoś z najbliższych. Zostawał dobrowolnie mieszkańcem szpitala, mieszkał w pokoju rekonwalescenta tak długo, jak to było potrzebne dla spokoju chorego. Starano się stworzyć choremu najdogodniejsze warunki do szybszego powrotu do zdrowia. Jak wiadomo, nie małą rolę w tym procesie, a może i najważniejszą, odgrywa spokój wewnętrzny i dobre samopoczucie chorego. Wiadomo też, że najsprawniejsza, najwszechstronniejsza opieka personelu szpitalnego nie zastąpi obecności matki.

Matka jest przecież istotą najbliższą, jedyną. Zna doskonale wszystkie zalety i słabości swego dziecka. Więc nie trzeba się jej wstydzić ani udawać. Można być sobą i mieć pewność, że się jest rozumianym i ze spokojem, bez uczucia zadłużania się, jak to bywa w stosunku do obcych osób – przyjmować wszelką pomoc okazywaną z nieskończoną cierpliwością i miłością. Bo to jest matka, której jutro może zapłacimy tą samą miłością, choć ona tego nie oczekuje, zupełnie niczego nie oczekuje. Dla mnie obecność mojej matki stała się ratunkiem, błogosławieństwem – wtedy, gdy nadszedł najgorszy czas.



Anna z matką w karetce zaraz po powrocie z Włoch do Polski  
(październik 1967)

Pokój, w którym „zamieszkałam” z mamą, był dość przestronny, z dużym balkonem.

Z mego łóżka widziałam tylko kosmate gałęzie olbrzymiego drzewa modrzewiowego.

W szpitalnym parku, jak mi powiedział narzeczony, było dużo takich wysokich, potężnych drzew, z których dawniej robiono maszty na żaglowcach.

Rzeczywiście, nasz pokój mieścił się przecież na czwartym piętrze, a fragment drzewa, który widziałam, wcale nie wskazywał na to, że wierzchołek jest blisko.

Z jednej strony była ściana łazienki, z drugiej – tylko to drzewo za oknem. Więc patrzyłam całymi godzinami tam, za okno. Czekałam, czy jakiś ptak się nie zatrzyma na gałęzi, wyobrażałam sobie szorstkość kory, zapach długich cienkich szpilek. Często mrużyłam oczy i kiedy rysunek gałęzi stawał się mniej wyraźny, kiedy trochę się zlewał w zagmatwaną całość – można było zobaczyć oczami wyobraźni różne rzeczy. Czasem była to wiewiórka, czasem jelen w biegu, a czasem ludzka twarz – profil mężczyzny z orlim nosem.

Obchód odbywał się uroczyście, jak w każdym szpitalu rano każdego dnia. Wchodziła spora grupa lekarzy i siostr, a kilka razy w tygodniu – z samym dyrektorem szpitala na czele profesorem Raffaello Zanolim. W czasie wieczornego obchodu niektórzy z lekarzy chirurgów pojawiali się w długich do kostek, białych wełnianych pelerynach. Wyjaśniono mi, że lekarze ci udają się na obchód często prosto od stołu operacyjnego. Peleryna osłania ślady operacji oraz chroni przed przeziębieniem w długich, zimnych korytarzach o kamiennej posadzce.

Instytut Ortopedyczny Rizzoli (nazwa pochodzi od nazwiska ojca ortopedii europejskiej) jest kliniką uniwersytecką i skupia młodych, zdolnych lekarzy. Wielu z nich otrzymało stopień profesora już w wieku trzydziestu lat, jak na przykład prof. . . prof. Mario Gandolfi, Orlandi, Bedoni.

Profesor Carlo Alvisi oraz jego asystent Rodolfo Daidone, którym głównie zawdzięczam swój powrót do świadomości, też byli bardzo młodzi.

Szefem Rizzoli był profesor Raffaello Zanol. Miał dobrą twarz o krzaczastych brwiach nad oczami, które uważnie, z dobrocią i mądrością spoglądały na chorego. Miał zupełnie siwe, gęste włosy. Był wysoki, silny i wszystko było w nim dobre.

Przypominał mi stare, mocne, dobre drzewo.

„Drzewa kojarzą mi się z dobrem” – powiedziała mi kiedyś w dzieciństwie mama.

„Zupełnie tak jak niektórzy ludzie”. Zapamiętałam to wtedy.

Rzeczywiście profesor Zanol był mocny i dobry, a jednocześnie w swej dobroci i sile jakiś bezbronny jak drzewo. Miał taki sam miły uśmiech jak spojrzenie. Nachylał się nade mną, pukał żartobliwie w gips i obiecywał, że niedługo wstanę i wtedy się zmierzymy.

Mam tylko lekki żal do ordynatora oddziału. Młody, zdolny, niezwykle utalentowany chirurg, fachowiec wysokiej klasy, tylko że . . . serce miał twarde i nie umiał czy też nie chciał choć poudawać czasem, że jest inaczej. Ale staram się teraz tłumaczyć jego zimny stosunek do chorego tym, że lekarze z Rizzoli są przepracowani. Zwłaszcza chirurdzy, gdyż dziennie odbywa się tam średnio czterdzieści operacji, a w niedziele i święta, kiedy wzrasta liczba wypadków, nawet sześćdziesiąt.

Wspominałam przy opisie pięknych mundurów karabinierów o zamiłowaniu Włochów do teatru. Może tak nie jest, ale widok personelu w Rizzoli znów mi nasunął myśl o strojach teatralnych. Przede wszystkim były jednak nieskazitelnie, sterylne, rzekłabym, czyste. Personel każdego działu nosił ubiór w innym kolorze. Siostry z „mojego” piętra nosiły błękitne sukienki z białymi fartuszkami, białe pończochy i białe pantofle. Na radiologii obowiązywał kolor zielony. Natomiast Marisa – pokojówka, która codziennie przychodziła odebrać zamówienie na obiad – też była w sukieneczce innego koloru. Zdaje mi się, że pracownicy kuchni mieli na sobie ubrania koloru pomarańczowego.



Anna podczas rehabilitacji w Polsce (1968)

Leżałam więc z nogą na wyciągu przez jakiś czas, aż mój organizm wzmacni się na tyle, by znieść trudy operacji. Ręka leżała na kołdrze nieruchomo, gdyż bolała przy najmniejszym poruszeniu palców. Tu wyciąg niewiele by pomógł. Potrzebna była raczej solidna praca „spawalnicza”!

Operacja się trochę opóźniła, gdyż profesor Zanoli wyjechał na jakąś konferencję, a przed wyjazdem zdecydował, że „la cantante polacca” będzie osobiście operował. Po trzech dniach wrócił i zgodnie z obietnicą sam mnie operował.

Lekarze włoscy nie tylko uratowali mi życie, ale też z wielką troskliwością i serdecznością starali się zrobić wszystko, bym mogła wrócić do normalnego życia i... na scenę.

Po operacji obudziłam się w pancerzu gipsowym, który sięgał od szyi do pięt. Kiedy mi się zdawało, że nie wytrzymam dłużej, że się uduszę w gipsie, kiedy płacząc, prosiłam, żeby mi go zdjęli na własną odpowiedzialność, kiedy zapewniałam, że wolę być krzywa, niż znosić te męczarnie – wtedy zawsze mi przypominali mój udział w San Remo. Mówili, że jeszcze wystąpię tam nieraz, a oni będą mi przed telewizorami sekundowali... ale to może nastąpić tylko wtedy, jeśli będę w przyszłości zupełnie zdrowa i absolutnie... prosta.

Nie umiem, nie chcę opisywać tych potwornych mąk, jakie przyszło mi znieść w czasie nieruchomego leżenia na plecach przez pięć miesięcy. Ale nie ból połamanych kości był najgorszy. Dusiałam się, gdyż do klatki piersiowej zbyt ciasno przylegał pancerz gipsowy, a moja pojemność płuc jest dość pokaźna, wyrobiona przez śpiewanie. Traciłam przytomność, majaczyłam, spać nie mogłam. W nocy mama siedziała przy mnie i trzymała moją prawą, zdrową rękę. Nie spała wraz ze mną, opowiadała mi to samo tysiące razy, o co ją prosiłam, ciągle na nowo. „Opowiedz mi, jak to będzie, kiedy już będę bez gipsu”. Narysowała mi na kartonie kalendarz dni, które mnie dzieliły od wyjazdu do Polski. Codziennie rano podawała mi pióro, a ja zasmarowywałam z pasją każdą następną datę.

Mama obawiała się bardzo transportu do Polski. Prosiła, żebym została przynajmniej do zdjęcia gipsu, ale ja nie mogłam czekać. Liczyłam na to, że polscy ortopedzi zdejmą mi gips z klatki piersiowej.

Przez sześć tygodni od chwili operacji piłam tylko kilka łyków mleka dziennie, nie jedząc absolutnie nic, ponieważ po każdym kęsie pożywienia było mi jeszcze trudniej oddychać.

W końcu nadszedł upragniony dzień powrotu do Polski! Z łóżka położono mnie na nosze, na wózek, wreszcie wsunięto do karetki, która czekała przed szpitalem. Ponieważ korzystałam z tego typu przejazdów dość często, muszę przyznać, że to nie była karetka. Był to salonik ze wszystkimi udogodnieniami, jakich można było się spodziewać po dwudziestym wieku. Tlenu – ile dusza zapagnie, automatyczna klimatyzacja działająca bez zarzutu, nosze z ruchomym oparciem dla głowy, a przede wszystkim resory, zbliżające ten wóz raczej do poduszkowców, gdyż płynął, a nie jechał.

Podejrzewam, że w którejś ze ścianek karetki pogotowia musiał być nawet barek z pogotowiem alkoholowym. Każdy, nawet najbardziej połamany Włoch szklaneczki wina nie odmówi. Nawet w takiej sytuacji.

W samolocie Polskich Linii Lotniczych oddano nam do dyspozycji całą pierwszą klasę. Trzeba było wymontować fotele z jednej strony, by zmieściło się zakupione przez narzeczonego specjalne łóżko polowe. Potem łóżko zostało przymocowane do podłogi. Następną dość skomplikowaną czynnością było przeniesienie mnie do samolotu i ułożenie na przygotowanym łóżku.

Jakże miło przywitała mnie załoga samolotu wraz z kapitanem. Sam kapitan przyszedł do mnie i wręczając bukiet goździków, obiecał spokojny lot aż do Warszawy.

Leciałam w wyraźnie poweselałej „kompanii” składającej się z trzech osób. Mamy, narzeczonego i doktora Czarusia Rządowolskiego, którego Pagart specjalnie wysłał do Bolonii, by zapewnić mi opiekę lekarską w czasie powrotu do Warszawy.

W kraju spotkałam się z niezwykle serdecznym przyjęciem wielu życzliwych mi osób i z miłymi propozycjami pomocy. Na zawsze zachowam krzepiący list pułkownika Jerzego Ziętka ze słowami otuchy i zaproszeniem do odbycia dalszego leczenia i kuracji na Śląsku. Chociaż



chętnie skorzystałabym z tego zaproszenia, to perspektywa ponownej podróży karetkami i samolotem była dla mnie zbyt przerażająca.

Po dwóch tygodniach przyjął mnie na swój oddział w Klinice Ortopedycznej Akademii Medycznej w Warszawie profesor Garlicki, gdzie troskliwie się mną zaopiekowano, aż do zakończenia drugiej fazy leczenia i wyjazdu do Konstancina. Na zdjęcie gipsu górnego musiałam jednak i w Warszawie poczekać. W końcu decyzją profesora Garlickiego zdjęto mi gips, uwalniając klatkę piersiową, ale „zapakowując” lewe ramię i dolną część ciała do pasa rzetelnie w nowy gips. I to dwukrotnie.

Tam, na ulicy Lindleya, z całego personelu lekarsko-pielęgniarskiego, pracującego ofiarnie w niezwykle trudnych warunkach, najbardziej przypadł mi do serca gipsiarz Rysio Pawlak, który rozumiał mój obłędny strach przed elektryczną wirującą piłą do przecinania gipsu, którą z lubością posługiwali się gipsiarze włoscy. Taki przyrząd bardzo skutecznie i szybko wyzwala pacjenta ze skorupy gipsowej, ale bezradny i unieruchomiony pacjent ma wrażenie, że nieludzko wyjąca tarcza zagłębi się lada chwila w żywe ciało. Pan Rysio rozciął gips nożycami ręcznymi bardzo zręcznie i bardzo delikatnie, za co byłam mu szczególnie wdzięczna.

Po pewnym czasie przewieziona zostałam do kliniki profesora Weissa. Minęły już dawno wszystkie terminy zdjęcia gipsu na malowanym wciąż na nowo przez mamę kalendarzu.

Minął już piąty miesiąc gipsowego koszmaru, gdy wrócił profesor Weiss z jednej ze swoich licznych konferencji zagranicznych. Następnego dnia po obchodzie przyszła do mnie uśmiechnięta pani doktor Grabowska: „Pani Aniu, niech się pani cieszy, zaraz przyjdzie gipsiarz i zdejmie cały gips. Na zawsze! Pan profesor tak zdecydował”.

Nigdy tego nie zapomnę profesorowi Weissowi. Wdzięczna będę zawsze, że swoją decyzją skrócił moje męki o całe dziesięć dni!

Wiedziałam, że uwolnienie od gipsu nie jest równoznaczne z możliwością poruszania się. Ale nie przypuszczałam, że przez długie miesiące wszystko pozostanie właściwie bez zmian, że będę musiała przejść kilkumiesięczne ćwiczenia na stole pionizacyjnym (polegające na przystosowaniu organizmu do pozycji pionowej), potem powoli nauczyć się umiejętności siedzenia, a potem dopiero... chodzenia.



Anna w połowie lat sześćdziesiątych



Anna podczas rehabilitacji w Polsce (1968)

Tymczasem leżałam w dalszym ciągu bezwładnie na plecach. Konstancin był moim szóstym szpitalem, licząc od wypadku. Mam wielu znajomych, których sam widok budynku szpitalnego przyprawia o utratę humoru, dlatego też moje złe samopoczucie z powodu długiego przebywania w szpitalach będzie chyba zrozumiałe. Składało się na to wiele powodów. Cierpienie będące wynikiem skomplikowanych złamań, wstrząs mózgu, długi okres nieprzytomności, operacja, gips.

Wszystko to osłabiło system nerwowy. Wieczorami opanowywały mnie lęki spotęgowane moją bezsilnością, unieruchomieniem. Bałam się zostać w separacie sama, choćby na chwilę. We Włoszech w takich momentach mama brała mnie za rękę, przypominała fakty uciekające z osłabionej pamięci, łączyła oderwane fragmenty w całość, pomagała mi w mojej rozpaczliwej walce o utrzymanie prawdziwego obrazu rzeczywistości.

Tam matce wolno było być przy mnie. W Konstancinie zezwolono jedynie na codzienne wizyty. Cóż, kiedy noc była najgorsza.

Nie tylko nie mam o to żalu do nikogo, ale stać mnie nawet na to, by zrozumieć naszych lekarzy i ich odmienne nieco metody leczenia. Biorę także pod uwagę nasze trudniejsze warunki lokalowe. Niewątpliwie i ta metoda, polegająca na większym nacisku na samodzielność chorego przy równoczesnej pomocy personelu szpitalnego, jest słuszna i daje dobre rezultaty, ale tak jak nie ma dwóch jednakowych organizmów ludzkich, tak i potrzeby chorych organizmów mogą się zasadniczo różnić od siebie. Jestem wprawdzie jedynaczką, ale o brak samodzielności nie można mnie posądzać. Potwierdzić to może tak szanowna instytucja jak Pagart. Za pośrednictwem Pagartu wyjeżdżałam wielokrotnie sama jak palec za granicę, dając sobie doskonale radę. Większości naszych solistek jednak z reguły towarzyszy jakaś „żywa dusza”. Jeśli chodzi o sprawność życiową w ogólniejszym sensie, nauczyłam się jej dokładnie w okresie sześciu lat studiów, kiedy żyłyśmy tak jak poprzednio tylko z pensji mamy. Zawsze robiłam wszystko sama, łącznie z szyciem sukienek dla siebie, mamy i babci, praniem, gotowaniem i sprzątaniami.

I teraz moim największym marzeniem było wydostanie się z tej bezwładności, włączenie się do czynnego życia. Nie trzeba mnie było do tego zachęcać, ćwiczyłam przecież chętnie i wytrwale. Nie groziło mi paralizujące załamanie psychiczne teraz, gdy byłam już bez gipsu. Wiedziałam, że po kilku latach ćwiczeń dojdę do pełnej sprawności fizycznej i będę zdrowa. Ale potrzebowałam pomocy. Psychicznego oparcia ze strony matki. Jej obecności w tym trudnym okresie.

Męczyłam się. Światło paliło się przez całą noc w mojej separacie. Spałam jedynie w dzień, kiedy mama była przy mnie. Straciłam zupełnie apetyt, nie miałam sił ćwiczyć.

Musiałam sama sobie pomóc, nawet za cenę małego oszustwa. Lekarze w Konstancinie doszli wkrótce do wniosku, że dobrze będzie, jeśli pojedę na dziesięciodniowy „urlop” do prywatnego mieszkania. Wypoczynek w „cywilnym” środowisku miał mi umożliwić dalszą kurację w Konstancinie. Uczepiłam się kurczowo tej szansy, wiedząc z góry, że jeśli raz wyjadę poza obręb szpitala, żadna siła nie zmusi mnie do powrotu. Powiedziałam, że wrócę – ale nie wróciłam. Przez okres mojej nieobecności w Konstancinie miał przyjeżdżać któryś z panów magistrów i prowadzić ćwiczenia w warunkach domowych.

I oto pewnego zimowego dnia, w połowie lutego, wyniesiono mnie znów na noszach do karetki. Niby tak samo jak wtedy we Włoszech, ale z tą zasadniczą różnicą, że lżejsza byłam o cały ten koszmar gipsu.

Chcę jeszcze raz podkreślić, że musiałam tak zrobić dla własnego dobra. Wiedziałam i czułam dokładnie, co mi jest najbardziej potrzebne. Mam nadzieję, że nikt z kliniki profesora Weissa nie zinterpretował źle mojej decyzji.

Nie wymyślono jeszcze aparatu, który by prześwietlał duszę człowieka i dokładnie określał jego potrzeby i życzenia. A może to i lepiej.



Anna w połowie lat sześćdziesiątych

Pobyt w klinice profesora Weissa wspominam mimo wszystko z rozczuleniem. Piszę „mimo wszystko”, bo przecież był to jednak szpital. A na sam dźwięk tego słowa robi mi się smutno do tej pory. Wszyscy byli dobrzy dla mnie, zgodnie z hierarchią szpitalną – od lekarzy poczynając, na salowych kończąc. Pamiętam siostrę oddziałową panią Basię – młodą mamę Agnieszki. Pamiętam siostrę Teresę z ogromnym poczuciem humoru, zawsze pięknie, wymyślnie uczesaną Mariolę, Wiesię – mamę Krzysia, i inne, których imion nie pamiętam, ale ich zgrabne sylwetki w nakrochmalonych fartuchach widzę oczyma duszy „jak żywe”.

Ze szczególnym wzruszeniem wspominam salową, panią Adamską. Odnosiła się do wszystkich chorych z jednakową bezgraniczną cierpliwością i dobrocią. Miała piękną twarz, której uroda nie zbladła mimo trudnego życia i ciężkiej pracy. Zawsze chętna, pogodna, uśmiechnięta i życzliwa ludziom. Gdyby los był dla niej łaskawszy, byłaby lekarzem jakich mało. Takim prawdziwym lekarzem, który widzi w pacjencie nie „ciekawy przypadek”, ale przede wszystkim człowieka. Żywego człowieka.

Nie dla mnie były komendy rozlegające się każdego ranka na korytarzu: „wszyscy na gimnastykę”. Moje ćwiczenia musiały się odbywać w separacie pod kierunkiem pana magistra od rehabilitacji. Polegało to głównie na codziennej pionizacji i biernych ćwiczeniach ręki i nogi.

Wyjaśnię, co to jest pionizacja. Służy do tego stół, na którym układa się chorego i przypina pasami. Stopniowo z pozycji poziomej unosi się stół razem z chorym do pozycji pionowej. Oczywiście nie od razu. Po kilka stopni, aż organizm przyzwyczai się do pozycji pionowej. Z początku rehabilitację prowadził pan magister Wojtuś Chydziański. Wysoki brunet o miłym, spokojnym usposobieniu. Pierwszego dnia zauważyłam, że ma niezwykle delikatne ręce.

Pierwsze miesiące były bardzo ciężkie. Mięśnie, które po dłuższym bezruchu zmuszane są nagle do ruchu, choćby biernego, okrutnie bołą. Ale na płacz pozwalałam sobie tylko w najkrytyczniejszych chwilach, ponieważ wiedziałam, że pan Wojtuś – jako prawdziwy mężczyzna – zupełnie nie znosi kobiecych łez, że jest mu bardzo przykro.

Pewnego dnia uniosłam rękę nad kołdrą siłą własnych mięśni, bez pomocy pana Wojtusia. Cieszyliśmy się razem ogromnie. Pan Wojtuś, pochwaliwszy mnie, zadał mi na zakończenie ćwiczeń nowe „zadanie domowe”. Nazywałam tak żartem ćwiczenia, które miałam wykonać w czasie nieobecności pana magistra. Następnego dnia było „kolokwium” i nowe zadanie, i tak codziennie, aż do mego wyjazdu. Pan Wojtek miał ze mną pełne ręce roboty, gdyż cała lewa połowa mego ciała musiała być pobudzona do życia, ruchu. Już nawet po kilkutygodniowym unieruchomieniu powstają zrosty, zanikają mięśnie. Zesztywniał staw barkowy z łopatką, łokieć i kolano, staw biodrowy, stawy dłoni i palców lewej ręki i stopy. Kiedy pan Wojtuś wyjechał na wypoczynek w góry – przekazana zostałam panu Kazikowi Bablichowi, który do tej pory przyjeżdża do mnie z Konstancina i kieruje moją rehabilitacją. Cieszę się zawsze z wizyty pana Kazia, choć wiem, że nie obejdzie się nigdy bez bólu. Pan Kazik, mimo młodego wieku, jest doskonałym fachowcem i ma wyjątkowo trafne podejście do pacjenta.

Teraz, kiedy to piszę, jest już o wiele lepiej. Nie mogę jednak napisać – dobrze. Brakuje mi w wymienionych stawach od kilkunastu do kilkudziesięciu stopni do całkowitej sprawności. Aby te braki zlikwidować, będę musiała jeszcze intensywnie poćwiczyć. W każdym razie specjalnie zmontowany wyciąg, będący meblem mało dekoracyjnym, będzie mi jeszcze przez jakiś czas służył, choć najchętniej wyrzuciłabym go jeszcze dziś!

Widywałam nieraz w filmach (zwłaszcza komediach), na czym polega leczenie kompleksów, różnego rodzaju zahamowań metodą psychoanalizy. Otóż chory (przynajmniej we własnym przekonaniu) układa się wygodnie na kanapie i mówi szczerze o tym, co go gnębi. Lekarz sadowi się obok i wysłuchuje uważnie monologu. Zwierzenia raz wypowiedziane – zostają tym samym na zawsze przekreślone!

Moje wspomnienia wypowiedziane szczerze, zgodnie z prawdą wywołają być może podobną reakcję. Chciałabym bowiem bardzo zapomnieć, wykreślić z pamięci całe dwa lata, by kiedyś móc znowu bez uczucia niechęci zaśpiewać którąś z pięknych piosenek neapolitańskich.

Włoska prasa o Annie German – rok 1966

**„La Domenica del Corriere” (listopad 1966)**

„Nazywa się Anna German, ma 26 lat i dyplom z geologii. Jest również modną piosenkarką sowieckiego świata: »Nasza Mina«, mówią o niej Polacy (...) Śpiewa bardzo dobrze współczesne melodyjne piosenki, między Milvą a Miną (...).”

**„Panorama Europeo” No. 4 (15 listopada 1966) – Discografia internazionale**

„Zakontraktowana przez CDI przebywa we Włoszech, aby dokonać kilku nagrań. Piosenkarka urodziła się w Rosji (...) Jest uważana za jedną z najsłynniejszych pieśniarek Europy Wschodniej i od razu została okrzyknięta »Miną z za [żelaznej] kurtyny«.

Śpiewa w pięciu językach: polskim, rosyjskim, włoskim, angielskim, niemieckim i jest ulubioną piosenkarką niepokornego poety [Jewgienija] Jewtuszenki, który napisał dla niej kilka tekstów piosenek”.

**„La Notte” (15 listopada 1966) Śpiewająca geolog z Polski**

„(...) Wczoraj Anna German przyjechała do Mediolanu i okazało się, że ma nie tylko piękny głos, wcześniej już znany niektórym specjalistom, ale i urodę: wysoka, o jasnych, falujących włosach i rozmarzonym spojrzeniu. Krótko mówiąc: wspaniała dziewczyna (...).”

**„Sorrisi e Canzoni” (27 listopada 1966)**

„(...) w Polsce, Rosji i w NRD powiedzieć: Anna German, to tak jak u nas powiedzieć: Mina.

Jej [Anny German] piosenki, które obejmują najrozmaitszy repertuar – od Alessandro Scarlatti do rosyjskiego poety Jewtuszenki, od »Torna a Surriento« do »Non ho l'eta« – są na ustach wszystkich.

Stacje telewizyjne wszystkich republik Związku Radzieckiego nadały całkowicie jej poświęcone programy.

Na ulicach Warszawy, gdzie mieszka, (...) tłoczą się wokół niej fani, błagając o autografy. Dokładnie tak, jak dzieje się u nas w przypadku Rity Pavone”.

# ARRIVA DALL'EST UNA VOCE PER SANREMO

**S**averia vuole, quest'anno il disgeio raggiungerà Sanremo. E sarà un diageo straordinariamente bello da vedere da ascoltare, perché ha l'aspetto di una splendida creatura — alta un metro e ottantaquattro — tutta in proporzione — con una magnifica cascata di capelli biondo oro, occhi chiari e sognanti, sorriso dolcissimo e una voce che incanta.

In Polonia, in Russia e nella Germania Est dire Anna German è come da noi dire Mina. Le sue canzoni — che abbracciano un repertorio vastissimo, da Alessandro Scarlatti al poeta russo Evtuschenko, da «Torna a Surriento» a «Non ho l'età» — sono sulla bocca di tutti. Le reti televisive di tutte le repubbliche dell'Unione Sovietica hanno trasmesso programmi dedicati interamente a lei. Nelle strade di Varsavia, dove Anna vive cantando, i fans le si affollano intorno implorando autografi, esattamente come da noi succede ad una Rita Pavone.

La settimana scorsa Anna German è arrivata improvvisamente e inaspettatamente a Milano. Senza che nessuna indagine fosse trapelata prima, la cantante è piovuta nella capitale discografica per fare del provino. Sta ascoltando molte canzoni, sta provando, e riprovando. Si è già sottoposta, lei così «orientale» e sognante, al massacrante e spietato meccanismo del lancio. Ma fino ad ora non sembra accorgersene. «Millemi — dice col suo incantevole sorriso — già tutti miel aniel. Qui mi sento come a casa mia».

Intanto negli ambienti interessati c'è quella eccitazione che sembra precedere i grandi avvenimenti. Si cerca la canzone boom per il lancio di Anna in Italia, si tenta l'operazione Sanremo. I discografici di Anna — ce ne sono due fratelli e un padre — sembrano abbastanza sicuri del fatto loro.

Ovviamente dobbiamo dire che esistono le promesse: Anna è una vera cantante, ha una voce limpida, distesa, sonora, che può ricordare, per avere un'idea, quella di Nana Mouskouri, la cantante greca che ebbe un buon successo da noi qualche anno fa. Anche il «personaggio», necessario per alimentare la campagna pubblicitaria, esiste.

Basterà questo per portare Anna a Sanremo? Chi lo sa?

Intanto cerchiamo di conoscerla meglio. Anna ha 26 anni ed è nata in un paesino dell'Uzbekistan — Stato che attualmente fa parte dell'Unione delle Repubbliche sovietiche — da padre polacco e da madre armena. Figlia unica, a due anni perse il padre, Eugenio, che era direttore d'orchestra. Non ha avuto un'infanzia facile. Con la madre, Irma, e la nonna materna, Anna, si trasferì a Wroclaw, in Polonia, dove ha compiuto gli studi laureandosi, nel '64, in geologia.



Anna German viene considerata la «Mina del paese slavo». La vedette d'oltrecortina ha 26 anni ed è nata nell'Uzbekistan.

Ha sempre avuto la passione per la musica e per il canto, ma gli anni dell'università sono stati, in questo senso, quelli decisivi. Gli studenti polacchi, come tutti i giovani di questo mondo, amano riunirsi in comitiva, stare allegri e cantare. Non è volente molto che la bella Anna, con la sua voce aggraziata e modulata, diventasse la reginetta del suo gruppo.

Insieme con le rose e i minerali, Anna cominciò a studiare il pentagramma, ma soltanto dopo la laurea ha intrapreso la carriera di cantante su un piano professionale. Oggi ha un repertorio vastissimo ed internazionale. Uno dei suoi primi successi è stata «Non aver fretta» scritta dal famoso poeta russo Evtuschenko (famoso anche per le sue poesie contro Stalin) e musicata dal compositore armeno Arto Babadjan. Ha

inciso anche, oltre a quelle che abbiamo citate prima («Non ho l'età» e «Torna a Surriento»), «Tango d'amore» (Armando di Modugno), «Ogni volta» e «Tango italiano», «La mamma», di Aznavour, l'ha incisa in italiano, lingua che Anna considera dolce e musicale perché è ricca di vocali; e questo consente di «appoggiare», distendere e modulare meglio la voce.

Comunque vada l'operazione Sanremo, il 28 di questo mese Anna ha un concerto a Varsavia. Canta quattro arie di Alessandro Scarlatti: «Credimi cuore», «Vi lascio tranquilla», «Per credere», «Io credea».

«Anna, ma lei crede...»

«Ah, sì!» — risponde ridendo — lo sono, come dire? ottima!...»

«Questo è vero, ma lei voleva dire forse "ottimista"».

«Oh, sì, ottimista!» e ride.

Lo siamo anche noi, per Sanremo, sperando che Gianni Ravera non si faccia tanto spaventare da Alessandro Scarlatti.

Fra poche ore, intanto, sta per scendere il termine ultimo fissato per l'invio delle composizioni. Ne sono arrivate finora duecento circa; e — da alcune indiscrezioni — sembra che esse seguino un nastro ritmato al genere melodico. Molto rappresentativo, però, è anche il filone folk; ed in esso spicca una canzone dei Giganti i quali, riprendendo il felice impianto narrativo di «Tema», hanno scritto un motivo a quattro voci: la storia di quattro ragazzi che prendono parte ad una marcia della pace ognuno spinto da una propria aspirazione, da un proprio particolare sentimento.

A Sanremo, infine, la Giunta Municipale ha dato il via ai lavori richiesti dal Ministero del Turismo e Spettacolo per rendere agibile il Salone del Festival del Casinò. Soltanto l'anno scorso, infatti, venne notificata all'ATA — la società concessionaria del Casinò e proprietaria della manifestazione musicale — un'ingiunzione che non riconosceva il permesso di agibilità ai locali che hanno ospitato per ben sedici anni il Festival della Canzone. Le attrezzature — ed diceva nell'atto del Ministero del Turismo e Spettacolo — non erano sufficienti a garantire l'incolumità e la salvezza degli spettatori in caso di incendio o altri incidenti di carattere eccezionale.

Scartata l'eventualità di spostare la manifestazione al Teatro Ariston, la Giunta Municipale — accedendo alle richieste del Ministero — ha dato il via ad alcune opere di assetamento non soltanto per permettere lo svolgimento del Festival ma anche per ampliare la capienza del Salone che a lavori ultimati potrà ospitare novecento persone. La spesa preventivata è di 40 milioni ed è stato stabilito che tutto dovrà essere terminato dieci giorni prima dell'inizio del XXII Festival della Canzone Italiana.

Antonio Cochia





Anna w towarzystwie Mariusza Waltera, reżysera filmu „Powrót Eurydyki”, i Zbigniewa Tycholskiego (za Anną) (1970)

Była jak bokser, którego nic nie obali

Z Mariuszem Walterem, autorem filmu „Powrót Eurydyki”, rozmawia Tomasz Raczek

**TR** – Film „Powrót Eurydyki” powstał w 1970 roku, gdy Anna German po długiej powypadkowej rehabilitacji przygotowywała się do powrotu na scenę. Był pan wtedy reżyserem znanym przede wszystkim z realizowania filmów dokumentalnych. Dlaczego zainteresował się pan piosenkarką?

**MW** – Wtedy, gdy robiłem filmy między innymi o sporcie, byłem wierny zasadzie, że prawdziwy materiał dotyczący mojego bohatera można uzyskać tylko towarzysząc mu w czasie jakiejś życiowej próby. Dla przykładu: „Autobus z napisem »Koniec«” to była walka duńskiego kolarza Rylanda Kehleta (21-letniego studenta filozofii), który jako zupełny amator znalazł się w Wyścigu Pokoju i bardzo szybko zorientował się, że ma tylko jeden cel: żeby go nie złapał autobus z napisem „Koniec”. Bo ten autobus zbierał tych, którzy przekroczyli limit czasu, którzy padali, nie wytrzymując wysiłku. W gruncie rzeczy, jeśli cokolwiek mnie pociągało w robocie reportera czy dokumentalisty, to właśnie taka obstawiona kamerami obecność w czasie próby. Tak było też z „Pierwszy, szósty” o Garricku Ohlssonie i Januszu Olejniczaku, laureatach Konkursu Chopinowskiego.

**TR** – Anna German była więc w pana oczach nieomal sportowcem mierzącym się z ekstremalnym wyzwaniem?

**MW** – Nagrywała wtedy płytę „Człowieczy los” z towarzyszeniem orkiestry pod dyktando Leszka Bogdanowicza, który miał dla niej mnóstwo serca, szacunku, sympatii. Grali w studiu radiowym przy Malczewskiego przez długie godziny. W pewnym momencie ona już prawie padała, ale to była dla niej próba: czy sięgnie po górne C? Omijała tę próbę, przerywała, prosiła o czas na odpoczynek, ale nie odpuszczała. Gdy wreszcie sięgnęła tego C, zrobiła to bez trudu, dając świadectwo swojej wyjątkowości.

**TR** – Na co dzień też robiła wrażenie kogoś wyjątkowego?

**MW** – Jej monumentalna, wręcz pomnikowa postura, długie blond włosy – wszystko, co było jej fizycznością, trochę ją szeregowało w innym zbiorze wykonawców niż szalejące wówczas zespoły, które do dziś pamiętamy, albo egzystujące wtedy gwiazdy, jak Maryla Rodowicz czy Zdzisława Sośnicka. Nawet obawiałem się, czy to jej nie przeszkodzi w zrobieniu totalnej kariery. Była bardzo ostrożna repertuarowo. Czy to z powodu swojej wiary, jako adwentystka dnia siódmego, czy to z powodu niezwykle utwierdzonych w niej zasad moralnych omijała teksty takiego typu jak te, które śpiewała na przykład Ewa Demarczyk.

**TR** – Ale pierwsze piosenki, te sprzed wypadku, do nowoczesnej muzyki Katarzyny Gaertner – „Tańczące Eurydyki”, „Zakwitnę różą” – były przecież mocniejsze, ostrzejsze, zaskakujące...

**MW** – Ciekawe, dlaczego później nie wróciła do takiego repertuaru. Myślę, że olbrzymi wpływ miał na nią odbiór jej piosenek w Związku Radzieckim i we Włoszech, gdzie odnosiła wielkie sukcesy. Nawet wystąpiła na festiwalu w San Remo.

**TR** – I wypadła na nim lepiej niż Dalida, która zaliczyła wtedy porażkę, a autor śpiewanej przez nią piosenki i jej ukochany, Luigi Tenoco, z rozpaczy popełnił w hotelu samobójstwo. Tymczasem Anna German stała się sensacją sezonu.

**MW** – Nie znałem tej historii!

**TR** – Kiedy powstał pomysł filmu? Wtedy, gdy German miała wejść do studia, by nagrać po kilkuletniej przerwie płytę złożoną z własnych kompozycji?

**MW** – Zainteresowało mnie, że piosenki z tej płyty pokazywały nie osobę, która z trudem powraca na scenę, tylko zdesperowaną artystkę, która gotowa jest w studiu rzucić na szalę absolutnie wszystko, żeby odzyskać głos.

**TR** – Jak reagowała na przypatrujące się temu kamery?

**MW** – Nie widziała ich.

**TR** – Pytała, o czym będzie ten film? Kontrolowała sytuację?

**MW** – Nie. Myślę, że poznaliśmy się przed nagraniem tak dobrze, że nabrała do mnie

zaufania. Rozmowa na tyle ją uspokoiła, że nie interweniowała ani w czasie nagrania, ani po montażu.

**TR** – Poznali się państwo w Konstancinie czy już w Warszawie?

**MW** – W Warszawie. Mieszkaliśmy wtedy przy Kruczkowskiego, na 32 metrach z dwójką dzieci, nie marzyliśmy nawet o Konstancinie.

**TR** – Miałem na myśli szpital w Konstancinie, gdzie Anna German przechodziła rehabilitację.

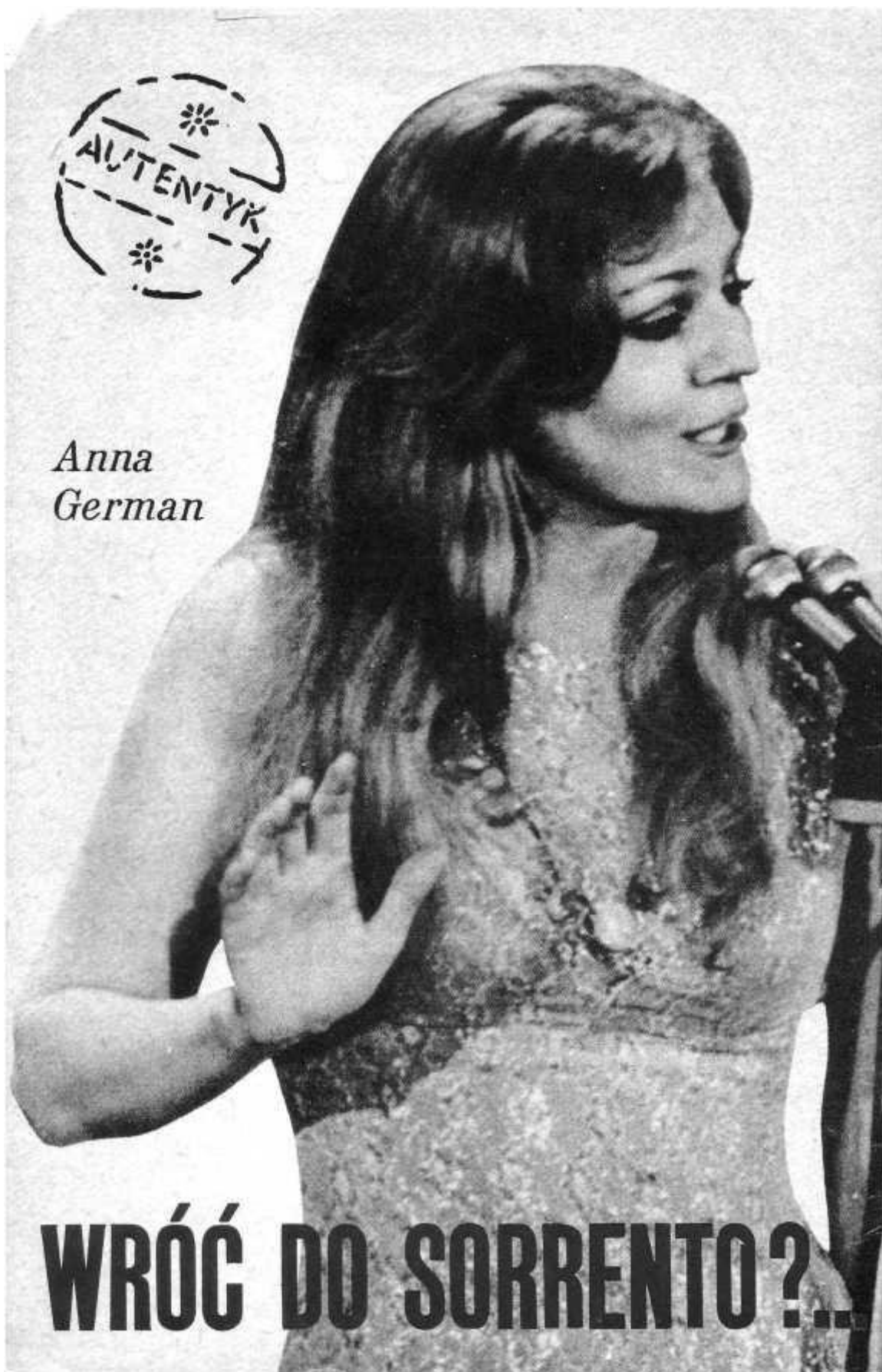
**MW** – Co prawda nie byłem u niej ani razu, ale miałem kontakt z jej mężem Zbigniewem Tucholskim.

**TR** – Kulminacją filmu jest pierwsze wyjście na estradę w Sali Kongresowej podczas styczniowego koncertu z okazji rocznicy wyzwolenia Warszawy. Widzimy, jak Anna German przygotowuje się, a potem wychodzi i śpiewa. Czy pamięta pan, co powiedziała po powrocie za kulisy, już po wszystkim?

**MW** – Była nieprzytomna po zejściu ze sceny. To był stan radości z tego, że poczuła, na jak wiele może liczyć z tą widownią, bo przecież powitano ją z miłością. A jednocześnie sama sobie nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Wnoszę to z takiego normalnego, zakulisowego kontaktu, gdy pan ją o coś pyta, a ona miło reaguje, ale nie na temat. Ktoś mi wtedy poradził, żeby dać jej spokój – chyba nieżyjący już Leszek Bogdanowicz – odciągnął mnie na bok. A potem wskoczyła w to, czego jej musiało brakować: w telewizję, wywiady, występy. Jej blond głowa zawsze wystawała wysoko z wianuszka otaczających ją ludzi. To był poza wszystkim bardzo dobry człowiek, tolerancyjny – nie dziwiło jej niczyje zachowanie, niczyje poglądy, inność. Przyjmowała to ze stoickim spokojem, ze zrozumieniem. Zachowywała się jak bokser, którego nic nie obali. No i to, co było takie fajne i wyróżniające pomiędzy nią i mężem: jego dyskretna, stała obecność przy niej, świadomie drugoplanowa. Jeśli pan Zbyszek zabierał głos w sprawie jej śpiewania czy jej filmu, robił to z olbrzymim taktem. Jeśli chciał jej coś poradzić albo zadbać o jej dobro, robił to zawsze delikatnie.

**TR** – Gdyby za sprawą wehikułu czasu Anna German miała debiutować dopiero dzisiaj, myśli pan, że zdecydowałyby się wystąpić w którymś z telewizyjnych talent shows w rodzaju „X Factor”? I czy zostałyby dostrzeżone? Czy wygrałyby?

**MW** – Na pewno jej występ byłby dostrzeżony i na pewno dostałyby wielkie brawa od widzów. Ale pewnie by klaskali jakoś inaczej niż pozostałym... Ta dama onieśmielała.



*Anna  
German*

**WRÓC DO SORRENTO?...**

Okładka pierwszego wydania wspomnień Anny German (1970)

Anna German  
**Kronika życia i pracy artystycznej**

— rok 1936 —

**14 lutego** w Urgenczu w Uzbekistanie (wówczas ZSRR) przychodzi na świat Anna Wiktoria German, córka Irmy Martens i Eugeniusza Germana. Ojciec Anny pochodził z Łodzi, jego rodzicami byli Anna Balach i Friedrich Hoerman. Natomiast rodzice matki – Anna Friesen i Dawid Martens – byli potomkami holenderskich emigrantów.

— rok 1937 —

**25 września** Eugeniusz German zostaje aresztowany przez NKWD (rozstrzelany w 1938 roku, zrehabilitowany w 1957 roku).

— rok 1938 —

**28 lutego** w Taszkencie rodzi się brat Anny – Fryderyk (zmarł w roku 1940).

— rok 1943 —

Anna rozpoczyna naukę w szkole w Orłówce (w Kirgizji).

— rok 1946 —

Wspólnie z matką i babcią Anna przyjeżdża do Polski.

**14 maja** rodzina uzyskuje zameldowanie w Szczecinie. Tam mieszka przez pewien czas, skąd wyjeżdża do Nowej Rudy (Dolny Śląsk), gdzie Anna uczęszcza do szkoły powszechnej.

— rok 1949 —

Przeprowadzka do Wrocławia i zamieszkanie w kamienicy przy ul. Trzebnickiej 5.

— lata 1952-55 —

Anna uczy się w VIII Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu przy ul. Trzebnickiej 42.

— lata 1955-61 —

Anna odbywa studia geologiczne na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego.

— rok 1959 —

Wiosną debiutuje w popularnym programie estradowym „Podwieczorek przy mikrofonie“.

Anna jest także aktorką teatru studenckiego „Kalambur“, z którego zespołem w kwietniu bierze udział w premierze widowiska „Po ulicach miasta chodzi moja miłość“. W maju spektakl ten prezentowany jest w Krakowie na I Ogólnopolskim Festiwalu Kultury Studentów.

— rok 1960 —

**9 maja** – debiut telewizyjny Anny German w programie OTV Wrocław pod tytułem „Spotkania o zmroku“.

**Czerwiec** – Anna poznaje swego przyszłego męża – fizyka Zbigniewa Tucholskiego.

— rok 1961 —

Anna jest solistką Estrady Wrocławskiej. Występuje z zespołem Witolda Przysieckiego jako Anita German. Śpiewa m.in. kompozycję Gilberta Bécaud do słów Agnieszki Osieckiej „Pójdę w świat“.

**5-14 grudnia** – występy z Estradą Rzeszowską (zespołem kierował Julian Krzywka).

— rok 1962 —

**23 stycznia** – obrona pracy dyplomowej „Zdjęcie geologiczne okolic Zatonia (Ustronie)” i uzyskanie tytułu magistra geologii stratygraficzno-poszukiwawczej.

**2 lutego** – występ w „Podwieczorku przy mikrofonie” z pieśnią „Ave Maria” Bacha/Gounoda.

**Marzec** – występy w Rzeszowie.

**27 marca** – Warszawa – Anna zdaje egzamin aktorski przed Państwową Komisją Weryfikacyjną uprawniający do wykonywania zawodu piosenkarki. Przewodniczącym komisji egzaminacyjnej był Kazimierz Rudzki, a jednym z członków komisji Aleksander Bardini.

W tym roku rozpoczyna także współpracę z Estradą w Olsztynie (do roku 1966 wystąpiła tam w czterech programach).

**Kwiecień-maj** – ponowne występy z Estradą Rzeszowską.

**20 czerwca** – w Zabrzcu Anna bierze udział w próbach rewii organizowanej przez PAA Pagart.

**Wrzesień** – kolejne występy z Estradą Rzeszowską.

**3 grudnia** – Anna podpisuje umowę z PAA Pagart na występy piosenkarskie w kabarecie mieszczącym się w kawiarni Pod Gwiazdami w Warszawie (umowa obowiązuje do 30 lipca 1963 roku).

#### — rok 1963 —

**13 lutego** – Anna śpiewa w programie ogólnopolskim nadawanym przez OTV Wrocław.

**14-28 lutego** – występy z zespołem Estrady Wrocławskiej w Katowicach.

**Marzec** – nawiązanie współpracy z orkiestrą krakowską pod dyrekcją Jerzego Gerta, zarejestrowanie kilku piosenek.

**Kwiecień** – występy z Estradą Wrocławską w Jeleniej Górze.

**3 maja** – występ z zespołem Estrady Olsztyńskiej w Lubawie.

**16 maja** – występ z Estradą Olsztyńską w Bielsku Podlaskim.

**Maj – czerwiec** – przygotowania do udziału w Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie.

**3 czerwca** – występ w Kołobrzegu (próba w Koszalinie).

**10 czerwca** – z orkiestrą pod dyrekcją Jerzego Gerta Anna nagrywa w Krakowie piosenkę pt. „Jesienna rozłąka”.

**Sierpień** – Anna bierze udział w III Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, gdzie otrzymuje II nagrodę za wykonanie utworu „Tak mi z tym źle” do słów Bronisława Broka, z tekstem Henryka Klejnego.

**Październik** – występ na I Ogólnopolskim Festiwalu Zespołów Estradowych w Olsztynie. Anna otrzymuje nagrodę za interpretację piosenki „Ave Maria no morro”.

**28 grudnia** – występ w Płocku w programie „Podwieczorku przy mikrofonie”.

#### — rok 1964 —

**Luty-marzec** – Anna przebywa na dwumiesięcznym stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki w Rzymie; w trakcie pobytu ma miejsce przesłuchanie w siedzibie wytwórni płytowej RCA. Anna otrzymuje propozycję podpisania dwuletniego kontraktu.

**15-30 kwietnia** – występy w Olsztynie.

**czerwiec** – udział w II Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu; Anna śpiewa piosenkę Katarzyny Gaertner, Ewy Rzemienieckiej i Aleksandra Wojciechowskiego „Tańczące Eurydyki”, która otrzymuje II nagrodę w kategorii piosenki aktorsko-literackiej.

**Lipiec-sierpień** – pobyt z grupą polskich artystów estradowych na występach w Związku Radzieckim.

**Sierpień** – IV Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie. Anna otrzymuje w Dniu Polskim I nagrodę za „Tańczące Eurydyki” (w Dniu Międzynarodowym piosenka ta zajmuje III miejsce).

Po festiwalu ponownie wyjeżdża na występy do ZSRR. Tam nagrywa swoją pierwszą płytę „Śpiewa Anna German”. Znajdują się na niej piosenki polskie, włoskie i rosyjskie. W tym czasie zawiera znajomość z redaktorem muzycznym radzieckiej wytwórni płytowej Melodia, Anną Nikołajewną Kaczaliną.

**Październik** – wyjazd na koncerty do Niemieckiej Republiki Demokratycznej – występy na akademiach i koncertach galowych z okazji 15-lecia NRD.

— rok 1965 —

**Styczeń** – występy w Szczecinie. W trakcie pobytu w tym mieście Anna poznaje poetkę Joannę Kulmową.

**19 lutego – 5 marca** – pobyt w Wielkiej Brytanii: występy w ramach tournée Orkiestry Polskiego Radia pod dyrekcją Stefana Rachonia, m.in. w Londynie i 23 lutego w Albert Hall w Nottingham (oprócz Anny w koncertach biorą udział także: Barbara Nieman, Bernard Ładysz i Wiesław Ochman).

**Maj** – występy w Związku Radzieckim (m.in. 5 maja w Kisłowodsku).

**Druga potowa maja** – wyjazd do Paryża i występ w programie Eurowizji oraz w paryskiej Olympii.

**Czerwiec** – Anna bierze udział w III Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu: I nagrodę w kategorii piosenek artystycznych zdobywa utwór Katarzyny Gaertner i Jerzego Millera „Zakwitnę różą”.

**Lato** – występy w Monte Carlo.

**6-8 sierpnia** – występ na V Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie: Anna śpiewa „Zakwitnę różą” oraz „Dziękuję ci, moje serce”.

**sierpień** – udział w Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Ostendzie: Anna zdobywa trzecie miejsce – nagrodę Brązowy Żagiel za wykonanie utworu „Zakwitnę różą”.

**wrzesień** – występ z piosenką „Tańczące Eurydyki” w programie telewizji francuskiej „Music-Hall de France” Michèle Arnaud.

W ZSRR ukazuje się w Melodii pierwsza długogrająca płyta „Śpiewa Anna German”.

Pod koniec roku Anna nagrywa z Orkiestrą Polskiego Radia pod kierunkiem Stefana Rachonia swoją pierwszą polską płytę długogrającą „Tańczące Eurydyki”.

— rok 1966 —

**30 stycznia** – Warszawa – występy w programie estradowym na scenie Filharmonii Narodowej.

**Styczeń** – Giełda Piosenki w kawiarni Nowy Świat – nagrody dla trzech kompozycji Katarzyny Gaertner śpiewanych przez Annę German: „A kiedy wszystko zgaśnie”, „A jeżeli mnie pokochasz” oraz „The original Janosik”.

**12 lutego** – recital telewizyjny Anny German w programie OTV Wrocław.

**Luty** – występy w Republice Federalnej Niemiec.

**22-31 marca** – podróż na pokładzie statku MS „Stefan Batory” na koncerty do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

**kwiecień** – Anna German wraz z polskimi artystami estradowymi przebywa na tournée w USA i Kanadzie: 18 koncertów, m.in. w Filadelfii, Cleveland, Detroit, Chicago, Buffalo i Toronto oraz 10 kwietnia w słynnej nowojorskiej Carnegie Hall.

**Czerwiec** – udział w festiwalu „Złoty Klucz” w Bratysławie.

**Lipiec** – Anna gra rolę kapitana Marynarki Wojennej w filmie Zofii Dybowskiej-Aleksandrowicz „Marynarska przygoda”. W filmie tym wykonuje piosenkę „Powracające słowa”.

**28 sierpnia** – występ na VI Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie.

**Wrzesień** – Wiesbaden – występy w programach telewizji RFN.

**6 października** – Cannes – występ Anny podczas Międzynarodowych Targów Płytywych MIDEM, gdzie otrzymuje nagrodę Marmurowej Płyty.

**14 listopada** – Anna po raz pierwszy wyjeżdża do Mediolanu, gdzie podpisuje trzyletni

kontrakt z firmą fonograficzną Company Discografica Italiana.

**28 listopada** – Warszawa – z zespołem muzyki dawnej Con Moto Ma Cantabile pod dyrekcją Tadeusza Ochlewskiego Anna śpiewa w Filharmonii Narodowej arie Scarlattiego z opery „Tetide in Sciro”.

— rok 1967 —

**Styczeń** – Mediolan – koncert w sali Circolo della Stampa; realizacja programu telewizyjnego dla telewizji RAI „Incontro con Anna German”.

**6 lutego** – Anna występuje jako pierwsza (i jedyna do dziś) Polka na XVIII Festiwalu Piosenki Włoskiej w San Remo. Śpiewa piosenkę „Gi” z muzyką Freda Bongusto.

**Luty** – Turyn – występy w popularnych programach telewizyjnych z udziałem m.in. Domenico Modugno.

**Wiosna** – Anna German otrzymuje tytuł „Najpopularniejsza piosenkarka 1966 roku” wśród Polonii amerykańskiej.

Udział w koncertach galowych w Filharmonii Narodowej w Warszawie: z ariami Scarlattiego, w koncercie ku czci Henryka Warsa (z piosenką „Over and Over”).

Warszawa: realizacja nagrań na drugą polską płytę długogrającą.

**4 czerwca** – Warszawa – występ podczas II Poranka Polskiego Radia i Telewizji w Filharmonii Narodowej.

**Lipiec** – Neapol: Anna, jako pierwsza cudzoziemka, śpiewa na XV Festiwalu Piosenki Neapolitańskiej; nagrywa także swoją jedyną włoską płytę długogrającą „I classici della musica napoletana”.

Viareggio: piosenkarka otrzymuje włoską nagrodę Oscar della Simpatia dla najlepszej i najpopularniejszej piosenkarki.

**27 sierpnia** – Forli: pierwszy solowy koncert Anny German we Włoszech.

**27-28 sierpnia** – tragiczny w skutkach wypadek samochodowy na Autostradzie Słońca: samochód prowadzony przez muzyka Renato Serio wypada z drogi; ciężko ranna Anna German zostaje przewieziona do Madre Fortunato Toniolo, Uniwersyteckiej Kliniki Neurologicznej i Instytutu Ortopedycznego Rizzoli w Bolonii. Odzyskuje przytomność po tygodniu.

**17 października** – Anna zostaje przewieziona do Polski; przebywa w Szpitalu Klinicznym nr 1 przy ul. Lindleya w Warszawie, a następnie w Ośrodku Rehabilitacyjnym STOCER w Konstancinie.

**Jesień** – ukazuje się drugi polski album płytowy Anny German „Recital piosenek”.

— rok 1968 —

**28 października** – prof. Marian Weiss z ośrodka w Konstancinie wydaje opinię na temat stanu zdrowia piosenkarki; można tam przeczytać m.in. „P[ani] German nie będzie zdolna do samodzielnego życia jak również do powrotu do swojej działalności zawodowej jeszcze przez co najmniej okres jednego roku”.

— rok 1969 —

**Luty** – Anna nawiązuje korespondencję z Leonidem Teligą, żeglarzem odbywającym samotny rejs dookoła świata, admiratorem talentu artystki; Teliga przekaże jej kilka swoich wierszy, do których Anna skomponuje muzykę i niektóre z nich nagra.

**11 maja** – w numerze 19 „Tygodnika Kulturalnego” ukazuje się pierwszy z kilkunastu odcinków pamiętnika Anny German będącego zaczątkiem późniejszej książki.

Anna komponuje cykl pieśni do „Oratorium Oświęcimskiego” Aliny Nowak.

**7 grudnia** – Warszawa – po raz pierwszy po wypadku i rekonwalescencji śpiewa własną kompozycję w radiowym „Studijnym Klubie Piosenki”.

**26 grudnia** – Warszawa – w popularnym programie telewizyjnym Ireny Dziedzic „Tele-Echo” ma miejsce powitanie Anny German. Artystka wykonuje piosenkę „Skrzydlaty koń”.

— rok 1970 —



**1 stycznia** – Anna występuje w programie telewizji warszawskiej „Muzyka lekka, łatwa i przyjemna” wykonuje nową, skomponowaną przez siebie do słów Aliny Nowak, piosenkę „Człowieczy los”.

**17 stycznia** – Warszawa – Sala Kongresowa w Pałacu Kultury i Nauki – oficjalny powrót Anny German na estradę: w koncercie galowym „Tobie, Warszawo” śpiewa własną kompozycję ze słowami Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego „Być może”.

**Marzec** – Anna otrzymuje tytuł „Najpopularniejsza warszawianka roku 1970” w plebiscycie Polskiego Radia i „Trybuny Mazowieckiej”.

**Wiosna** – Anna otrzymuje tytuł „Najpopularniejsza piosenkarka roku 1969” przyznany jej przez amerykańską Polonię.

**Kwiecień** – Państwowe Wydawnictwo „Iskry” publikuje pierwsze wydanie wspomnień Anny German „Wróc do Sorrento?...”.

**4 maja** – emisja telewizyjna spektaklu według „Balladyny” Juliusza Słowackiego. Anna śpiewa tam jedną z piosenek do muzyki Jerzego Maksymiuka.

**Wiosna-lato** – praca dziennikarska Anny: dla śląskiego czasopisma „Panorama” przeprowadza wywiady z Katarzyną Bovery i Markiem Grechutą; w Programie I Polskiego Radia rozmawia z Leonidem Teligą, Januszem Gajosem, Danutą Walas-Kobylińską i Zofią Józefowicz-Czabak.

Na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie zostaje zaprezentowany film dokumentalny Mariusza Waltera pt. „Powrót Eurydyki” (nakręcony na przełomie 1969 i 1970 roku); zostaje także wyemitowany w telewizji.

**Czerwiec** – Merseburg – udział w programie rozrywkowym telewizji NRD.

Na rynku pojawia się trzeci polski album płytowy Anny pt. „Człowieczy los”.

Występ na VIII Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu: otrzymuje nagrodę publiczności oraz Nagrodę Przewodniczącego Prezydium MRN za piosenkę „Być może”, śpiewa w koncercie galowym „Stefan Rachoń zaprasza”.

**7 lipca** – recital Anny w OTV Katowice.

**21 lipca** – telewizyjna premiera filmu Jana Laskowskiego „Wyspy szczęśliwe” (później wielokrotnie powtarzanego na antenie Telewizji Polskiej).

**30 sierpnia** – X Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie: występ podczas Koncertu Jubileuszowego.

**Wrzesień** – przeprowadzka Anny, wraz z matką i babcią, na stałe do Warszawy.

**28 października** – Warszawa – recital w Filharmonii Narodowej: Anna śpiewa arie Scarlattiego z zespołem pod dyrekcją Tadeusza Ochlewskiego.

**Jesień** – Anna gra epizodyczną rolę Amerykanki w filmie Andrzeja Wajdy „Krajobraz po bitwie”.

**9 grudnia** – recital we Włocławku.

— rok 1971 —

**7 stycznia** – recital w Warszawskim Towarzystwie Muzycznym w Pałacyku Szustra.

**Styczeń** – Anna otrzymuje Nagrodę Miasta Stołecznego Warszawy; nakładem PWM ukazuje się zeszyt z kompozycjami Anny German „Zaczarowany krąg i inne piosenki na fortepian do tekstów Aliny Nowak”.

**Luty** – udział w koncercie galowym z okazji 53. rocznicy powstania Armii Radzieckiej.

**Kwiecień** – Warszawa – recital w sali ZAiKS-u.

**Maj** – Anna otrzymuje Nagrodę Miasta Warszawy za wybitne osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury. Anna bierze udział w koncercie galowym z okazji otwarcia hali widowiskowo-sportowej Spodek w Katowicach.

**Czerwiec** – IX Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu: Anna otrzymuje Nagrodę Publiczności za wykonanie piosenki pt. „Cztery karty”.

**17 września** – w Warszawie umiera babcia Anny, Anna Martens.

**28 listopada** – Warszawa – udział w koncercie galowym, z którego dochód przeznaczono na odbudowę Zamku Królewskiego.

**Grudzień** – Toruń – występ w programie Estrady Bydgoskiej „Anna German zaprasza”.

— rok 1972 —

**23 marca** – Zakopane – Anna German wstępuje w związek małżeński ze Zbigniewem Tucholskim.

**Marzec** – Zakopane – recital dla olimpijczyków w Sportowym Hotelu „Zakopane”.

**3 kwietnia** – Warszawa – Sala Kongresowa PKiN: występ w koncercie w ramach Międzynarodowej Wiosny Estradowej z „Ave Maria” Bacha/ Gounoda.

**4 kwietnia** – Wrocław – Hala Ludowa: występ w koncercie w ramach Międzynarodowej Wiosny Estradowej.

**Maj** – Warszawa – Teatr Wielki i Sala Kongresowa PKiN: cykl koncertów „Anna German prezentuje” z okazji wręczenia Złotej Płyty za longplay „Człowieczy los”.

**Maj** – Srebrny Gwóźdź Sezonu dziennika „Kurier Polski”; koncert w hali widowiskowo-sportowej w Katowicach z okazji 50. rocznicy III powstania śląskiego.

**Maj-czerwiec** – na rynku polskim ukazują się dwie płyty Anny: pierwsza „Wiatr mieszka w dzikich topolach” oraz druga, z ariami Scarlattiego z opery „Tetide in Sciro” (zaśpiewanymi z zespołem Con Moto Ma Cantabile pod dyrekcją Tadeusza Ochlewskiego).

**9 czerwca** – Zielona Góra – VIII Festiwal Piosenki Radzieckiej – występ w Koncercie Przyjaźni.

**21-22 czerwca** – Opole – występy podczas X Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej.

**25 czerwca** – występ w programie „Piosenki morskie” OTV Szczecin.

**Lipiec** – Kołobrzeg – występ na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej.

**22 lipca** – wyjazd na tournée do Związku Radzieckiego z zespołem instrumentalnym Andrzeja Płonczyńskiego: koncerty w Moskwie, Rostowie nad Donem, Nowosybirsku, Nowokuźniecku, Irkucku i Leningradzie.

**Lato** – Moskwa – nagranie dla wytwórni Melodia płyty długogrającej z piosenkami w języku rosyjskim; występy w Centralnej Telewizji ZSRR.

**28 września – 2 października** – Paryż – występy w „Olympii” w spektaklu rozrywkowym „Warszawa – Paryż” przygotowanym przez Stołeczną Estradę.

**Grudzień** – występy Anny w ZSRR.

— rok 1973 —

**17 stycznia – 19 lutego** – występy w USA i Kanadzie z zespołem „Podwieczorku przy mikrofonie”.

**6-11 marca** – Warszawa – Teatr Żydowski – występy w programie „W wiosennym nastroju” przygotowanym dla angielskiej Polonii.

**11 marca** – Warszawa – Anna German wraz z mężem uczestniczą w spotkaniu wielkanocnym artystów u prymasa Stefana Wyszyńskiego w jego rezydencji przy ul. Miodowej.

**Czerwiec** – Zielona Góra – udział w Koncercie Przyjaźni podczas IX Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

**20 czerwca** – Opole – XI Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej: Anna wykonuje w koncercie „Premiery” piosenkę „Ballada o niebie i ziemi”; utwór otrzymuje nagrodę za aranżację.

**16 listopada** – emisja telewizyjna recitalu „Spotkanie z Anną German”.

Anna koncertuje także w Londynie, w ZSRR (m.in. w Moskwie i Erewaniu), nagrywa w Warszawie piosenki dla telewizji radzieckiej.

— rok 1974 —

**20 lutego** – udział w programie telewizyjnym pt. „Wieczór z Bogusławem Klimczukiem”. Anna śpiewa piosenkę pt. „Księżyc i róża”.

**24-29 marca** – Warszawa – Sala Kongresowa PKiN: udział w koncertach „Suita

Warszawska”.

**Kwiecień** – ZSRR – występy w ramach Dni Kultury Polskiej (m.in. 2 kwietnia w Moskwie).

**12 maja** – Warszawa – nagranie telewizyjnego recitalu „Dwie Anny”.

**Maj – czerwiec** – występy w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

**13 czerwca** – Zielona Góra – udział w Koncercie Przyjaźni podczas X Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

**17 lipca** – emisja recitalu telewizyjnego „Dwie Anny”.

**Lipiec-sierpień** – ukazuje się szóstą polską płytą Anny pt. „To chyba maj” z jej własnymi kompozycjami do tekstów poety Jerzego Ficowskiego.

**Lipiec-październik** – trasa koncertowa w ZSRR i Mongolii: m.in. 25-28 lipca recitale w Leningradzie w sali Oktiabrskij; 31 lipca – recital w Krasnodarze, a także koncerty w Irkucku, Nowosybirsku, Międzurieczensku, Soczi, Kisłowodsku, Celinogradzie, Ałma-Acie oraz w Ułan Bator. Nagrania nowych piosenek dla radzieckiej Melodii.

**13 sierpnia** – program telewizyjny „Zapraszamy na wtorek – Anna German”, w ramach którego wyemitowane zostają dwa filmy z 1970 roku: „Powrót Eurydyki” i „Wyspy szczęśliwe”.

**Jesień** – nakładem PWM ukazuje się, w ramach serii Klubu Miłośników Piosenki „Synkopa” książeczka biograficzna o Annie German autorstwa Jana Nagrabieckiego. W tym czasie Anna nagrywa też z zespołem instrumentalnym Marka Sewena dwie kolędy, które ukazą się na pocztówkach dźwiękowych (później pojawią się także na składankach na płytach kompaktowych).

**Grudzień** – udział w koncercie galowym z okazji 30-lecia Reprezentacyjnej Orkiestry Wojska Polskiego.

W tym roku ukazuje się także druga długogrająca płyta Anny w Związku Radzieckim. Piosenkarka została również odznaczona w Polsce Złotym Krzyżem Zasługi z okazji XXX-lecia PRL.

#### — rok 1975 —

**1 marca** – Telewizja Polska powtórnie emituje recital „Dwie Anny”.

**18 maja** – Łódź – Filharmonia – udział w Koncercie Jubileuszowym Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia.

**14 czerwca** – Zielona Góra – występ w Koncercie Przyjaźni podczas XI Festiwalu Piosenki Radzieckiej: Anna śpiewa piosenkę „List z Warszawy”

**5-25 sierpnia** – recitale w ZSRR (m.in. w Mińsku, Moskwie, Jarosławiu, Rostowie nad Donem, Astrachaniu, Leningradzie, Władimirze i Wołgogradzie); podczas tego pobytu Anna udziela również dużego wywiadu dziennikowi „Prawda”; występy w licznych programach Centralnej Telewizji ZSRR.

**Jesień** – występy w Stanach Zjednoczonych.

**27 listopada** – przychodzi na świat jedyny syn Anny German i Zbigniewa Tucholskiego, Zbigniew Ivarr.

#### — rok 1976 —

**Luty-marzec** – Moskwa – Anna nagrywa piosenki w studiu „Melodii”.

**Kwiecień-maj** – sześciotygodniowe występy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie w programie „Podwieczorku przy mikrofonie”.

**16 maja** – Łódź – Filharmonia: udział w Koncercie Jubileuszowym z okazji trzydziestolecia Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia i Telewizji.

**Wrzesień** – seria występów w Sofii z „Podwieczorkiem przy mikrofonie”.

**26 września** – Warszawa – Sala Kongresowa: koncert galowy pt. „Na zdrowie”. Anna wykonuje piosenkę „Sonny Boy”.

**Październik** – Poznań – występy w koncercie pt. „Stefan Rachoń zaprasza”.

**Jesień** – Berlin wschodni – recital Anny w ambasadzie ZSRR.

Lizbona – udział w koncercie z okazji Dni Polskiej Kultury w Portugalii: Anna śpiewa piosenki po hiszpańsku, angielsku i włosku.

**31 grudnia** – Warszawa – Sala Kongresowa: udział w koncercie „Sylwester 76”.

— rok 1977 —

**Kwiecień** – Moskwa – Pałac Sportu na Łużnikach: występ podczas koncertu „Melodie przyjaciół 77”.

**Grudzień** – Moskwa – nagrania dla Centralnej Telewizji ZSRR (m.in. występu w dorocznym festiwalu telewizyjnym „Piosenka 77”).

Anna wzięła także udział w festiwalu „Przyjaźń młodzieży” w Doniecku, występowała z recitalami w Kijowie i Charkowie. Uczestniczyła również w koncercie Interwizji „Głosy przyjaciół”.

— rok 1978 —

**1 stycznia** – Centralna Telewizja ZSRR emituje koncert finałowy festiwalu „Piosenka 77”, podczas którego Anna wykonuje piosenki „Echo miłości” (w duecie z Lwem Leszczenką) oraz „Kiedy kwitły sady”.

**Marzec** – Warszawa – recitale „Miejsce dla gwiazdy” w warszawskim Teatrze na Targówku.

**8 marca** – ZSRR – koncert z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet.

**Czerwiec** – Zielona Góra – występy na XIV Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

**Lipiec** – udział w XII Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu.

**31 lipca – 20 sierpnia** – seria recitali w ZSRR (m.in. w Moskwie, Leningradzie, Gwiazdnym Miasteczku, Czkalowskim i Wołogradzie).

**Lato** – Moskwa – nagrania płytowe w studiu Melodii.

**Jesień** – Warszawa – nagranie – z orkiestrą pod kierunkiem Ryszarda Siwego siódmej polskiej płyty długogrającej.

Anna wzięła także udział w Dniach Kultury Polskiej w Moskwie, w Pałacu Zjazdów na Kremlu oraz nagrała piosenkę „W wielkiej kosmicznej rodzinie” na cześć pierwszego Polaka w kosmosie, Mirosława Hermaszewskiego.

— rok 1979 —

**Luty** – występy w Rzeszowie i Łańcucie w programie „Kołobrzeg 78”.

**31 marca – 15 maja** – tournée koncertowe w ZSRR: recitale m.in. w Moskwie, Odessie, Frunzem, Dżambule, Taszkencie, Gwiazdnym Miasteczku (dla kosmonautów), Ałma-Acie (13 recitali) i Samarkandzie.

**18-27 czerwca** – Szczecin – udział w programie pt. „Przeboje Kołobrzegu”.

**Czerwiec** – Anna otrzymuje Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

**Lipiec** – Kołobrzeg – XIII Festiwal Piosenki Żołnierskiej – Anna otrzymuje Złoty Pierścień za wykonanie piosenki „O czym Bałtyk opowiada”. Piosenka zostaje również wyróżniona Nagrodą Ministra Obrony Narodowej.

**jesień** – tournée po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie z programem estradowym „Odwiedzinki u rodzinki”.

**grudzień** – recitale w ZSRR (m.in. 31 grudnia w Leningradzie, w sali koncertowej Oktiabrski – obszerne fragmenty tego koncertu zostały nagrane i opublikowane na płytach).

W ZSRR ukazuje się kolejna płyta Anny German z nowymi piosenkami.

— rok 1980 —

**Styczeń** – tournée koncertowe w ZSRR: recitale w Wilnie, Moskwie, Tallinnie, Żytomierzu, Charkowie, Kijowie i Lwowie).

**21-23 marca** – Moskwa – Pałac Zjazdów na Kremlu: występy z recitalem „Śpiewa Anna German”.

**Wiosna** – nagrania płytowe dla wytwórni Melodia; udział w koncercie „Melodie przyjaciół 80” w Moskwie, w Pałacu Zjazdów.

**Jesień** – Warszawa – recitale Anny w Teatrze Żydowskim.

**26 września – 5 października** – tournée po Australii z grupą polskich artystów estradowych – Hanką Bielicką, Zbigniewem Korpolewskim i Tadeuszem Waclawskim:

26 września w Perth, 27 września w Adelaide, 28 września w Sydney, 1 października w Canberze, 3 października w Bankstown, 4 października w Hobart, 5 października w Melbourne (dwa koncerty).

W tym roku Anna otrzymuje także Honorową Odznakę Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

— rok 1981 —

**Styczeń** – lekarze diagnozują u Anny raka kości.

Anna komponuje muzykę do psalmów, „Hymnu o miłości” św. Pawła Apostoła i Modlitwy Pańskiej („Ojczy nasz”).

Spotkania z ks. Janem Twardowskim w warszawskim mieszkaniu na Żoliborzu.

— rok 1982 —

**21 maja** – przyjmuje chrzest według obrządku Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego.

**25 sierpnia** – Anna German umiera w Warszawie w szpitalu wojskowym przy ul. Szaserów.

**30 sierpnia** – Anna zostaje pochowana na Cmentarzu Ewangelicko-Reformowanym w Warszawie przy ul. Żytniej.

— rok 1983 —

W Moskwie, w sali Rosja odbywa się pierwszy koncert pamięci Anny German.

— rok 1986 —

**16 grudnia** – astronom Tamara Smirnowa odkrywa nową asteroidę, której nadany zostaje numer 2519 i imię Anny German.

— rok 1987 —

Decyzją Rady Miasta Zielona Góra amfiteatr – m.in. miejsce Festiwalu Piosenki Radzieckiej – otrzymuje imię Anny German.

W ZSRR ukazuje się biografia Anny German pióra Aleksandra Żygariowa (pierwsze wydanie).

— rok 1988 —

ZSRR: jednej z ulic w Urgenczu w Uzbekistanie nadano się imię Anny German.

— rok 1993 —

W Białymstoku zostaje założona Szkoła Estradowa im Anny German.

— rok 1996 —

Iwan Iliczow zakłada w Moskwie Międzynarodowy Klub Wielbicieli Anny German.

— rok 2001 —

W Zielonej Górze odbywa się Ogólnopolski Konkurs na Interpretację Piosenek z repertuaru Anny German.

— rok 2002 —

W Zielonej Górze odbywa się I Festiwal „Tańczące Eurydyki” im. Anny German. Istniał do 2007 roku.

— rok 2003 —

**18 maja** – Moskwa – przed salą koncertową Rosja zostaje odsłonięta pamiątkowa gwiazda Anny German; w uroczystościach biorą udział matka, mąż i syn artystki.

— rok 2005 —

Powstaje oficjalna strona internetowa Anny German: [www.annagerman.ru](http://www.annagerman.ru)

— rok 2008 —

W Białymstoku zostaje założone Przedszkole Estradowe im. Anny German.

— rok 2011 —

Program Pierwszy telewizji rosyjskiej emituje dwuczęściowy fabularyzowany dokument „Anna German – Echo miłości”.

— rok 2012 —

**lut**y – na ścianie kamienicy przy ul. Trzebnickiej 5 we Wrocławiu odsłonięto tablicę pamięci Anny German.

Program pierwszy telewizji rosyjskiej emituje 10-odcinkowy serial oparty na biografii Anny German „Tajemnica Białego Anioła”. W roli tytułowej występuje polska aktorka o litewskich korzeniach Joanna Moro.

**listopad** – Insytut Wydawniczy Latarnik publikuje rozszerzone wydanie książki „Wróc do Sorrento?...”.

W ostatnich latach ukazały się – zwłaszcza w Rosji – niezliczone artykuły prasowe poświęcone Annie German, wznawiane są jej płyty. Sylwetka Anny i jej nagrania przypominane są także w audycjach wspomnieniowych w radiu oraz w telewizjach w Polsce, w Rosji i we Włoszech.

W Rosji ukazały się trzy książki o Annie autorstwa Iwana Iliczowa, natomiast w Polsce Mariola Pryzwan przygotowała trzy wspomnieniowe pozycje o artystce: „Największy elf świata”, „Tańcząca Eurydyka” oraz „Anna German o sobie”.

*Opracował Marcin Dąbrowski*

Anna German  
**Kronika życia i pracy artystycznej**

— rok 1936 —

**14 lutego** w Urgenczu w Uzbekistanie (wówczas ZSRR) przychodzi na świat Anna Wiktoria German, córka Irmy Martens i Eugeniusza Germana. Ojciec Anny pochodził z Łodzi, jego rodzicami byli Anna Balach i Friedrich Hoerman. Natomiast rodzice matki – Anna Friesen i Dawid Martens – byli potomkami holenderskich emigrantów.

— rok 1937 —

**25 września** Eugeniusz German zostaje aresztowany przez NKWD (rozstrzelany w 1938 roku, zrehabilitowany w 1957 roku).

— rok 1938 —

**28 lutego** w Taszkencie rodzi się brat Anny – Fryderyk (zmarł w roku 1940).

— rok 1943 —

Anna rozpoczyna naukę w szkole w Orłówce (w Kirgizji).

— rok 1946 —

Wspólnie z matką i babcią Anna przyjeżdża do Polski.

**14 maja** rodzina uzyskuje zameldowanie w Szczecinie. Tam mieszka przez pewien czas, skąd wyjeżdża do Nowej Rudy (Dolny Śląsk), gdzie Anna uczęszcza do szkoły powszechnej.

— rok 1949 —

Przeprowadzka do Wrocławia i zamieszkanie w kamienicy przy ul. Trzebnickiej 5.

— lata 1952-55 —

Anna uczy się w VIII Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu przy ul. Trzebnickiej 42.

— lata 1955-61 —

Anna odbywa studia geologiczne na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego.

— rok 1959 —

Wiosną debiutuje w popularnym programie estradowym „Podwieczorek przy mikrofonie“.

Anna jest także aktorką teatru studenckiego „Kalambur“, z którego zespołem w kwietniu bierze udział w premierze widowiska „Po ulicach miasta chodzi moja miłość“. W maju spektakl ten prezentowany jest w Krakowie na I Ogólnopolskim Festiwalu Kultury Studentów.

— rok 1960 —

**9 maja** – debiut telewizyjny Anny German w programie OTV Wrocław pod tytułem „Spotkania o zmroku“.

**Czerwiec** – Anna poznaje swego przyszłego męża – fizyka Zbigniewa Tucholskiego.

— rok 1961 —

Anna jest solistką Estrady Wrocławskiej. Występuje z zespołem Witolda Przysieckiego jako Anita German. Śpiewa m.in. kompozycję Gilberta Bécaud do słów Agnieszki Osieckiej „Pójdę w świat“.

**5-14 grudnia** – występy z Estradą Rzeszowską (zespołem kierował Julian Krzywka).

— rok 1962 —

**23 stycznia** – obrona pracy dyplomowej „Zdjęcie geologiczne okolic Zatonia (Ustronie)” i uzyskanie tytułu magistra geologii stratygraficzno-poszukiwawczej.

**2 lutego** – występ w „Podwieczorku przy mikrofonie” z pieśnią „Ave Maria” Bacha/Gounoda.

**Marzec** – występy w Rzeszowie.

**27 marca** – Warszawa – Anna zdaje egzamin aktorski przed Państwową Komisją Weryfikacyjną uprawniający do wykonywania zawodu piosenkarki. Przewodniczącym komisji egzaminacyjnej był Kazimierz Rudzki, a jednym z członków komisji Aleksander Bardini.

W tym roku rozpoczyna także współpracę z Estradą w Olsztynie (do roku 1966 wystąpiła tam w czterech programach).

**Kwiecień-maj** – ponowne występy z Estradą Rzeszowską.

**20 czerwca** – w Zabrzcu Anna bierze udział w próbach rewii organizowanej przez PAA Pagart.

**Wrzesień** – kolejne występy z Estradą Rzeszowską.

**3 grudnia** – Anna podpisuje umowę z PAA Pagart na występy piosenkarskie w kabarecie mieszczącym się w kawiarni Pod Gwiazdami w Warszawie (umowa obowiązuje do 30 lipca 1963 roku).

#### — rok 1963 —

**13 lutego** – Anna śpiewa w programie ogólnopolskim nadawanym przez OTV Wrocław.

**14-28 lutego** – występy z zespołem Estrady Wrocławskiej w Katowicach.

**Marzec** – nawiązanie współpracy z orkiestrą krakowską pod dyrekcją Jerzego Gerta, zarejestrowanie kilku piosenek.

**Kwiecień** – występy z Estradą Wrocławską w Jeleniej Górze.

**3 maja** – występ z zespołem Estrady Olsztyńskiej w Lubawie.

**16 maja** – występ z Estradą Olsztyńską w Bielsku Podlaskim.

**Maj – czerwiec** – przygotowania do udziału w Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie.

**3 czerwca** – występ w Kołobrzegu (próba w Koszalinie).

**10 czerwca** – z orkiestrą pod dyrekcją Jerzego Gerta Anna nagrywa w Krakowie piosenkę pt. „Jesienna rozłąka”.

**Sierpień** – Anna bierze udział w III Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, gdzie otrzymuje II nagrodę za wykonanie utworu „Tak mi z tym źle” do słów Bronisława Broka, z tekstem Henryka Klejnego.

**Październik** – występ na I Ogólnopolskim Festiwalu Zespołów Estradowych w Olsztynie. Anna otrzymuje nagrodę za interpretację piosenki „Ave Maria no morro”.

**28 grudnia** – występ w Płocku w programie „Podwieczorku przy mikrofonie”.

#### — rok 1964 —

**Luty-marzec** – Anna przebywa na dwumiesięcznym stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki w Rzymie; w trakcie pobytu ma miejsce przesłuchanie w siedzibie wytwórni płytowej RCA. Anna otrzymuje propozycję podpisania dwuletniego kontraktu.

**15-30 kwietnia** – występy w Olsztynie.

**czerwiec** – udział w II Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu; Anna śpiewa piosenkę Katarzyny Gaertner, Ewy Rzemienieckiej i Aleksandra Wojciechowskiego „Tańczące Eurydyki”, która otrzymuje II nagrodę w kategorii piosenki aktorsko-literackiej.

**Lipiec-sierpień** – pobyt z grupą polskich artystów estradowych na występach w Związku Radzieckim.

**Sierpień** – IV Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie. Anna otrzymuje w Dniu Polskim I nagrodę za „Tańczące Eurydyki” (w Dniu Międzynarodowym piosenka ta zajmuje III miejsce).



Po festiwalu ponownie wyjeżdża na występy do ZSRR. Tam nagrywa swoją pierwszą płytę „Śpiewa Anna German”. Znajdują się na niej piosenki polskie, włoskie i rosyjskie. W tym czasie zawiera znajomość z redaktorem muzycznym radzieckiej wytwórni płytowej Melodia, Anną Nikołajewną Kaczaliną.

**Październik** – wyjazd na koncerty do Niemieckiej Republiki Demokratycznej – występy na akademiach i koncertach galowych z okazji 15-lecia NRD.

— rok 1965 —

**Styczeń** – występy w Szczecinie. W trakcie pobytu w tym mieście Anna poznaje poetkę Joannę Kulmową.

**19 lutego – 5 marca** – pobyt w Wielkiej Brytanii: występy w ramach tournée Orkiestry Polskiego Radia pod dyrekcją Stefana Rachonia, m.in. w Londynie i 23 lutego w Albert Hall w Nottingham (oprócz Anny w koncertach biorą udział także: Barbara Nieman, Bernard Ładysz i Wiesław Ochman).

**Maj** – występy w Związku Radzieckim (m.in. 5 maja w Kisłowodsku).

**Druga potowa maja** – wyjazd do Paryża i występ w programie Eurowizji oraz w paryskiej Olympii.

**Czerwiec** – Anna bierze udział w III Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu: I nagrodę w kategorii piosenek artystycznych zdobywa utwór Katarzyny Gaertner i Jerzego Millera „Zakwitnę różą”.

**Lato** – występy w Monte Carlo.

**6-8 sierpnia** – występ na V Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie: Anna śpiewa „Zakwitnę różą” oraz „Dziękuję ci, moje serce”.

**sierpień** – udział w Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Ostendzie: Anna zdobywa trzecie miejsce – nagrodę Brązowy Żagiel za wykonanie utworu „Zakwitnę różą”.

**wrzesień** – występ z piosenką „Tańczące Eurydyki” w programie telewizji francuskiej „Music-Hall de France” Michèle Arnaud.

W ZSRR ukazuje się w Melodii pierwsza długogrająca płyta „Śpiewa Anna German”.

Pod koniec roku Anna nagrywa z Orkiestrą Polskiego Radia pod kierunkiem Stefana Rachonia swoją pierwszą polską płytę długogrającą „Tańczące Eurydyki”.

— rok 1966 —

**30 stycznia** – Warszawa – występy w programie estradowym na scenie Filharmonii Narodowej.

**Styczeń** – Giełda Piosenki w kawiarni Nowy Świat – nagrody dla trzech kompozycji Katarzyny Gaertner śpiewanych przez Annę German: „A kiedy wszystko zgaśnie”, „A jeżeli mnie pokochasz” oraz „The original Janosik”.

**12 lutego** – recital telewizyjny Anny German w programie OTV Wrocław.

**Luty** – występy w Republice Federalnej Niemiec.

**22-31 marca** – podróż na pokładzie statku MS „Stefan Batory” na koncerty do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

**kwiecień** – Anna German wraz z polskimi artystami estradowymi przebywa na tournée w USA i Kanadzie: 18 koncertów, m.in. w Filadelfii, Cleveland, Detroit, Chicago, Buffalo i Toronto oraz 10 kwietnia w słynnej nowojorskiej Carnegie Hall.

**Czerwiec** – udział w festiwalu „Złoty Klucz” w Bratysławie.

**Lipiec** – Anna gra rolę kapitana Marynarki Wojennej w filmie Zofii Dybowskiej-Aleksandrowicz „Marynarska przygoda”. W filmie tym wykonuje piosenkę „Powracające słowa”.

**28 sierpnia** – występ na VI Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie.

**Wrzesień** – Wiesbaden – występy w programach telewizji RFN.

**6 października** – Cannes – występ Anny podczas Międzynarodowych Targów Płytywych MIDEM, gdzie otrzymuje nagrodę Marmurowej Płyty.

**14 listopada** – Anna po raz pierwszy wyjeżdża do Mediolanu, gdzie podpisuje trzyletni

kontrakt z firmą fonograficzną Company Discografica Italiana.

**28 listopada** – Warszawa – z zespołem muzyki dawnej Con Moto Ma Cantabile pod dyrekcją Tadeusza Ochlewskiego Anna śpiewa w Filharmonii Narodowej arie Scarlattiiego z opery „Tetide in Sciro”.

— rok 1967 —

**Styczeń** – Mediolan – koncert w sali Circolo della Stampa; realizacja programu telewizyjnego dla telewizji RAI „Incontro con Anna German”.

**6 lutego** – Anna występuje jako pierwsza (i jedyna do dziś) Polka na XVIII Festiwalu Piosenki Włoskiej w San Remo. Śpiewa piosenkę „Gi” z muzyką Freda Bongusto.

**Luty** – Turyn – występy w popularnych programach telewizyjnych z udziałem m.in. Domenico Modugno.

**Wiosna** – Anna German otrzymuje tytuł „Najpopularniejsza piosenkarka 1966 roku” wśród Polonii amerykańskiej.

Udział w koncertach galowych w Filharmonii Narodowej w Warszawie: z ariami Scarlattiiego, w koncercie ku czci Henryka Warsa (z piosenką „Over and Over”).

Warszawa: realizacja nagrań na drugą polską płytę długogrającą.

**4 czerwca** – Warszawa – występ podczas II Poranka Polskiego Radia i Telewizji w Filharmonii Narodowej.

**Lipiec** – Neapol: Anna, jako pierwsza cudzoziemka, śpiewa na XV Festiwalu Piosenki Neapolitańskiej; nagrywa także swoją jedyną włoską płytę długogrającą „I classici della musica napoletana”.

Viareggio: piosenkarka otrzymuje włoską nagrodę Oscar della Simpatia dla najlepszej i najpopularniejszej piosenkarki.

**27 sierpnia** – Forli: pierwszy solowy koncert Anny German we Włoszech.

**27-28 sierpnia** – tragiczny w skutkach wypadek samochodowy na Autostradzie Słońca: samochód prowadzony przez muzyka Renato Serio wypada z drogi; ciężko ranna Anna German zostaje przewieziona do Madre Fortunato Toniolo, Uniwersyteckiej Kliniki Neurologicznej i Instytutu Ortopedycznego Rizzoli w Bolonii. Odzyskuje przytomność po tygodniu.

**17 października** – Anna zostaje przewieziona do Polski; przebywa w Szpitalu Klinicznym nr 1 przy ul. Lindleya w Warszawie, a następnie w Ośrodku Rehabilitacyjnym STOCER w Konstancinie.

**Jesień** – ukazuje się drugi polski album płytowy Anny German „Recital piosenek”.

— rok 1968 —

**28 października** – prof. Marian Weiss z ośrodka w Konstancinie wydaje opinię na temat stanu zdrowia piosenkarki; można tam przeczytać m.in. „P[ani] German nie będzie zdolna do samodzielnego życia jak również do powrotu do swojej działalności zawodowej jeszcze przez co najmniej okres jednego roku”.

— rok 1969 —

**Luty** – Anna nawiązuje korespondencję z Leonidem Teligą, żeglarzem odbywającym samotny rejs dookoła świata, admiratorem talentu artystki; Teliga przekaże jej kilka swoich wierszy, do których Anna skomponuje muzykę i niektóre z nich nagra.

**11 maja** – w numerze 19 „Tygodnika Kulturalnego” ukazuje się pierwszy z kilkunastu odcinków pamiętnika Anny German będącego zaczątkiem późniejszej książki.

Anna komponuje cykl pieśni do „Oratorium Oświęcimskiego” Aliny Nowak.

**7 grudnia** – Warszawa – po raz pierwszy po wypadku i rekonwalescencji śpiewa własną kompozycję w radiowym „Studijnym Klubie Piosenki”.

**26 grudnia** – Warszawa – w popularnym programie telewizyjnym Ireny Dziedzic „Tele-Echo” ma miejsce powitanie Anny German. Artystka wykonuje piosenkę „Skrzydlaty koń”.

— rok 1970 —

**1 stycznia** – Anna występuje w programie telewizji warszawskiej „Muzyka lekka, łatwa i przyjemna” wykonuje nową, skomponowaną przez siebie do słów Aliny Nowak, piosenkę „Człowieczy los”.

**17 stycznia** – Warszawa – Sala Kongresowa w Pałacu Kultury i Nauki – oficjalny powrót Anny German na estradę: w koncercie galowym „Tobie, Warszawo” śpiewa własną kompozycję ze słowami Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego „Być może”.

**Marzec** – Anna otrzymuje tytuł „Najpopularniejsza warszawianka roku 1970” w plebiscycie Polskiego Radia i „Trybuny Mazowieckiej”.

**Wiosna** – Anna otrzymuje tytuł „Najpopularniejsza piosenkarka roku 1969” przyznany jej przez amerykańską Polonię.

**Kwiecień** – Państwowe Wydawnictwo „Iskry” publikuje pierwsze wydanie wspomnień Anny German „Wróc do Sorrento?...”.

**4 maja** – emisja telewizyjna spektaklu według „Balladyny” Juliusza Słowackiego. Anna śpiewa tam jedną z piosenek do muzyki Jerzego Maksymiuka.

**Wiosna-lato** – praca dziennikarska Anny: dla śląskiego czasopisma „Panorama” przeprowadza wywiady z Katarzyną Bovery i Markiem Grechutą; w Programie I Polskiego Radia rozmawia z Leonidem Teligą, Januszem Gajosem, Danutą Walas-Kobylińską i Zofią Józefowicz-Czabak.

Na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie zostaje zaprezentowany film dokumentalny Mariusza Waltera pt. „Powrót Eurydyki” (nakręcony na przełomie 1969 i 1970 roku); zostaje także wyemitowany w telewizji.

**Czerwiec** – Merseburg – udział w programie rozrywkowym telewizji NRD.

Na rynku pojawia się trzeci polski album płytowy Anny pt. „Człowieczy los”.

Występ na VIII Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu: otrzymuje nagrodę publiczności oraz Nagrodę Przewodniczącego Prezydium MRN za piosenkę „Być może”, śpiewa w koncercie galowym „Stefan Rachoń zaprasza”.

**7 lipca** – recital Anny w OTV Katowice.

**21 lipca** – telewizyjna premiera filmu Jana Laskowskiego „Wyspy szczęśliwe” (później wielokrotnie powtarzanego na antenie Telewizji Polskiej).

**30 sierpnia** – X Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie: występ podczas Koncertu Jubileuszowego.

**Wrzesień** – przeprowadzka Anny, wraz z matką i babcią, na stałe do Warszawy.

**28 października** – Warszawa – recital w Filharmonii Narodowej: Anna śpiewa arie Scarlattiego z zespołem pod dyrekcją Tadeusza Ochlewskiego.

**Jesień** – Anna gra epizodyczną rolę Amerykanki w filmie Andrzeja Wajdy „Krajobraz po bitwie”.

**9 grudnia** – recital we Włocławku.

— rok 1971 —

**7 stycznia** – recital w Warszawskim Towarzystwie Muzycznym w Pałacyku Szustra.

**Styczeń** – Anna otrzymuje Nagrodę Miasta Stołecznego Warszawy; nakładem PWM ukazuje się zeszyt z kompozycjami Anny German „Zaczarowany krąg i inne piosenki na fortepian do tekstów Aliny Nowak”.

**Luty** – udział w koncercie galowym z okazji 53. rocznicy powstania Armii Radzieckiej.

**Kwiecień** – Warszawa – recital w sali ZAiKS-u.

**Maj** – Anna otrzymuje Nagrodę Miasta Warszawy za wybitne osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury. Anna bierze udział w koncercie galowym z okazji otwarcia hali widowiskowo-sportowej Spodek w Katowicach.

**Czerwiec** – IX Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu: Anna otrzymuje Nagrodę Publiczności za wykonanie piosenki pt. „Cztery karty”.

**17 września** – w Warszawie umiera babcia Anny, Anna Martens.

**28 listopada** – Warszawa – udział w koncercie galowym, z którego dochód przeznaczono na odbudowę Zamku Królewskiego.

**Grudzień** – Toruń – występ w programie Estrady Bydgoskiej „Anna German zaprasza”.

— rok 1972 —

**23 marca** – Zakopane – Anna German wstępuje w związek małżeński ze Zbigniewem Tucholskim.

**Marzec** – Zakopane – recital dla olimpijczyków w Sportowym Hotelu „Zakopane”.

**3 kwietnia** – Warszawa – Sala Kongresowa PKiN: występ w koncercie w ramach Międzynarodowej Wiosny Estradowej z „Ave Maria” Bacha/ Gounoda.

**4 kwietnia** – Wrocław – Hala Ludowa: występ w koncercie w ramach Międzynarodowej Wiosny Estradowej.

**Maj** – Warszawa – Teatr Wielki i Sala Kongresowa PKiN: cykl koncertów „Anna German prezentuje” z okazji wręczenia Złotej Płyty za longplay „Człowieczy los”.

**Maj** – Srebrny Gwóźdź Sezonu dziennika „Kurier Polski”; koncert w hali widowiskowo-sportowej w Katowicach z okazji 50. rocznicy III powstania śląskiego.

**Maj-czerwiec** – na rynku polskim ukazują się dwie płyty Anny: pierwsza „Wiatr mieszka w dzikich topolach” oraz druga, z ariami Scarlattiego z opery „Tetide in Sciro” (zaśpiewanymi z zespołem Con Moto Ma Cantabile pod dyrekcją Tadeusza Ochlewskiego).

**9 czerwca** – Zielona Góra – VIII Festiwal Piosenki Radzieckiej – występ w Koncercie Przyjaźni.

**21-22 czerwca** – Opole – występy podczas X Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej.

**25 czerwca** – występ w programie „Piosenki morskie” OTV Szczecin.

**Lipiec** – Kołobrzeg – występ na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej.

**22 lipca** – wyjazd na tournée do Związku Radzieckiego z zespołem instrumentalnym Andrzeja Płonczyńskiego: koncerty w Moskwie, Rostowie nad Donem, Nowosybirsku, Nowokuźniecku, Irkucku i Leningradzie.

**Lato** – Moskwa – nagranie dla wytwórni Melodia płyty długogrającej z piosenkami w języku rosyjskim; występy w Centralnej Telewizji ZSRR.

**28 września – 2 października** – Paryż – występy w „Olympii” w spektaklu rozrywkowym „Warszawa – Paryż” przygotowanym przez Stołeczną Estradę.

**Grudzień** – występy Anny w ZSRR.

— rok 1973 —

**17 stycznia – 19 lutego** – występy w USA i Kanadzie z zespołem „Podwieczorku przy mikrofonie”.

**6-11 marca** – Warszawa – Teatr Żydowski – występy w programie „W wiosennym nastroju” przygotowanym dla angielskiej Polonii.

**11 marca** – Warszawa – Anna German wraz z mężem uczestniczą w spotkaniu wielkanocnym artystów u prymasa Stefana Wyszyńskiego w jego rezydencji przy ul. Miodowej.

**Czerwiec** – Zielona Góra – udział w Koncercie Przyjaźni podczas IX Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

**20 czerwca** – Opole – XI Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej: Anna wykonuje w koncercie „Premiery” piosenkę „Ballada o niebie i ziemi”; utwór otrzymuje nagrodę za aranżację.

**16 listopada** – emisja telewizyjna recitalu „Spotkanie z Anną German”.

Anna koncertuje także w Londynie, w ZSRR (m.in. w Moskwie i Erewaniu), nagrywa w Warszawie piosenki dla telewizji radzieckiej.

— rok 1974 —

**20 lutego** – udział w programie telewizyjnym pt. „Wieczór z Bogusławem Klimczukiem”. Anna śpiewa piosenkę pt. „Księżyc i róża”.

**24-29 marca** – Warszawa – Sala Kongresowa PKiN: udział w koncertach „Suita

Warszawska”.

**Kwiecień** – ZSRR – występy w ramach Dni Kultury Polskiej (m.in. 2 kwietnia w Moskwie).

**12 maja** – Warszawa – nagranie telewizyjnego recitalu „Dwie Anny”.

**Maj – czerwiec** – występy w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

**13 czerwca** – Zielona Góra – udział w Koncercie Przyjaźni podczas X Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

**17 lipca** – emisja recitalu telewizyjnego „Dwie Anny”.

**Lipiec-sierpień** – ukazuje się szóstą polską płytą Anny pt. „To chyba maj” z jej własnymi kompozycjami do tekstów poety Jerzego Ficowskiego.

**Lipiec-październik** – trasa koncertowa w ZSRR i Mongolii: m.in. 25-28 lipca recitale w Leningradzie w sali Oktiabrskij; 31 lipca – recital w Krasnodarze, a także koncerty w Irkucku, Nowosybirsku, Międzurieczensku, Soczi, Kisłowodsku, Celinogradzie, Ałma-Acie oraz w Ułan Bator. Nagrania nowych piosenek dla radzieckiej Melodii.

**13 sierpnia** – program telewizyjny „Zapraszamy na wtorek – Anna German”, w ramach którego wyemitowane zostają dwa filmy z 1970 roku: „Powrót Eurydyki” i „Wyspy szczęśliwe”.

**Jesień** – nakładem PWM ukazuje się, w ramach serii Klubu Miłośników Piosenki „Synkopa” książeczka biograficzna o Annie German autorstwa Jana Nagrabieckiego. W tym czasie Anna nagrywa też z zespołem instrumentalnym Marka Sewena dwie kolędy, które ukazą się na pocztówkach dźwiękowych (później pojawią się także na składankach na płytach kompaktowych).

**Grudzień** – udział w koncercie galowym z okazji 30-lecia Reprezentacyjnej Orkiestry Wojska Polskiego.

W tym roku ukazuje się także druga długogrająca płyta Anny w Związku Radzieckim. Piosenkarka została również odznaczona w Polsce Złotym Krzyżem Zasługi z okazji XXX-lecia PRL.

#### — rok 1975 —

**1 marca** – Telewizja Polska powtórnie emituje recital „Dwie Anny”.

**18 maja** – Łódź – Filharmonia – udział w Koncercie Jubileuszowym Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia.

**14 czerwca** – Zielona Góra – występ w Koncercie Przyjaźni podczas XI Festiwalu Piosenki Radzieckiej: Anna śpiewa piosenkę „List z Warszawy”

**5-25 sierpnia** – recitale w ZSRR (m.in. w Mińsku, Moskwie, Jarosławiu, Rostowie nad Donem, Astrachaniu, Leningradzie, Władimirze i Wołgogradzie); podczas tego pobytu Anna udziela również dużego wywiadu dziennikowi „Prawda”; występy w licznych programach Centralnej Telewizji ZSRR.

**Jesień** – występy w Stanach Zjednoczonych.

**27 listopada** – przychodzi na świat jedyny syn Anny German i Zbigniewa Tucholskiego, Zbigniew Ivarr.

#### — rok 1976 —

**Luty-marzec** – Moskwa – Anna nagrywa piosenki w studiu „Melodii”.

**Kwiecień-maj** – sześciotygodniowe występy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie w programie „Podwieczorku przy mikrofonie”.

**16 maja** – Łódź – Filharmonia: udział w Koncercie Jubileuszowym z okazji trzydziestolecia Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia i Telewizji.

**Wrzesień** – seria występów w Sofii z „Podwieczorkiem przy mikrofonie”.

**26 września** – Warszawa – Sala Kongresowa: koncert galowy pt. „Na zdrowie”. Anna wykonuje piosenkę „Sonny Boy”.

**Październik** – Poznań – występy w koncercie pt. „Stefan Rachoń zaprasza”.

**Jesień** – Berlin wschodni – recital Anny w ambasadzie ZSRR.

Lizbona – udział w koncercie z okazji Dni Polskiej Kultury w Portugalii: Anna śpiewa piosenki po hiszpańsku, angielsku i włosku.

**31 grudnia** – Warszawa – Sala Kongresowa: udział w koncercie „Sylwester 76”.

— rok 1977 —

**Kwiecień** – Moskwa – Pałac Sportu na Łużnikach: występ podczas koncertu „Melodie przyjaciół 77”.

**Grudzień** – Moskwa – nagrania dla Centralnej Telewizji ZSRR (m.in. występu w dorocznym festiwalu telewizyjnym „Piosenka 77”).

Anna wzięła także udział w festiwalu „Przyjaźń młodzieży” w Doniecku, występowała z recitalami w Kijowie i Charkowie. Uczestniczyła również w koncercie Interwizji „Głosy przyjaciół”.

— rok 1978 —

**1 stycznia** – Centralna Telewizja ZSRR emituje koncert finałowy festiwalu „Piosenka 77”, podczas którego Anna wykonuje piosenki „Echo miłości” (w duecie z Lwem Leszczenką) oraz „Kiedy kwitły sady”.

**Marzec** – Warszawa – recitale „Miejsce dla gwiazdy” w warszawskim Teatrze na Targówku.

**8 marca** – ZSRR – koncert z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet.

**Czerwiec** – Zielona Góra – występy na XIV Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

**Lipiec** – udział w XII Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu.

**31 lipca – 20 sierpnia** – seria recitali w ZSRR (m.in. w Moskwie, Leningradzie, Gwiazdym Miasteczku, Czkalowskim i Wołogradzie).

**Lato** – Moskwa – nagrania płytowe w studiu Melodii.

**Jesień** – Warszawa – nagranie – z orkiestrą pod kierunkiem Ryszarda Siwego siódmej polskiej płyty długogrającej.

Anna wzięła także udział w Dniach Kultury Polskiej w Moskwie, w Pałacu Zjazdów na Kremlu oraz nagrała piosenkę „W wielkiej kosmicznej rodzinie” na cześć pierwszego Polaka w kosmosie, Mirosława Hermaszewskiego.

— rok 1979 —

**Luty** – występy w Rzeszowie i Łańcucie w programie „Kołobrzeg 78”.

**31 marca – 15 maja** – tournée koncertowe w ZSRR: recitale m.in. w Moskwie, Odessie, Frunzem, Dżambule, Taszkencie, Gwiazdym Miasteczku (dla kosmonautów), Ałma-Acie (13 recitali) i Samarkandzie.

**18-27 czerwca** – Szczecin – udział w programie pt. „Przeboje Kołobrzegu”.

**Czerwiec** – Anna otrzymuje Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

**Lipiec** – Kołobrzeg – XIII Festiwal Piosenki Żołnierskiej – Anna otrzymuje Złoty Pierścień za wykonanie piosenki „O czym Bałtyk opowiada”. Piosenka zostaje również wyróżniona Nagrodą Ministra Obrony Narodowej.

**jesień** – tournée po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie z programem estradowym „Odwiedzinki u rodzinki”.

**grudzień** – recitale w ZSRR (m.in. 31 grudnia w Leningradzie, w sali koncertowej Oktiabrski – obszerne fragmenty tego koncertu zostały nagrane i opublikowane na płytach).

W ZSRR ukazuje się kolejna płyta Anny German z nowymi piosenkami.

— rok 1980 —

**Styczeń** – tournée koncertowe w ZSRR: recitale w Wilnie, Moskwie, Tallinnie, Żytomierzu, Charkowie, Kijowie i Lwowie).

**21-23 marca** – Moskwa – Pałac Zjazdów na Kremlu: występy z recitalem „Śpiewa Anna German”.

**Wiosna** – nagrania płytowe dla wytwórni Melodia; udział w koncercie „Melodie przyjaciół 80” w Moskwie, w Pałacu Zjazdów.

**Jesień** – Warszawa – recitale Anny w Teatrze Żydowskim.

**26 września – 5 października** – tournée po Australii z grupą polskich artystów estradowych – Hanką Bielicką, Zbigniewem Korpolewskim i Tadeuszem Waclawskim:

26 września w Perth, 27 września w Adelaide, 28 września w Sydney, 1 października w Canberze, 3 października w Bankstown, 4 października w Hobart, 5 października w Melbourne (dwa koncerty).

W tym roku Anna otrzymuje także Honorową Odznakę Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

— rok 1981 —

**Styczeń** – lekarze diagnozują u Anny raka kości.

Anna komponuje muzykę do psalmów, „Hymnu o miłości” św. Pawła Apostoła i Modlitwy Pańskiej („Ojczy nasz”).

Spotkania z ks. Janem Twardowskim w warszawskim mieszkaniu na Żoliborzu.

— rok 1982 —

**21 maja** – przyjmuje chrzest według obrządku Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego.

**25 sierpnia** – Anna German umiera w Warszawie w szpitalu wojskowym przy ul. Szaserów.

**30 sierpnia** – Anna zostaje pochowana na Cmentarzu Ewangelicko-Reformowanym w Warszawie przy ul. Żytniej.

— rok 1983 —

W Moskwie, w sali Rosja odbywa się pierwszy koncert pamięci Anny German.

— rok 1986 —

**16 grudnia** – astronom Tamara Smirnowa odkrywa nową asteroidę, której nadany zostaje numer 2519 i imię Anny German.

— rok 1987 —

Decyzją Rady Miasta Zielona Góra amfiteatr – m.in. miejsce Festiwalu Piosenki Radzieckiej – otrzymuje imię Anny German.

W ZSRR ukazuje się biografia Anny German pióra Aleksandra Żygariowa (pierwsze wydanie).

— rok 1988 —

ZSRR: jednej z ulic w Urgenczu w Uzbekistanie nadano się imię Anny German.

— rok 1993 —

W Białymstoku zostaje założona Szkoła Estradowa im Anny German.

— rok 1996 —

Iwan Iliczow zakłada w Moskwie Międzynarodowy Klub Wielbicieli Anny German.

— rok 2001 —

W Zielonej Górze odbywa się Ogólnopolski Konkurs na Interpretację Piosenek z repertuaru Anny German.

— rok 2002 —

W Zielonej Górze odbywa się I Festiwal „Tańczące Eurydyki” im. Anny German. Istniał do 2007 roku.

— rok 2003 —

**18 maja** – Moskwa – przed salą koncertową Rosja zostaje odsłonięta pamiątkowa gwiazda Anny German; w uroczystościach biorą udział matka, mąż i syn artystki.

— rok 2005 —

Powstaje oficjalna strona internetowa Anny German: [www.annagerman.ru](http://www.annagerman.ru)

— rok 2008 —

W Białymstoku zostaje założone Przedszkole Estradowe im. Anny German.

— rok 2011 —

Program Pierwszy telewizji rosyjskiej emituje dwuczęściowy fabularyzowany dokument „Anna German – Echo miłości”.

— rok 2012 —

**lut**y – na ścianie kamienicy przy ul. Trzebnickiej 5 we Wrocławiu odsłonięto tablicę pamięci Anny German.

Program pierwszy telewizji rosyjskiej emituje 10-odcinkowy serial oparty na biografii Anny German „Tajemnica Białego Anioła”. W roli tytułowej występuje polska aktorka o litewskich korzeniach Joanna Moro.

**listopad** – Insytut Wydawniczy Latarnik publikuje rozszerzone wydanie książki „Wróc do Sorrento?...”.

W ostatnich latach ukazały się – zwłaszcza w Rosji – niezliczone artykuły prasowe poświęcone Annie German, wznawiane są jej płyty. Sylwetka Anny i jej nagrania przypominane są także w audycjach wspomnieniowych w radiu oraz w telewizjach w Polsce, w Rosji i we Włoszech.

W Rosji ukazały się trzy książki o Annie autorstwa Iwana Iliczowa, natomiast w Polsce Mariola Pryzwan przygotowała trzy wspomnieniowe pozycje o artystce: „Największy elf świata”, „Tańcząca Eurydyka” oraz „Anna German o sobie”.

*Opracował Marcin Dąbrowski*



